

B Ł A D

CECYLJA WALEWSKA

B Ł A D

POWIEŚĆ



Tejże autorki poprzednio wydane:

Flirt, Małżeństwo, Opinia. Dziesięć kart życia: To Rb
wolno... Za innymi... Kto winien?... Dwa
obozy. Zemsta. Dola. O honor. Kundelki.
Sybarytka. Kłamstwo. 1'60

WARSZAWA

NAKŁADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH
POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH · SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF · KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA



65400

Jeżeli nie wszystkie drogi prowadzą do absurdu, to jednak niema może takiej udeptanej, któraby nie prowadziła tam, jeżeli wiedzie po niej ktoś dziwaczny. Ktoś, kto tam, gdzie go nie potrzeba, jest, — w chwilach zmęczenia rękę nam podaje, — gdy go szukamy, w nas samych się chowa i wzrokiem naszym bawczym kieruje, — idzie przed nami sam niepostrzeżony i ciemnem światłem drogę nam oświeca, — dziwny przewodnik, wróg, przyjaciel? — BŁĄD!

Tadeusz Kotarbiński. Zagadnienie istnienia przyszłości. »Przegląd filozoficzny«, zeszyt I, 1913.

K-168/76/71751

DUSZOM W ROZTERCE

W oszczerstwie tkwi błąd dezorganizacji.

Raut kończył się. W przedpokoju lokaje, milcząc, rzucali na obnażone ramiona pań futrzane i puchowe okrycia. Kilku panów w gabinecie kończyło ostatnią partję brydża. Reszta osób w salonie słuchała opowiadania »zaczynego i cenionego« doktora o walce byków pod Sewillą.

Od miesiąca, to jest od chwili powrotu z wycieczki po Europie, »znany i ceniony« nie umiał mówić o niczem innem, tylko o czerwonych kapach, które drażniono szalejące bestje, o sile, zręczności, wdzięku i pysze torreadorów.

Słuchacze ziewali. Niejeden miał ochotę powiedzieć:

— Powtarzasz się, Jowialski...

Ale nikt nie śmiał przerwać wielkiej powadze medycznej, której obecność przynosiła zaszczyt każdemu domowi.

Nawet Irena.

Białe jej czoło przecięła delikatna zmarszcz-

ka; w słodkich chabrowych oczach zamigotał wyraz niechęci i smutku; kąciki warg drgnęły zniecierpliwieniem.

Opowiadanie doktora przypomniało jej jeden z najnieznośniejszych dni w życiu.

Dziesięć lat temu... we Włoszech... gdzieś koło Palermo... walka byków, jak ta, o której mówiono teraz, i... ten uparty, stary suchotnik, jej opiekun, który zamknął ją w domu, nie pozwolił wyjść na krok, dopóki nie skończyła się zabawa.

Ach, ta jej nuda wówczas i ta... nienawiść... do... niego!...

Otrząsnęła się, złożyła wachlarz. Żeby uciec od wspomnień, wstała w połowie jakiegoś niedomówionego zdania doktora, pobiegła do fortepianu, rzuciła kilka akordów i przy akompaniamencie jakby sennej gitary zaczęła śpiewać:

»Wieczorem, gdy wracam z Sewilli!...«

— Wrażenie wstrząsające: istna kąpiel elektryczna — mówił doktor.

Nikt go już nie słuchał. Otoczono Irenę, a ona, nucąc coraz głośniejszą, zwracała się do jednych z uśmiechem, do innych z jakimś silniejszą zaakcentowaniem słowem pieśni. Zalotna tą żywiołową zalotnością, która chce ujarzmić

każdego, bo wie, że to upaja, deklamowała w takt melodji harde wyznanie Hiszpanki.

Przechylona w tył, kołysała się, jak błądy irys. Usta pieściły każdy dźwięk. Alabastrowe ramiona piły ogień chciwych spojrzeń.

Śpiewała srebrnym, jak dzwonek sygnaturki, i miękkim, jak pieszczota dziecka, głosem.

Łakome, pełne ciekawych pożądań oczy podniecały ją. Wpadała w szal prawdziwej Carmeny. Jak ona, czuła się zwycięską i niezwyciężoną; jak ona — królewską panią czaru swego.

— Skończ już, proszę...

Biała ręka o wydłużonych, mocnych palcach dotknęła jej ramienia.

Obejrzała się i natychmiast przerwała.

Wiew smutku na twarzy, delikatny, cichutki — fala blado-perłowej krepy, ale zaraz potem jasny uśmiech.

— Czas już wracać?

— Tak, późno.

Wziął z rąk jej wachlarz, żeby łatwiej było zapiąć rękawiczki.

Zaczął prosić:

— Coś króciutkiego jeszcze: »Serenadę« Galla...

— »Anioła-Dziecinę« Moniuszki.

— »Zawód« Żeleńskiego.

Była nieubłagana. Śmiała się, przyjmowała kwiaty, które jej rzucano, ale śpiewać już nie chciała.

Goście zaczęli rozchodzić się na dobre. Pustoszały nawet pokoje, gdzie był brydż. Grano jeszcze tylko przy jednym stoliku, otoczonym widzami. Któryś z nich — niski, krępy pan ze świecącymi czarnymi oczkami i ogorzałą cerą wieśniaka — spojrzawszy na zegarek, wysunął się do salonu, żeby pożegnać gospodynię, ale w przejściu trącił niechcący wachlarz, który w tej chwili właśnie Irena odbierała z rąk Mieczysława.

Cacko ze słoniowej kości i długich strusich piór upadło na ziemię. Zakłopotany wieśniak schylił się po nie.

— Pani dobrodziejko, a toż... mniej więcej... niezgrabność... Przepraszam... mniej więcej... najmocniej przepraszam... Stary dureń ze mnie... mniej więcej... Janicki jestem. Proszę rączkę do pocałowania... mniej więcej...

Wtem przerwał. Małe, błyszczące, ruchliwe oczki spotkały się ze spokojnem, łagodnem, dzieciennie naiwnem i szczerem spojrzeniem Ireny.

Oboje stanęli, jak wryci w ziemię. Jej zbiełały wargi; on patrzył w nią wyzywająco ze zmarszczonem posepnie czołem.

— Pan Janicki, przyjaciel nasz dawny, który po latach sześciu dziś dopiero na wyraźne moje zaproszenie przypomniał sobie o nas — przedstawiała go, podszedłszy do grupy swoich gości, pani domu.

— Nazwiska dam nie wymienia się zwykle, w danym jednak razie muszę zrobić wyjątek: narieczona mojego brata, pani Irena Janczyńska.

Janicki podniósł powieki z wyrazem zdumienia i niedowierzania. Wreszcie, zwróciwszy się do Ireny:

— Ach, ja przecież mam przyjemność znać panią już oddawna. Dziwi mnie mocno, że... mniej więcej... znajduję ją tutaj...

Tubalny bas grzmiał ironją, złośliwością, wyzwaniem.

Oddychając szybko, zwrócona ku niemu zbiełałą nagle twarzą, Irena rzuciła krótko, tępo:

— Tak, i ja przypominam sobie pana trochę... Żałuję, że... już późno... Bylibyśmy porozmawiali... Tyle lat!... Minęło, jak jedna godzina. Zmieniłam się zupełnie, o, tak: zupełnie... Dawni ludzie nie poznaliby mnie... spoważniałam — — —

Głos jej, suchy, drżący, nerwowy, załamał się nagle.

Odwróciła głowę i spojrzała za siebie.

Mieczysław — o kilka kroków od niej — rozmawiał z siostrą swoją.

Więc przysunęła się do Janickiego blisko, tak że puklami włosów musnęła jego czoło, i szeptem:

— Proszę przyjść do mnie jutro rano... jak najwcześniej... Mieszkam tu... w tym samym domu... piętro wyżej... Czekam. Wytłumaczę wszystko. Tyle razy prosiłam, żeby mnie pan wysłuchał... Nie chciałeś. Dziś — żądam. Nie wolno trwać w uporze. Więc jutro...

Mieczysław w tej chwili skończył rozmowę z Natalją.

— No, czy moja pani już gotowa? — spytał, podchodząc do Ireny.

— Widzisz — zwrócił się do Janickiego — długo czekałem na tego słowika: całe pięć lat. No, ale teraz... za tydzień już nasz ślub. Powinszuj mi.

Janicki, chmurny, uściśnął podaną sobie rękę.

— Powinszuję za lat kilka dopiero, jeżeli i wówczas... mniej więcej... będziesz szczęśliwy...

— No, bez pesymizmu. Zapracowaliśmy na szczęście nasze oboje: powinniśmy je mieć.

Taki stary kawaler, nuda, tetryk, jak ty, nie zrozumie tego nigdy.

Ucałowali się w oba policzki.

A Irena raz jeszcze z błagalnym spojrzeniem i cicho, że tylko Janicki mógł usłyszeć:

— Więc do jutra!... Do... jutra!...

I wyciągnęła rękę na pożegnanie.

Mieczysław podał jej ramię. Oparta na nim przeszła przez pokój.

Natalja przeprowadziła ich wzrokiem.

— Stworzeni dla siebie. Prawda?

Janicki ruszył ramionami.

— Zawsze był dziwakiem; zawsze szukał innych dróg, niż wszyscy...

— Więc... nie pochwała pan?...

— Małżeństwa z... aktorką?...

W tej chwili grupa ostatniego stolika przyszła żegnać się i dziękować za wieczór mile spędzony.

W bocznych pokojach nie było już nikogo. Pogaszono światła, zostawiając tylko małe boczne lampki.

Janicki przeczekał wszystkich.

— Pozwoli mi pani zostać jeszcze chwilę?

Natalja skinęła głową.

— Ależ naturalnie.

— Właściwie, teraz dopiero... mniej wię-

cej... będziemy mogli porozmawiać swobodnie
Dotąd była pani taka obłączona...

— A pan taki zajęty brydżem i nie wychodzący poza próg gabinetu...

— Że nawet nie mógł wcześniej dostrzedz królowej rautu, czego mocno żałuję w tej chwili...

— Czy byłby pan zabawił się w króla, ofiarowując jej towarzystwo swoje na cały wieczór?

— Nie wiem, o ile... mniej więcej... byłaby zadowolona z tego...

— Jeżeli nauczył się pan przez te sześć lat, w ciągu których zniknąłeś nam z horyzontu, rozmawiać z kobietami nie tylko o wpływie sztucznego nawozu na urodzajność ziemi, to... kto wie?... Damy światowe lubią czasami powiew wsi w salonie: ogorzała twarz pana każe myśleć o słońcu i wicherach pól szerokiach...

— Niektórym — dziś zwłaszcza — mogła przypomnieć nawet coś więcej — — —

— Co znaczy ta ironja w głosie? — Nie rozumiem. Pan taki jakiś dziwny...

Usiedli przed stolikiem, na którym stało jeszcze kilka filiżanek z wystygłą czarną kawą i kryształowa karafka z likierem.

Janicki nalał kieliszek jasno-zielonego płynu i podniósł go do ust.

— Gdzie, kiedy... mniej więcej... poznał Mieczysław panią Irenę?

Natalja spojrzała na niego zmęczonemi oczyma i pomyślała:

— Dlaczego pyta?... Odpowiedzieć, czy na co innego skierować rozmowę?

Ale w końcu:

— Kilka lat temu... we Włoszech. On wtedy — pan wie — marzył o stworzeniu »Związku przedstawicieli uciśnionych narodów«. Włosi rozumieli go najlepiej i dopomagali najwięcej. Celem jego życia była i jest walka ze złotem, z krzywdą. Walka spokojna. Nie znosi teroru. Pan wie — należy do wszystkich Lig etycznych w Europie, w Ameryce. Jest członkiem czynnym międzynarodowej Ligi Pokoju. Przemawiał tyle razy we Włoszech, w Niemczech, we Francji. Dzienniki pełne były jego odezwo płomiennych. Nazywano go »frenetycznym Polakiem« albo »młodym Chrystusem«. Całą młodość swoją, nim objął fabryki po ojcu, przejeździł. A zawsze z tym jednym celem: przypominać krzywdę, żądać sprawiedliwości, badać urządzenia społeczne.

Irena zakochała się w nim, jeszcze zanim

go poznała: z portretów jego we wszystkich ilustracjach, z przemówień.

Przecież to cud ujarzmić takiego samotnika. Pamięta pan? — Nie znosił kobiet. Nawet mnie. Chociaż zawsze... całe życie... on dla mnie był pierwszy...

Nareszcie ma coś dla siebie: to swoje i jej uczucie — — —

Kochają się do szaleństwa. Ślub za tydzień. Rzuciła dla niego teatr, nie żeby tego żądał: on nigdy niczego nie żąda dla siebie — ale że *nim* teraz tylko żyje.

Była już jak Kochańska albo Patti. Ten czar głosu... ta miękkość przedziwna... Ktoby mógł jej się oprzeć?... Tyle prostoty, szczerości, tyle głębokiej słodyczy... Nie wiem, ale zdaje mi się, że i ja szaleję za nią... Pan nie wie: tyle lat nie widzieliśmy się... dużo przeszłam... Już zamknęłam za sobą życie, a teraz — ona wskrzesiła nas wszystkich. Gdyby jej zabrakło, zdaje mi się — spadłaby na mnie długa noc. Mieczysław, och, on ma cele! Ale ja... Dla mnie dziś tylko *oni*, a więcej chyba jeszcze *ona*: jasny promień — — —

Dla niej przecież tylko wróciłam do ludzi. Pan nie wie: tyle lat!... Gdyby nie to, że spotkałam pana przypadkiem na ulicy, nie widzielibyśmy się i dzisiaj...

Zapomniał pan o nas — — —

— I nie wiem: lepiej czy gorzej się stało?... Bo... nie byłbym... mniej więcej... zdarł zasłony z tego... waszego... bóstwa... Ha, ha, ha, polska matrona!... Gołębia słodycz, prostota, naiwność... Ha, ha, ha!... Nie, pani dobrodziejko, na takim teatrze... ha, ha, ha!... już dawno, doprawdy, bardzo dawno... mniej więcej... nie byłem... Ha, ha, ha!...

Śmiał się tubalnym basowym śmiechem, od którego jęczały płochliwie kryształowe festony świeczników i żyrandoli.

Jakby rozekłała się w nich biała dusza, którą kosmata łapa potwora spycha w odmet.

Natalja zbladła i zatrzęsła się wewnątrz.

— Panie Janicki, żądam wyjaśnienia. Tyłko — bez krotchwilnych wstępów i bez bagatelizowania sprawy. Przedewszystkiem — proszę na bok usunąć ironję.

Nalał pełny kieliszek likieru i wychylił go duszkiem.

— Ach, mów mi pani o nich jak najwięcej!... Chciałbym mieć sto uszów w tej chwili, żeby móżdż usłyszeć wszystko, co ktokolwiek powie o tej młodej dorodnej parze. Ha, ha, ha!...

Śmiał się coraz głośniej. Nalawszy sobie trzeci z kolei kieliszek, wychylił go znowu duszkiem.

Natalja spojrzała na niego zdziwiona i przerażona.

— Sześć lat niewidzenia się naszego zrobiły z ciebie nałogowego pijaka. Prawda, to pomyślała pani w tej chwili?

Spoważniał nagle. Schwycił jej rękę, ucałował je zamasyście z głośnym cmokaniem obu warg a potem spokojnie już i z jakimś uroczystym przydźwiękiem w każdym wyrazie:

— Nie jestem pijakiem, nie: bądź pani spokojna. Tylko zwyczajnie, jak każdy wieśniak, potrzebuję podniety, żeby się rozgadać. No, ale... mów pani dalej. Więc ona tu mieszka? Sama czy z kim?

— Z wujem, chorym, niedołężnym, sparaliżowanym staruszkiem, który od lat trzech nie wstaje z łóżka...

— T-a-a-a-k?...

— Irena — mówiłam panu — rzuciła scenę, chociaż on nie żądał tego. Zostawił jej swobodę zupełną. Całe pięć lat od czasu narzeczeństwa musiał jeszcze jeździć, uczyć się, badać. Nie chciał jej krępować. Sam — jak pan wie — nigdy na jotę nie odstępował od zakreślonego sobie programu, więc dlatego czekali ze ślubem. Zresztą, czy ja wiem!... Może jej nie wierzył?... Artystka... Może myślał, że

nie wytrwa, i wołał, gdyby przyszło do zerwania przedtem, aniżeli później... Skryty jest. Pan go zna! Bał się zawsze kobiet. Bał się zasadzek uczucia. Praca i cele — to zawsze pierwsze dla niego. Nie chciał jej męczyć — dobry, sprawiedliwy — a jednak, wyjeżdżając nieraz na całe pół roku, nie dawał znać o sobie. Wracał wychudły, żółty, zgarbiony. Z podróży prosto przychodził do mnie. Wargi mu drżały. Nie miał odwagi spytać: »czy jest jeszcze, czy może uciekła — ptak więziony?« — Odgadywałam trwogę i niepokój jego. »Irena czeka na ciebie, stęskniona« — mówiłam. A wtedy nagła radość. Bez tchu prawie, z odkrytą głową biegł do niej...

— A ona?...

— Ach, nigdy jednym słowem nie robiła mu wymówek! Gdy pierwsze uniesienia mijały, brała go za rękę, prowadziła do ściennego kalendarzyka, pokazywała wykreślane dni, miesiące i, patrząc w niego swemi gołębiemi oczyma, mówiła: »Nie żyję bez ciebie; nie chcę mieć czasu tego w pamięci!... Pogodą swoją, słodyczą, dobrocią zdobyła go wreszcie: dziś wierzy jej bez zastrzeżeń i... zwarjowałby chyba, gdyby go rzuciła...

— Och, nie warjuje się tak łatwo!...

— Z usposobieniem Mieczysława, u którego

mózg i twardy imperatyw woli góruje nad uczuciem, może tak istotnie, a jednak — — —

— Więc... ona... go kocha... według pani?...

Natalja zamyśliła się, a potem:

— Tak, nad życie. Inna to miłość, niż jego: nie taka skupiona, w sobie zamknięta. Ją jeszcze bawi, gdy zachwyci kogoś sobą. On poza nią ma tylko pracę.

— I wierzy jej naprawdę?...

Podniosła na niego zdziwione, gromiące oczy.

— Dlaczego miałyby nie wierzyć?... Od pięciu lat patrzę na każdą chwilę jej życia. Pracuje cały dzień. Siedem do ośmiu godzin lekcji. Potem — chory wuj: czyta mu, opowiada. Wieczorem zbiega do mnie. Mówimy o *nim*, gdy go niema; cieszymy się nim, gdy jest. Kilka razy do roku koncert na cele dobroczynne z jej udziałem i wtedy wielkie święto w mieście. Rok temu występowała nawet w teatrze na biednych. Ale ją to męczy, pożera nerwy — choruje potem, więc nie chce sama. A szkoda: zaczarowywa głosem... słodka, jasna, pogodna — nasza dobra wróżka — — —

Janicki wstał, przeszedł kilka razy przez pokój; wreszcie stanął i, pochylony nad uchem Natalji, syknął przez zaciśnięte zęby:

— Ten wasz kryształ, z którego tacy jesteście dumni, to — wiedzcie — wytarta miedź najlichszego gatunku... mniej więcej...

Zerwała się.

— Panie Janicki, proszę przestać!

Batystowa chusteczka zatrzęsała się w jej ręku. Podarła ją na strzępy i rzuciła.

Padło głuche, tępe milczenie. On, dysząc ciężko, sapiąc i potrącając rozstawione w nieładzie stoliki, krzesła, rokokowe fotele, chodзил wzdłuż i wszerz pokoju. Ona, jakby twardym kańczugiem zwalona, wsunęła się w róg kanapy cicho, płochliwie i miała wrażenie, że zostanie tak już wiecznie. — — — Nogi przywarły do ziemi; głowa, kark, ramiona leciały w dół.

Śniła jakiś sen potworny i nie mogła zrozumieć, że otwarte jej oczy postrzegają zjawę konkretną.

Chciała wstać, odejść, zostawić kałużę oszczerstw za sobą: nie mogła.

Jakby legło na niej sto powrozów: aż uwierały pętlice — — —

Janicki, chrząkając, zaczął znowu:

— Proszę wierzyć: gdyby Mieczysław był mi obcy, nie mąciłbym wam spokoju. Ponieważ jednak... mniej więcej...

Schwycił obie ręce Natalji i nagle:



— Pani droga, znamy się przecież nie od dzisiaj. Wiesz: nie jestem lekkomyślny i nie lubię... mniej więcej... mówić o tem, co niepotrzebne. Odzywam się wtedy tylko, gdy trzeba. Brat pani i... Irena... On przecież naprawdę wart... mniej więcej... innej kobiety... Widziała pani jej przerażenie, gdy mnie spostrzegła? — Bała się. Tak, o ile ją znam, nie wyznała nawet cienia prawdy przed wami... mniej więcej... Może żałuje teraz dawnych grzechów; może zmieniła się istotnie? — — — Zła przeszłość jednak, nie odpokutowana, nie oblana łzami żalu, wlecze się za człowiekiem... mniej więcej... jak stary łachman. Obmyć się z niej zupełnie, postawić między nią a sobą mur skruchy: wówczas dopiero świat i sam grzesznik może zapomnieć o niej... mniej więcej... Wdziać czyste godowe szaty... Ale ona i... skrucha!... Przecież widziałem ją: czoło jasne bez zmarszczek... Nie przeszło po niej życie, choć... żyła i... mniej więcej...

— Ach, ton i patos iście kaznodziejski! Coś zupełnie nowego u pana, panie Janicki. Ale czy nie moglibyśmy się zabawić inaczej?... Widział pan te freski tam, na bocznej ścianie?

Chciała pokazać mu kilka rysunków gwałtem we wgłębieniu salonu, pełnym białych chryzantem, palm i seledynowych paproci, nad

którymi — sennie — paliła się lampa wisząca w kształcie kadzielnicy z ciemno-szafirowego i ponsowego, jak krew, szkła weneckiego.

Ale ciągle jeszcze nie mogła wstać. Nogi, ramiona, kark, głowa, ręce ciężły, jak pod naporem żelaznych obręczy. A w mózgu huczała, w skroniach przewalała się krew żywa szalonym — nie do zniesienia — tętnem. Usta paliła cierpka, dławiąca gorycz.

— Winowajca wtedy dopiero rozpocząć może nowe życie — ciągnął dalej Janicki — kiedy przez wyznanie, skruchę i rozgrzeszenie odrodzi się... mniej więcej... moralnie.

Siadł i, zamysłony, wlepił wzrok w arabeski dywanu, drżące pod białym blaskiem jakiejś bocznej lampki. A potem jakby sam do siebie:

— Pani Irena nie zrobiła tego; znam ją, wiem. Łudzi siebie i innych prostotą, szczerością... Ale los zedrze w końcu z niej maskę. Tak samo było z biednym moim bratem.

Natalja spojrzała na niego przerażonym, ale już teraz chciwym okrutnej prawdy wzrokiem.

Budziły się w niej piekące, jadem niepokoju zatrute podejrzenia.

— Co było z bratem pana? — spytała szybko, krótko, gwałtownie, z tępym przydechem, zasłoniwszy oczy obiema rękami, jak przed

cięciem kańczuga, które musiało paść za chwilę.

Janicki podniósł się, zapalił cygaro i, wciągając dym, siadł napowrót obok Natalji. Czas jakiś patrzył na błękitne kółka, rozplywające się w powietrzu, a potem nagle, rzuciwszy na stół cygaro:

— Początek historii... mniej więcej... prosty, Miłość naturalnie. Mój brat kochał ją i wierzył jej, jak teraz kocha i wierzy Mieczysław. Poznali się — czy ja wiem jak dawno?... Piętnaście lat temu chyba: może mniej, może więcej... na wsi, w osadzie pogranicznej, gdzie Artur był doktorem a dokąd ona uciekła od męża w trzy dni po ślubie — — — Brat mój, dziwak, samotnik, zajął się nią gorliwie. Jego kosztem odbyła studja we Włoszech. Stracił na nią połowę swego majątku; wreszcie — zakochany — postanowił ożenić się z nią. Dopomagałem mu w prowadzeniu rozwodu. Szczęściem czy nieszczęściem, naturalne przeszkody zniknęły same przez się: Jaczyński umarł; pani Irena była wolna. Doniosłem o tem bratu, który wówczas — dla poratowania zdrowia — bawił wraz z nią w Palermo. W tydzień po wysłaniu mojego listu dostałem telegram, wzywający mnie do Włoch. Sądziłem, że... mniej więcej... jako świadka ślubu... Jechałem bez za-

trzymania — błyskawicznymi... Zastaję — co?... Brata w agonji. Krwotoki — jeden po drugim. Pusto było dokoła niego: odpędzał od siebie wszystkich, nawet siostrę miłosierdzia i doktora... mniej więcej... którzy chcieli zająć się nim. Zobaczywszy mnie, to tylko z siebie wyrzucił:

— Uciekła ode mnie... dwa dni temu... Wiedziała, że mnie tem zabije... chciała tego... Złorzeczę jej... przeklinam ją...

Krew zalała mu usta. Padł na poduszki i już nie przemówił ani słowa. Tylko wzrokiem wodził za mną, jak gdyby chciał dodać coś jeszcze.

Nie mógł. W godzinę potem skonał. Na biurku jego, zmiętą, przedartą do połowy, znalazłem tę kartkę... mniej więcej...

Wyjął z pugilaresu mały pożółkły, drobnem kobiecem pismem zacerniony zwitek papieru.

— Noszę to przy sobie — sam nie wiem, czemu... Szukając chyba rąk, w któreby go złożyć godnie... mniej więcej... *Ona* wie, że dokument ten jest u mnie. Pisałem do niej o tem. Przyjechała do Palermo, żeby wydrzeć go z rąk moich. Błagała, u nóg się włoczyła. Nie chciałem. Przez kilka lat przysyłała ofiary na biednych dla wykupienia go. Potem — wi-

dać — zapomniała. Zresztą, zmieniłem adres. Przeniosłem się w inne zupełnie strony. Aż dziś... tak niespodziewanie... ona przede mną... mniej więcej... No, czy znać po białej jej twarzy, żeby ją miał dręczyć *błąd* młodości?... Wdarła się między was, jak uczciwa kobieta, gdy tymczasem...

Oglądał papier ze wszystkich stron, jak gdyby widział go po raz pierwszy; wreszcie położył na kolanach Natalji.

Schwyciła go rozpaloną, jak od wrzątku, ręką i w chwilę potem czytała:

»Zawiniłam względem ciebie ciężko:
»wiem o tem. Odpokutuję błąd swój całym życiem, w którym nie znajdę już,
»prawdopodobnie, spokoju. Uciekłam od
»ciebie wtedy, kiedy więcej aniżeli kiedykolwiek potrzebujesz opieki. Grzech okrucieństwa: czuję go i męczy mnie, ale —
»co zaszło dziś, byłoby musiało nastąpić
»w miesiąc czy w rok później.

»Nie umiałabym być siostrą miłosierdzia przy tobie: świat jeszcze nie zamknął się dla mnie.

»Chcę swobody. Wola twoja, którą ostatnimi czasy narzucałeś tak arbitralnie, ciężyła mi nie do zniesienia.

»Zawdzięczam ci wszystko: byt swój, sławę swoją, a ty, prócz trosk i niepokojów, nie miałeś nic ode mnie. Drażniłam cię niegdyś swobodą i humorem swoim a potem — tęsknotą za życiem.

»Nie umiem poświęcać się. Znam tylko jedną troskę: o siebie samą; jedno upojenie — sławę, sztukę...

»Dlatego odchodzę — — —

»Nie dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś dla mnie: byłoby to śmieszne w tej chwili — — —

»Jestem jak ten wąż legendowy, który, wykarmiony mlekiem współczującej kobiety, owinał się dokoła jej piersi i zdużył ją zatrutym uściskiem.

»Czuję nikczemność swoją; jednak — nie mogę zawrócić.

»Tam — życie, swoboda; tu — z tobą — mrok.

»A teraz — to najgorsze. Tak trudno powiedzieć!... Dwa dni, dwie noce walczę; jednak — trzeba — — —

»Krew bije mi do głowy, czarną krepą rzuca się na oczy. Nic nie widzę, tylko *błąd* i poniżenie swoje.

»Żądza ucieczki skłoniła mnie do występku. Gdy spałeś, zaczęłam się na pal-

»cach do twego pokoju i wyjęłam z pugi-
»laresu twego pod poduszką kilkaset lirów
»potrzebnych na podróż.

»Nie posądzaj o kradzież tę nikogo. Ja
»stoję przed tobą, jedyna winowajczyni,
»którą czyn ten okrywa hańbą na całe
»życie...

»Wybaczysz mi może wszystko: brak
»serca, wdzięczności, poczucia obowiązku...
»Ale to jedno odepchnie cię ode mnie na
»zawsze.

»Pełna wstydu i upokorzenia, nie umiem
»zdać sobie sprawy, co stało się ze mną
»w chwili, gdy upadłam tak nisko...

»Byłam u ciebie jak ptak, któremu nie-
»wola odebrała głos i o pręty żelazne roz-
»biła skrzydła, który jednak — za cenę ży-
»cia czy... podłości — musiał wyrwać się
»z klatki, bo — rozniostyby go pioruny
»buntu...

»Nie umiałabym stanąć przed tobą i, pa-
»trząc ci w oczy, błagać przebaczenia,
»choć... serce szlocha we mnie. Wykreśl
»mnie z pamięci swojej.

Irena.

»P. S. Pieniądze zwróczę wkrótce«.

Papier z szelestem osunął się z rąk Natalji
na ziemię.

Przewiesiła głowę w tył na poręcz kanapy
i zasłoniła dłońmi oczy, jak człowiek, który
usiłuje zmierzyć ogrom bezprzykładnego ciosu.

— No i cóż? — spytał Janicki, wlepiając
w nią badawcze, niespokojne oczy.

Odjęła ręce od twarzy, wyprostowała się,
spojrzała na niego półprzymkniętymi.

Chwila — małeńka, krótka... a — jakby
wieki całe — — —

Zwitek upuszczonego na ziemię papieru za-
szeleścił pod stopami jej. Zerwała się, pod-
niosła go i spojrzała na Janickiego błagalnie.

— Zostaw mnie pan samą. Jutro, pojutrze,
za tydzień... bo ja wiem kiedy? — pomówimy
dłużej. Dziś — pan to rozumie — nie mogę,
nie mogę...

Wyszedł, skłoniwszy się nisko, nie usiłując
nawet sięgnąć po ręce jej, którei obcisnęła
skronie.

Nie słyszała kroków jego. Nie wiedziała:
jest jeszcze, czy... zasunęły się drzwi za nim?...

Jakiś ciężar w głowie; jakiś ból w skro-
niach, dziwny, nie do zniesienia i taka opętana,
zapiękła gorycz w ustach!...

Co robić?... Co... teraz... robić?...

— — — — —
— — — — —

Służba na palcach krzątała się po wielkich opustoszałych pokojach, gasząc resztę świateł, zbierając porozstawiane nakrycia i klosze z owocami.

Ktoś szepnął:

— Pani chora.

Słowa błyskawicą obiegły salon, buduar, jadalnię, aż, poniesione przez starego sługę, padły na próg gabinetu.

Werner zerwał się, rzucił książkę, pokreśloną deseniem notatek, cisnął na ziemię ołówek i biegł szybko przez całe mieszkanie.

W kącie salonu nikłą plamą majaczyła sylwetka Natalji.

Trącił ją delikatnie w ramię.

— Co tobie, duszko?

Podniosła nabrzękle od płaczu powieki i zerwała się z miejsca.

— Ach, nic, nic!

Stanęła przed lustrem.

Śmieszne: sama nie wiedziała, dlaczego...

Coś miała zrobić.

Ale co?...

Poprawiła włosy, potem oderwała zmoczone łzami koronki przy staniku, od których... przecież... mogła powalać się suknią...

— Jednak nie nic, skoro płaczesz i o tak

późnej porze jeszcze nie jesteś w łóżku... Patrz, świta już.

Przez ciężką gipiurę firanek wdzierał się brzask dnia, który szedł a który miał sędzić błędy, występki, przewiny i zwycięstwa nocy; który miał odwalać zawory sumienia i — potępiać albo przebaczać; który w dusze, lęku, trwogi, niepewności pełne, miał wsączać zacyzn równowagi albo — zwiększać rozterkę; miał dźwigać je albo pognębiać; miał — po szczeblach mocnych oglądów — prowadzić je na szczyty najdojrzałych zrozumień albo — spychać w dół do szarej kałuży pospolitych orzeczeń, na których dnie wiekiusty błąd; miał być rozjemcą lub — nieubłaganym prokuratorem; miał rozbłysnąć słońcem albo — powlec się krepą kolących dżdżów; miał być radością albo — klątwą życia.

Ten cichy perłowo-siny brzask, za którym włókł się szloch skazanych ale jeszcze nie potępionych dusz.

Ten brzask, gubiący w sobie lub podkreślający zamęt nocy — — —

Werner znowu pytał:

— Co tobie, Taluś?

Spojrzała na niego z pozorem chłodu, obojętności, znieczulenia.

— Nic, naprawdę nic. Drobiazg... Służący

dziś rano przez nieostrożność zbił ten duży wazon belwederski, pamiątkę po prababce, dar księcia Józefa — wiesz?... Przykro... Strata... ale... da się naprawić. Nie miałam czasu myśleć o tem w ciągu dnia. Teraz dopiero, gdy rozeszli się goście... Dzieciństwo, prawda, ale nie jestem zdolna zapanować nad sobą...

Starła ostatnie ślady łez i, oparłszy głowę o framugę drzwi, przywarła do niej: delikatny, smukły bas-relief, rozszrebrzony cichym świtem...

Werner spojrział na nią badawczo.

Wiedział, że nie mówi prawdy. Domyślał się, że musiało ją spotkać coś daleko gorszego od stłuczenia wazonu, ale nie pytał już dalej.

— Idź spać, dziecko, a o rozbitym wazonie myśl wówczas dopiero, gdy nie będzie całych na świecie.

Pocałował ją w czoło i odszedł do siebie.

W progu jednak odwrócił się, stanął.

— Przez Jana przyślę ci trochę bromu. Zażyj przed położeniem się: to cię uspokoi.

Kołysząc się szczupłą, ale nieprzyzwyczajoną do szybkich, zręcznych salonowych ruchów postacią, zniknął za fałdami adamaszkowych kotar.

Natalja rzuciła w jego stronę ciche, bolesne

spojrzenie i, schwyciwszy leżący na ziemi list Ireny, pobiegła z nim do siebie.

Zadzwoniła na służącą. Kazała rozpiąć się, rozczesać i — odejść.

W ciepłym bajowym szlafroku rzuciła się na łóżko, ale nie mogła zasnąć.

Oddychała cicho i podnosiła co chwila ciężkie, jakby na rdzawych zawiasach osadzone powieki, które wnet jednak opadały same w bezruchu długich rzęs na blade ściągłe policzki.

Ten list, ten list... Czemu?... Jak można było?... Czy wolno tak — jednym złym gestem — wyważyć z posad podwaliny jutra, budowanego cierpkim mozołem?...

Jeden grzech: mogło być więcej... Całe długie lata grzechu... zatajonego — — —

Co robić... Co... teraz... robić?... Ostrzedz, czy zamilczeć?...

Irena i — fałsz...

Chyba źle słyszały uszy. Chyba zwiódły zmysły; zwiódła noc, ta upiorna, jadem oma- mien szalona — — —

Śniła zły sen. Janicki — twarde bezlitosne wspomnienie potwornej gorączki: *bląd* umęczonego mózgu — — —

Nie przywykła do gości; nie przywykła do długiego czuwania.

Ludzie nudzili ją... A dziś było ich tak dużo!

Poruszyła się, dotykając dłonią skroni, czy nie pulsują w malignie.

Ale zwitek zapieru zaszeleścił groźnym świadectwem konkretnej zjawy.

Zniszczyć go, podrzeć w kawałki, zatrzeć ślad, spalić, wyrwać z pamięci, jak... zaczyn obłędu... i zostawić wszystko, jak było: nie kałeczyć, nie ranić, nie walić kańczugiem — —

Irena... Jasny promień!...

Patrzyli jej pogodnemi oczyma. Co dawniej było ponure, zadrgało nagle żywym, ciepłym blaskiem.

Jej przestać ufać?... Czy... można... żyć... bez niej?...

Pod przymkniętymi powiekami Natalji rozkołysała się słodka, dziecinnie uśmiechnięta twarz o jasnych, jak niebo, oczach a zaraz przy niej druga.

Mietka — mądrali...

*»Jej sens życia — zapach róży, która daje rozkosz.
Nie chcemy więcej« — — —*

Od najmłodszych lat przerastał o głowę całe swoje otoczenie. Dziecko jeszcze a już apostoł, prorok, posłannik dobrego, naczynie tęsknoty za światłem Ahura Mazdy na ziemi...

I skąd to?...

W najbliższej rodzinie nie było przykładów.

Matka...

Widywali ją przy śniadaniu tylko i przy obiedzie, rozziwaną, jeżeli nie było gości.

Ojciec, zajęty interesami, nie wiedział, że mogą być inne cele ponad zdobywanie, puszczanie w ruch i gromadzenie pieniędzy.

Uważał za warjata jednego z dalekich krewnych swoich, który, odziedziczywszy po rodzicach znaczny majątek, rozdał go między biednych, a sam wyjechał w świat, żeby pracą zarobić na byt własny.

Śmierć zaskoczyła go w sile wieku i w chwili dojrzewania całego szeregu humanitarnych projektów. Pozostała po nim tradycja obłąkańca,

o którym wspomiano jak najrzadziej z obawy, żeby przykład jego nie podziałał na kogokolwiek z rodziny.

Mieczysław miał lat dwanaście a Natalia dziesięć, gdy dowiedzieli się o nim.

Jej tak samo, jak jemu, ciężło otoczenie. Ale on umiał zrzucić z siebie pęta; ona — nie.

Nie rozumiała siebie; nie wiedziała, o co jej chodzi. Czowała tylko, że męczy ją kult złota, któremu wszędzie dokoła niej stawiano ołtarze.

Myślała często o zmarłym dalekim wuju, którego nazywano szaleńcem a który może drogą dziedziczości bocznej oddziaływał na nią i na brata jej; myślała o wielkim jego sercu, które ukochało ludzkość, i... tęskniła za nim.

Czemu umarł?... Z ust jego usłyszałaby słowo, krzepiące umysł. Szlachetnym, jak on, był tylko Mieczysław, ale... jego bała się; patrzyła na niego, jak na olbrzyma, którego karli wzrok nie był w stanie objąć...

Raz tylko jeden uczuła się niemal równą jemu.

Dziś jeszcze pamięta tę chwilę, jak gdyby przeżyła ją wczoraj zaledwie.

Minęło lat dziesięć, kiedy któregoś dnia Mietek,

wybijały już wtedy, giętki i prosty, jak młoda topola, wszedł do niej cicho, na palcach i, zamknawszy drzwi na klucz, dał znak ręką, że pragnie pozostać sam na sam z nią i nie chce, aby kto słyszał ich rozmowę.

Patrzyła na niego zdziwiona, nie wierząc szczęściu swemu.

Ten brat, którego kochała nad życie, który gardził nią wszakże, nazywając ją »lamentującą kwoką«, lubiła bowiem, zgarnawszy wszystkie swoje lalki, opowiadać im tonem płaczki pogrzebowej bajki, pełne scen żalonych; ten brat, niesforny, wiecznie zbuntowany przeciwko woli rodziców, nie robiący sobie nic z nikogo, w książkach swoich tylko zaczytany; ten brat przychodził do niej teraz z czemś ważnym.

Tak przynajmniej sądzić było można z wyrazu jego twarzy.

Chciał mówić z nią w cztery oczy, zrobić ją powiernicą interesów swoich...

Cisnęła lalki w kął, wyprostowała się nagle i miała wrażenie, że z dziecka wyrosła na kobietę.

Cichutko pobiegła do drzwi, zasłoniła chusteczką dziurkę od klucza i, stanąwszy przed Mietkiem, szepnęła:

— Mów, mów, nikt nas już nie usłyszy i nie zobaczy.

A on wtedy, nie patrząc na nią, chmurny, zamyślony:

— Czy masz jakie klejnoty, pieniądze lub drogocenne tkaniny, którebyś mi mogła oddać bez nadziei zwrotu?

Klejnoty, pieniądze, drogocenne tkaniny...

Nie rozumiała go dobrze: te tkaniny zwłaszcza; co to miało znaczyć?...

Nieśmiało, wspiąwszy się na palce, objęła go za szyję i szepnęła mu do ucha:

— W sypialnym pokoju mamusi, w szufladzie tualety mam skarbonkę...

— Należy ją wydostać dziś jeszcze przed wieczorem tak, żeby nikt nie wiedział o tem i żeby matka zwłaszcza nie spostrzegła tego— odparł decydującym tonem spiskowca, knującego wielki zamach.

Chciała spytać:

— Na co ci to?

Ale zamilkła.

Przeraził ją wyraz niezłomnej stanowczości i ponurego zamyślenia w bladej twarzy brata...

Przeraził fosforyczny blask jego oczu, które pod światło mieniły się drgającymi purpurowo-złotymi płomykami.

— Może... jakim sposobem... sama nie wiem... wydostanę pieniądze. Oddam ci wszystko i będę się bardzo, bardzo cieszyła... — wyjąkała nieśmiało.

— Dziś więc, przed wieczorem, wsuń się do mego pokoju cicho, nieznacznie. Skarbonkę wstaw pod łóżko w róg koło szafy i wyslizgnij się zręcznie. Czy będziesz umiała to zrobić?

— Będę — odparła jak mogła najciszej.

W głowie jej się mąciło.

Chciała zapamiętać dobrze, doskonale każde słowo brata, a tu huczały naraz wszystkie, jak roje komarów.

— Więc nad wieczorem — w moim pokoju — pod łóżkiem — koło szafy. Spamiętasz?

— Spamiętam.

— A klejnoty i drogocenne tkaniny masz jakie?

Drżała na samą myśl, że powtórzy to pytanie.

Jak odpowiedzieć?...

Klejnoty — wiedziała — przynajmniej tak jej się zdawało — to były pierścionki, broszki, koleczyki z kamieniami. Ale tkaniny?... Nigdy nie słyszała takiego wyrazu.

— Pierścionek mam tylko jeden.

Zdjęła z palca cieniutkę złotą obrączkę z serduszkami i kotwicą.

— Kolczyki i broszki od chrzestnych rodziców schowane są głęboko w kasie u tatusia. Nie dostanę się do nich. Ale to — weź zaraz. Gdy mnie kto spyta, powiem, że zgubiłam. Nie będzie kłamstwo, jeżeli... dla ciebie...

Spojrzał na pierścionek i machnął ręką.

— Nic mi z tego: zwyczajne babskie świecidełko bez żadnej wartości; możesz je sobie schować. A tkaniny?

Chwilę wahała się, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć. Naraz, zawstydzona, ze spuszczonej oczyma, cicho, jeszcze ciszej, niż przedtem:

— Nie mam.

Wolała tak powiedzieć, aniżeli przyznać się do nieświadomości przed mądrym, uczonym bratem, który wiedział wszystko, a którego zaufanie, z taką trudnością zdobyte, straciłaby mogła na zawsze, zdradziwszy dziecinną swoją głupotę.

— Pieniądzy w puszcze ile mieć możesz?

Obrzucił ją badawczym, inkwizytorskim spojrzeniem.

— Mamusia mówi, że około sześćdziesięciu rubli...

— Tak? To dobrze. Moich sto. Wacka

czterdzieści, Julka piętnaście, Władka pięć: razem przeszło dwieście... Na początek — nie-żle... — mruzczał pod nosem, obliczając cyfry na palcach.

Jeszcze raz chciała zapytać:

— Na co ci to?...

Ale zamilkła, bojąc się urazić brata.

On sam jednak z oczu jej wyczytał niepokój i zaciekawienie.

— Za tydzień, dwa tygodnie najdalej dowiesz się, po co mi te pieniądze. Przed czasem nie można mówić. Czy decydujesz się stracić zupełnie swoje sześćdziesiąt rubli?

— Tak — odpowiedziała, mnąc kłopotliwie brzegi fartuszka.

— A teraz — język za zębami. Wiem, że kobiety milczeć nie lubią, ale ty musisz... Więc wieczorem pod łóżkiem, koło szafy... Tylko cicho, sza!...

Otworzył drzwi z klucza i jeszcze:

— Mam nadzieję, że nie zawiodę się na tobie. Milcz, pamiętaj!

Wyszedł, a jej w oczach zaćmiło się na myśl wielkiego zadania, jakie miała spełnić.

Gdy w godzinę później z bijącym sercem zakradła się do pokoju matki i z otwartej szuflady bez żadnych przeszkód wydołała

skarbonkę z pieniędzmi, doznała wrażenia wywiadowcy, który pokonał najzdradliwszą zasadzkę.

Jak kot, cicho, na palcach przemknęła przez długie widne korytarze i skryła się w pokoju brata.

Pełna wrażeń, długo nie mogła zasnąć tej nocy.

Dziecinny jej mózg oblegały pytania:

— Dlaczego *on* wziął od niej pieniądze?... Co z tem zrobi?... Czy... przypadkiem... nie chce puścić się w świat daleko, jak to nieraz mówił Francuzce, z którą razem czytawali podróże?... A może!... może?...

Błysnęła jej nagła myśl, którą jakby ktoś podszeptnął jej wprost do ucha.

— Może on jedzie oswobodzić tych biednych murzynów, których, jak towar, sprzedawano na brzegach Afryki, a nad których losem ubolewał tak często?

Wstała. Zarzuciła na siebie spódniczkę i kaptan. Drobną jej twarzyczką przybrała wyraz dojrzałej powagi i stanowczości. Powiedziała sobie, że musi bądź co bądź poznać zamiary brata i położyć im tamę w razie, gdyby miały grozić niebezpieczeństwem jego życiu.

Czegoś lękała się strasznie. Afryka, murzyni, Mietek, którego mogła stracić na zawsze... Wi-

rowało to w jej umyśle arabeską dziwaczną, nieokreślonych pojęć.

Trwoga jej rosła.

Przycisnęła się, jak mały kociak, do drzwi pokoju brata i nadśluchiwała.

O świcie powstał tam ruch. Mietek wraz z jakimś kolegą, który przyszedł do niego na noc widocznie, ubierali się szybko. Wkrótce jeden z nich otworzył drzwi cicho i wyniósł z nich podróży tłómczek.

Jej w oczach pociemniało ze strachu.

— Nie puszczę ciebie! — krzyknęła nagle takim ostrym, przeraźliwym głosem, że aż zdziwiła się sama. I, wypadłszy na środek pokoju, schwyciła brata za szyję, wpiła się w nią palcami.

— Cicho, na miłość boską cicho! Popsujesz nam wszystko. Tak to jest wdać się z babami!

Jedną ręką zasłoniwszy jej usta, drugą odczepiał się od niej.

Przyjaciel Mietka, Włodek, wziął tłómczek i, otworzywszy drzwi, zamknięte z wewnątrz, wy dostał się z nim na ulicę.

Mietek, grożąc wyjętym z zanadru rewolwerem, szepnął wprost do ucha biednej, skulonej Natalki:

— Słuchaj, jeżeli piśniesz jedno słowo jeszcze, zabiję cię, jak psa!

I wybiegł za bramę.

Została drżąca, oszołomiona, nie wiedząc, co począć.

Godzinę, może dłużej siedziała na progu pokoju brata, płacząc gorzko.

Ranek zajaśniał pogodny, ciepły, gdy bona, zbudziwszy się o zwykłej porze, przerażona nieobecnością wychowanki, zaczęła jej szukać po całym mieszkaniu i znalazła wreszcie w otwartych drzwiach gabinetu Mietka. Spłakaną, drżącą wzięła na kolana i wymogła opowieść wszystkiego, co zaszło.

Powstał ruch nie do opisania. Zbudzeni ze snu rodzice rozesłali służbę na wszystkie dworce kolei. Ojciec sam nawet pojechał szukać małego awanturnika.

Zwrócono go z trzeciej stacji za miastem.

Zły, chmurny, na widok siostry wpadł w pasję. Cisnąwszy jej pod nogi pieniądze ze skarbonki, krzyknął ochryplym z gniewu głosem:

— Masz, podła nędznicol!... chciwość i skąpstwo zrobiły z ciebie zdrąjczynię!

— — — — —
— — — — —

Miał istotnie wraz z kilkoma towarzyszami, którzy czekali na stacji, jechać do Afryki wyswabzać murzynów i, gdyby nie ostrzeżenie Natalki, byłby zwrócony z drogi znacznie później.

Długi język ośmioletniej siostry napęlił go takim wstrętem do kobiet, że odtąd jedyną jego myślą stało się zorganizowanie gdzieś na jakiejś wielkiej bezludnej wyspie odrębnego społeczeństwa, złożonego z samych mężczyzn.

Baby niechby plotkowały i intrygowały same z sobą tylko.

Miał wtedy dziesięć lat, ale był już jak człowiek skończony.

Plany występowały w umyśle jego szybko, w wyraźnych, jasno zarysowanych konturach. Piersi, mózg przepelniała żądza czynu. Chciał coś stworzyć, czemś zaakcentować byt swój na świecie. Nie starczyła mu zwyczajna, utarta droga, wytknięta przez rodziców.

Być wielkim fabrykantem, jak ojciec, i całe życie wyzyskiwać tylko pracę proletarjatul!...

Nie, nigdy!

Potem tysiąca rąk uznojonych nie będzie zwiększał dziedzicznej fortuny. Rozda ją raczej między biednych, jak stryj, a sam puści się w świat: da ujście tej żądzy czynu, walk i przygód, rozpierającej mózg, skronie, tak

że nieraz nie mógł tchu schwycić i sądził, że jakaś wielka, niepożyta, zatajona w nim siła rozerwie mu piersi

Zamiar oswobodzenia dzikich niewolników był pierwszym aktem fermentujących w nim postanowień.

Nieudana wycieczka całą żółć, gorycz i zniechęcenie zwróciła przeciwko siostrze.

Znienawidził ją. Dokuczyć jej, a z nią razem dokuczyć wszystkim kobietom na świecie stało się jednym z pobocznych jego celów.

Deptał ją i upokarzał każdym słowem, a im więcej znęcał się nad nią, im bardziej drwiąco, ironicznie przemawiał do niej, tem wyraźniej, płacząc po kątach, czuła wyższość jego nad sobą.

Zrozumieć go, dorównać mu choćby w części tylko...

Połykała chciwie darowywane jej przez rodziców i znajomych książki: po większej części czeze, szablonowe opowiadania o grzecznych panienkach, które los nagradza i niegrzecznych, które karze. Wykuwała na pamięć zadawane lekcje, pisała i przepisowała bez końca ćwiczenia.

Nie zadowalało jej to jednak: instynktownie czuła, że szmat spożywanej w skromnych dawkach wiedzy nietylko nie zbliżał

jej z bratem, lecz nawet... poniekąd... oddalał od niego.

Co zrobić, żeby mózdz widzieć wielkie, dostępne dla jego wzroku horyzonty?... Żeby mózdz patrzeć jego oczyma i myśleć chociażby tylko echem jego myśli?...

Dziecko trzynastoletnie, znienawidziła, podarła na kawałki i podeptała kilka tomów skromnego, wodnistego, mdłego, jak nie osolony kleik z kaszy owsianej, »Journal pour les jeunes filles«, który stanowił główne źródło jej duchowych rozrywek.

Pozbawiona nawet i tej szarej, bezbarwnej drukowanej paplaniny, burzyła się coraz gorętszą żądzą poznania choćby tylko tytułów innych książek, tych, które tomami *on* znosił dla siebie.

Mietek od pewnego czasu przestał z nią rozmawiać, ponieważ matka, ojciec, cała rodzina i wszyscy znajomi oburzali się na niego za impertynenckie jej traktowanie.

Kilka lat minęło. *On* zaczął już rok siedemnasty i zdawał na maturę, żeby wstąpić później na politechnikę za granicą, kiedy nagle pochłoneła go poważna, jak twierdził, praca: pisanie obszernego traktatu p. t.

»O szkodliwości wpływu kobiet na działalność społeczną«.

Książka miała wyjść za lat kilka własnym jego nakładem i nie wątpił, że zostanie przetłómaczona na kilka głównych języków europejskich.

Przygotowania robił poważne. Przeczytał Weininger'a, Nietzsche'go, Möbiusa, Schopenhauera a nawet wielkich obrońców i przyjaciół kobiet: Johna Stuarta Milla, Condorcet'a, Prądzyńskiego, Ruskina, którzy jednak dostarczyli mu całą górę argumentów przeciw kobiecie.

Szeregami cytat a także przykładami z *własnego doświadczenia* wykazał, jak często baby bądź przez egoizm rodzinny, bądź przez kaprysy i histeryczną lekliwość swoją psują najlepsze zamiary, cele, postanowienia mężczyzn, i doszedł do wniosku, że jedynie doskonałym mogłoby być społeczeństwo czysto męskie. Ponieważ jednak trudno doprowadzić ludzkość do zaniku, proponował utworzenie w kilkunastu punktach świata wielkich ognisk haremo- wych, do których każdej chwili mężczyźni mogliby mieć dostęp. Zrodzonych z przelotnych związków chłopców należało w parę lat po przyjsciu na świat zwracać ojcom, żeby czysto męskie wychowanie wyrabiało w nich energję, siłę, sprężystość umysłu i ciała. Dziewczęta zostawałyby, naturalnie, w babińcach,

rosnąc na pociechę rozleniwionych, plotkujących matek.

Była to naiwna mieszanina Schopenhaurowskiego antyfeminizmu z utopjami Platona, zabarwiona Strindebergowskim jadem.

Praca szesnastoletniego reformatora dobiegała ku końcowi. Poświęcał jej noce całe. Pełen skupienia, pisał już ostatni rozdział, gdy wtem któregoś wieczora ktoś zapukał do niego lekko, a po szorstkiem mruknięciu: »proszę wejść!« — ukazała się we drzwiach drżąca, zaczerwieniona, zmieszana Natalka.

Miała już wtedy lat piętnaście. Wiotka, wybujała nadmiernie o ściągłej bladej twarzy, była nad wiek poważna. W dużych jej oczach paliły się: ciekawość, zapal i nerwowy niepokój tęsknoty.

Trawiła ją wzrastająca z dniem każdym gorączka wiedzy, chciwość poznania, żądza sformułowania błakających się w umyśle niewyraźnych pojęć, które potrzebowały podpory z zewnątrz, żeby nabrać jasności i siły. Stereotypowe odpowiedzi nauczycieli, od których żądała zaspokojenia męczących ją wątpliwości, nie zmniejszały rozterki. Oglądała się za kimś, coby mógł ją oświecić, złagodzić męczący ferment jej duszy. Z całego otoczenia tylko Mieczysław mógł to uczynić.

Ale on... czy zechce?...

Chwilę trwało nużące, kłopotliwe milczenie.

Mietek obrzucił siostrę chmurnym, niezadowolonym wzrokiem. Na wargach drgnęło mu pytanie:

— Po coś tu przyszła?

Ale ona trwożliwym, zafrasowanym bełkotem wyrzuciła z siebie:

— Chciałabym cię prosić... nie wiem, czy to zrobisz dla mnie... bardzo byłabym ci wdzięczna za... kilka książek, z których mogłabym się czego nauczyć... To, co mam, nudzi mnie już: nie znajduję w tem żadnego zadowolenia i... zaspokojenia tego, co męczy...

Przez cały czas, kiedy mówiła do niego, miał głowę spuszczoną. Teraz podniósł ją raptownie i spojrzał jej prosto w oczy.

— Cóż to: jakiś kaprys, histerja?...

Jej łzy nabiegły do oczu.

Chwilę gryzła wargi do krwi, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nareszcie wybuchnęła głośnym płaczem.

— Ja wiem — łkała, szlochała — ty mną pogardzasz, ty nie wierzysz, że... chcę uczyć się i pracować poważnie... Od czasu, gdy ciebie zdradziłam wtedy... przecież to już tak dawno... taka wówczas byłam mała... zniena-

widziłeś mnie... Cóż ja temu winna, że odgadłam twoje zamiary i... bałam się o ciebie... ty także wtedy mogłeś zbłądzić... Dziś... cokolwiekbyś zrobił, nie dziwiłabym się niczemu i powiedziałabym z góry, że masz słuszność... Ja... ja tak wierzę w twój rozum, twój charakter, a ty... nie chcesz zająć się mną... odmawiasz mi takiej prostej przysługi...

Z coraz głośniejszym płaczem padła na krzesło. Zasłoniwszy chustką oczy, nie patrzyła już na brata. Wszystko jej było jedno, co powie, co zrobi z nią. Wiedziała tylko, że nie odejdzie stąd, póki nie zrzuci z piersi brzemia — leż, ciężących jej od tak dawna.

Mietek, wsunąwszy się w fotel głęboko, przewiesił głowę przez krawędź i, mnąc w palcach zwitek schwyconego ze stołu czystego papieru, zastanawiał się, co zrobić z tą »typową histeryczką«?...

Przed chwilą pisał właśnie w ostatnim rozdziale traktatu swego, że kobiety nigdy prawie nie odczuwają tej, właściwej mężczyznom żądzy i chciwości wiedzy; że śpią snem wtulonych w kokony poczwarek: henidy, pod-mózgowce, coś w rodzaju zwierzokrzewów, które — jeżeli zdobędą się na jakiś akt pseudo-twórczy, to chyba tylko przez błąd i wybryk gatunku, który pomieszał płęć,

w kształtach kobiecych utrwalając pierwiastki męskie.

Czysto kobiecy umysł jest jak ognek, zbląkany na wodzie w noc Św. Jana. Spłynie, dokąd porwie go prąd. Wpędzony w kałużę, utkwi w niej i zgaśnie.

Samcza miłość wyciąga je z kokonów, ale zaspokojone zmysły wpadają znowu w drzemkę zwierzokrzewów.

Pisał tak i wierzył święcie własnym słowom, aż tu, nieoczekiwanie, jakby dla żywego zaprzeczenia opartej na doświadczeniu teorii przyszedł ten nieznośny, rozmazany podlotek, odgrywający może zręcznie obmyśloną komedję, żeby postawić go gorzej niż w krytycznym położeniu.

Nie wiedział teraz, co począć.

Dokończyć rozpoczęty rozdział, któremu tak niefortunnie przeczyła rzeczywistość, czy też czekać, co będzie dalej?

Jaki kierunek przyjmą historyczne żale i wybuchy jednej z tych istot, którym przyznawał tylko prawo macierzyństwa?

Kwadrans, może dłużej, siedział chmurny, ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w złoczone gzymsy sufitu, gdy wtem, wstając nagle, mruknął sam do siebie:

— Trzeba zrobić eksperyment — — —

I szybkim krokiem podążył do szafy z książkami.

Czas jakiś stał, wahając się, niepewny; wyjął wreszcie kilka grubych tomów i wręczył je siostrze.

Były to: Drapera »Dzieje stosunku wiary do rozumu«, Buckle'a »Wstęp do historii cywilizacji«, Renan'a »Życie Chrystusa«, Bain'a »Umysł i ciało«, Huxley'a »Fizjologja«.

— Wystarczy ci na rok cały, jeżeli chcesz czytać porządnie, nie dla zablądzenia w salonie znajomością tytułów tylko — rzucił szorstko, ostro, jak zwykle, zły teraz na nią podwójnie: raz — za niezatartą w pamięci jego przeszłość; powtóre — za przerwanie mu pracy wówczas, gdy miał ją już na ukończeniu.

Nie mógł pisać w dalszym ciągu, dopóki nie przekona się, czy ten »kaczy« mózg tylko przez chwilowy kaprys zażądał poważnej umysłowej strawy, czy też skutkiem rzeczywistej potrzeby, o którą można było posądzać jedynie kobiety, obdarzone genjuszem męskim, a zatem — jak to wykazywały rysunki, tablice i dane statystyczne — pomyłkowo tylko w płci niewieściej zrodzone, zresztą całą budową organizmu przypominające silniejszą połowę rodzaju ludzkiego.

Natalja nie posiadała zarówno w usposobieniu swoim, jak też i w całej postaci ani odrobiny męskości. Skąd więc tak nagle, tak niespodziewanie powstałaby w niej żądza wiedzy?...

— Rób sobie skróty, a przedewszystkiem — trzymaj książki pod kluczem, bo ktokolwiek ze starszych zobaczyłby je u ciebie, odebranoby ci to wszystko natychmiast — dodał złagodzoną już nieco głosem.

Chciała rzucić mu się na szyję, uściskać go, podnieść w górę z szalonej radości, odtrącił ją jednak od siebie szorstko.

— Bez komedji. Wiesz — nie lubię tego...

Oczy jej znowu zaszyły łzami, gdy jednak po chwili znalazła się w pokoju u siebie, serce jej zabiło takim wielkiem, nieznanem dotąd szczęściem, że — całowała książki, tańczyła z niemi, skakała, jak szalona.

Doznała wrażenia człowieka, który po długiej zmudnej wędrówce dotarł wreszcie do upragnionego celu i napawa się widokiem nieznanym horyzontów.

Gdy w rok potem, siedząc przed biurkiem u siebie, patrzyła na stos przeczytanych tomów, smutek i zmęczenie zamgliły jej oczy.

— Co zdobyłam? — pytała siebie.

A w odpowiedzi wstawiała góra chaosu, której — wiedziała — nie przewędruje sama.

Na czczy, pusty, głodny jej mózg padło naraz zbyt wiele treści, żeby mógł ją przerobić bez pomocy z zewnątrz.

Książki, zamiast odsłaniać przed nią świat nowych radosnych wrażeń, zwiększyły jeszcze zaczyn wątpliwości.

Kto mógł je rozstrzygnąć?...

Matka bawiła się teraz mniej wprawdzie, niż dawniej, za to jednak wszystkie chwile, wolne od załatwiania sprawunków, przymierzania kapeluszy, okryć, sukien, przyjmowania i składania wizyt zajmowały jej posiedzenia filantropijne i konkurencyjna walka o prezesostwo w jednej z instytucji dobroczynnych. Ojca widywała przy stole tylko. Roztargniony, rzadko kiedy zwracał na nią uwagę. Nie byłaby śmiała zagadnąć go o cokolwiek. Brat...

Ku niemu zawsze z tęsknotą i nadzieją zwracały się jej oczy. Ilekroć jednak spytała go o cokolwiek, odpowiadał:

— Nie mam czasu.

Albo:

— Później; do jutra...

Wprowadziwszy ją na wstępne szczeble poznania, zostawił, żeby... szła sama i bez

czyichkolwiek wskazówek budowała pion intelektu swego.

Jeżeli silna — dźwignie się; jeżeli słaba — niech idzie do klasztoru — Ofelja!...

Od tego zależał ostateczny sąd o niej i o sprawie, który musiał sobie wyrobić.

Mijały tygodnie, miesiące: nie dawał żadnych objaśnień.

Guwernantki Angielki i Francuzki drwiły z filozoficznych jej wywodów. »Metrowie«, śpiesząc z godziny na godzinę, takimi ogólnikami zbywali każde jej pytanie, że przestała zadawać je w końcu.

Wówczas powstało w umyśle jej postanowienie spisania w formie dziennika wszystkich, kaleczących duszę zwątpień i niepokoju.

Pałacemi słowy wypowiedziała ból serca, które, straciwszy dawną wiarę, nie umiało sobie stworzyć nowej i błąkało się w głuchej, bezcelowej rozterce.

Tęskniła za czemś, czego nazwać nie umiała a czego nie wyczekiwała już od książek, gdyż te zawiodły jej nadzieje, lecz od życia, dającego spokój tym nawet, co najbardziej stroskani.

Narzekąca na ludzi, którzy zamiast w serce patrzeć na krój modnych sukien i według nich

sądzą o wartości człowieka. Narzekąca na ustrój społeczny, wywyższający jednych kosztem drugich.

Narzekąca na niedołęstwo myśli ludzkiej, spętanej więzami »niepoznawalnego«.

»Gdzie jestem? Co znaczy moje życie i zjawia świat?... Kędy początek i gdzie koniec?... Jaki cel, jeżeli wszystkim nie rządzi... przypadek? Na czem polega treść bytu i gdzie rozwiązanie?«

Któregoś wieczora — po długiej męce wahań, w gorzkim zakłopotaniu, rozczarowaniu, drżąca, zastukała do Mietka, żeby wręczyć mu pytania swoje.

— Przeczytaj to: proszę. Kartki te zbliżą nas albo — rozłączą zupełnie...

Wziąwszy z rąk jej mały wążki dzienniczek, mruknął pod nosem:

— Ciekawe!...

I zaczął przeglądać pełne drobnego pisma stronicę.

Zatrzymując się na jednych, odwracając szybko inne, uśmiechał się z miną człowieka, który podobne wybryki rozgalopowanego pesymizmu zaledwie tolerować może. Dobiegłszy zaś do końca, wielkimi literami na marginesie zanotował:

»Sentymentalizm i rozmarzenie Heloizy.
»Wszystko to już było. Świata nie zbawi
»taka czcza paplanina, ale mu też nie za-
»szkodzi, o ile trzymana jest w biurku pod
»kluczem«.

Chciał dodać jeszcze głośno:

— Idź do klasztoru!...

Ale pomyślał:

— Zbyt ryzykowne. Może nie zna Szekspira... Weźmie co do litery...

W milczeniu więc oddał dzienniczek.

A ją jakby kto kańczugiem zmierzył przez plecy. Takiego bólu, takiego wstydu i upokorzenia, takiej męki doznała raz jeden tylko w życiu, kiedy — dziecko jeszcze — wyciągnęła ręce do matki, która szła na bal, a ona cofnęła się i zawołała:

— Odejdź, odejdź, bo mnie powalasz!

Spaliła pamiętnik i postanowiła nie pisać go już nigdy. Ale w serce jej wsączył się jad nieopisanej goryczy.

Zawiódł ją ten, który mógł wskazać jej cel życia, wytłómaczyć i utulić niepokoje pozasobistej, nieokreślonej, kosmicznej tęsknoty.

Była pewna, że wzgarda dla obłudnego konwencjonalizmu »ich świata«, tak silnie za-

znaczona w pamiętniku, połączy ją z nim, a on nazwał to czcza, pustą paplaniną...

Nie zrozumiał jej, ale nie tak, jak nie zrozumieli inni: przez ciasnotę pojęć i sybarytyzm życiowy; nie zrozumiał, bo... nieskończenie intensywniejszy jego umysł nie mógł nagiąć się do jej nieokreślonego pesymizmu.

»Lamentująca kwoka«... zostanie nią już na zawsze.

Mieczysław, przeczytawszy pamiętnik, zatryumfował.

— Zwyczajny kaczy mózg — myślał. — Ze zdrowych pokarmów nie wysie tego, co jest sokiem życia, lecz tylko — co sieje ferment zniszczenia. I dawać tu poważne książki kobietom!

Mógł teraz śmiało powrócić do przerwanej pracy. Całoroczna przerwa wzbogaciła go jednym przykładem więcej, dowodzącym chwiejności i niezaradności umysłu kobiecego. Tam, gdzie mężczyzna szybko i energicznie mógłby wytknąć sobie nowe drogi, kobieta, błakając się, jak odłączona od stada owca, jęczała tylko i płakała nad tem, co straciła. Okaleczone, chore, niedołążne stopy nie umiały ani cofnąć się, ani iść naprzód.

Pogarda dla rodu kobiecego wybuchnęła w nim ze zdwojoną siłą.

Wrócił do przerwanej pracy.

Nic już teraz nie stawało mu na drodze do wykończenia jej. Z całą świadomością mógł rzucić w twarz t. zw. »emancypantkom« niedołęstwo ich i niezaradne błąkanie się po bezdrożach.

— — — — —
— — — — —
Natalja skończyła lat siedemnaście. Za rok czekało ją wejście w świat: rauty, bale, teatr, koncerty, na które matka z góry obmyślała jej stroje, o jeden ton jaśniejsze, powiewniejsze i lżejsze od swoich.

Tymczasem — zostawiono jej trochę więcej swobody. Sama — z Angielką tylko — mogła załatwiać sprawunki na mieście. Korzystając z tego, co rano obiegała księgarnie, przeglądała katalogi książek i skupowała, co wpadło jej w ręce: powieści, nowele, traktaty filozoficzne: dziś — w skrajnie pozytywistycznym kierunku, nazajutrz — wprowadzające w świat czystej metafizyki.

Czytała wszystko z jednakową ciekawością. Oczy jej pały, wargi drżały, pierś podnosiła się i opadała szybkim, jak w gorączce, oddechem.

Móźdz patrzeć na świat pod jakimś jednym stałym kątem!...

Dziś zdawało jej się, że wszystko jest materją, nazajutrz — że wszystko duchem albo — wszystko zmienioną w ciepło, blask, życia energją, wolą, rozumem...

Każda świeżo pochłonięta książka wciskała miękki, jak wosk, jej mózg w coraz nowe formy. Aż nareszcie zwyciężył pozytywizm.

— Treść bytu jest nieznaną i nienazwaną. Śledzić tylko można łańcuch ewolucyjny faktów, stosunek ich wzajemny do siebie i ścisły związek. Wszystko, co poza tem — czczy Syzyfowy wysiłek: beczka Danaid bez dna...

Z zachłanną chciwością rzuciła się do nauk konkretnych: fizyki, chemji, geologii, geognozji, kosmografji.

Wnet jednak ostygła. Kontemplacyjny jej umysł nużyły teorie, wyprowadzane z matematyczną ścisłością, cyfry, nazwy, pierwiastki, równania. Nie mogła i nie chciała ich pamiętać: wydawały się jej niepotrzebnym balastem...

Rok cały czytała, pracowała, nie odrywając się prawie od biurka. Wreszcie, zmęczona a nienasycona, z uczuciem pewnej ulgi pomyślała o pierwszym balu, który ją czekał.

Może wir tańca porwie ją, uspokoi, ogłuszy?... Może uciszy szalejące wewnątrz mózgu i serca porywy?...

Z pierwszej zabawy wróciła upojona nie-
zwyczajnym powodzeniem, kwiatami, wreszcie samym tańcem, atmosferą balową, barwnością, przepychem kostjumów.

Po dziesiątym z kolei balu uczuła zmęczenie i przesyt.

Na jedenasty pojechała już tylko dlatego, że obiecano jej przedstawić młodego doktora, uczonego psychologa, znanego z kilku cenionych w świecie wiedzy prac naukowych.

Wszedłszy na próg sali balowej, za nim tylko rozglądała się, a spostrzegłszy, nie odrywała od niego oczu.

Inny był od wszystkich. Spokojnemi szaremi oczyma śledził otoczenie, jak gdyby chciał zbadać żywiołową jego duszę i ton ogólnego nastroju tej garstki ludzi, którzy — w zespole zbiorowości — zatarcili możność czysto indywidualnego oddziaływania na bodźce podnieć.

Doktor pracował właśnie nad »Psychologią tłumów«. Pisał rozdział o »Duszy salonów« i dlatego przyszedł tutaj, on, który od lat kilku darł zaproszenia na bale, zebrania, rauty.

Natalja nie chciała tańczyć pierwszego walca; wolała wodzić za nim oczyma.

— Uczony — psycholog... — Budził się w niej bezkrytyczny szacunek dla niego.

Dotąd widywała tylko samych przemysłowców lub rzemieślników wiedzy, wymieniających na monetę nabyte wiadomości. Człowiek, oddający się nauce tak, jak brat jej, dla niej samej tylko — był zawsze ideałem, o którego poznaniu marzyła.

— Pan Werner — przedstawił go jej ktoś nagle, usuwając się w głąb salonu i zostawiając ich samych.

Chwila bardzo kłopotliwego milczenia.

— Może przejdziemy do bocznej sali?

Podniosła się, prowadząc filozofa za sobą.

Siedli zdala od par tańczących w bladoliljowych półmrokach mżącego światłocienia.

— Pan pisze... słyszałam...

Wlepiała w niego ciekawością i podniecią rozpalone oczu.

— Tak, rzeczy, które nie interesują młodych kobiet, zwłaszcza »panien na wydaniu«...

— Ma znaczyć: takich jak ja. Nie jestem »panną na wydaniu«...

— Raczej — nie uważam się za nią...

— Nie wyjdę za mąż nigdy.

— Dlaczego?

— Nudzą mnie ludzie.

Roześmiał się i, kręcąc węża, powoli, jak gdyby chciał wbić każdy wyraz w jej mózg małymi gwoździkami:

— Nudę ma się w samym sobie tylko... Rzadko kiedy przychodzi z zewnątrz. Gadatliwych starców można słuchać, nie słuchając — — —

— A na nudę w samym sobie czy jest lekarstwo?

— Dla ludzi czynu — praca; dla próżniaków — dobre wino i książka z rozwiązaniem intrygi na ostatniej stronie; dla panny na wydaniu — małżeństwo.

Zmarszczyła brwi.

Tak mówił psycholog, badacz wewnętrznej istoty ludzkiej, człowiek, o którym sądziła, że jedno spojrzenie starczy mu na rozpoznanie treści jej duszy.

Wstała i wyszła z pokoju.

W godzinę potem młody uczony odnalazł ją we wgłębieniu sali, pełnem egzotycznych kwiatów.

Kołysząc się w biegunowym fotelu, słuchała czezej paplaniny dwóch najcelniejszych mazurzystów, którzy spierali się o prawo przetańczenia z nią pierwszej figury. Każdemu przy-

rzekła a teraz nie chciała tańczyć z żadnym i uciekła aż tutaj.

Topazowe blaski górnych lamp, przełamane we wklęsłościach wielkich ścian zwierciadlanych, migotały na liściach palm, kwitnących kaktusów, na gałązkach bzuw liljowych, hortensji, chryzantem i drżącą smugą położyły się na włosach Natalji.

Była jak w kasku roztopionych dukatów, z pod którego — w tępem oniemienu — patrzyły jej oczy: dwa, czarną krepą zduszone ognie na cmentarzu chorej, znużonej duszy.

Werner myślał:

— Śliczna!... Biały storczyk, zerwany w polu a wyhodowany w cieplarni...

Na sali odezwała się trzecia pobudka do »siarczystego« mazura.

Tancerze ukłękli przed biegunowym fotelem.

Jeden z nich, wyciągnąwszy rękę z dwoma wystającymi rogami jedwabnej chustki, błagał o wybranie którego z nich, a oczyma wskazywał na ten większy, bliższy siebie.

— Nie mam zamiaru tańczyć.

Odpowiedź była tak stanowcza, że udekorowani kotyljonowemi ozdobami rycerze wstali i wyszli.

A wówczas młody uczony, przysunąwszy

drewniany zydeł w pawie pióra na złotem tle, spytał:

— Czy wolno mi nudzić panią?

— Raczej »pannę na wydaniu«, której jako jedyny środek przeciwko nudom przepisuje się małżeństwo...

— Widzę, że pani zawzięta — —

— Nie, tylko rozczarowana.

— Jakto? — —

— Sądziłam, że uczeni nie są zdolni prowadzić szablonowych rozmów, jak naprzykład ci dwaj panowie, którzy stąd wyszli przed chwilą.

Spojrzał na nią zdziwiony, nic nie rozumiejąc.

— Czemu pani nie tańczy? — zapytał nagle.

— Bo wolę rozmawiać z panem.

— A jeżeli nie będę umiał być nie szablonowym?...

— Przeszanę rozmawiać.

Wionęło milczenie, przerywane tylko rytmem biegunowego fotelu.

Kasztanowate jej włosy błyszczały w świetle lamp, jak roztopione złoto; oczy były jak dwa blade zbląkane ognie.

Werner patrzył w nią i mówił sobie:

— Kwiat, biały cudny kwiat. Ale dlaczego taki smutny?...

Przestała się bujać. Siegnąwszy po wachlarz, spytała:

— Co pan pisze teraz?

Na wargach jego zadrgała ironja.

Nie lubił mówić z kobietami o pracach swoich. Wlewał w nie żywą krew mózgu i serca. Były dotąd jedynym jego celem i jedyną miłością. Zwierzać się z nich pierwszej lepszej salonowej pannie, która dla braku innego tematu spytała o nie? Co najmniej dzika niedorzeczność.

— Poganie miewają czasami bóstwa, które czczą pokryjomu, sami dla siebie, przesądnie. Takim fetyszem dla mnie jest twórczość moja. Nie lubię mówić o niej...

To powiedziały usta, a szare zimne oczy dodały:

— Nie troszcz się o nią, ty cieplarniany storczyku. Nie pojmiesz jej, nie zrozumiesz, nie ocenisz...

Odgadła myśl jego.

— Fetysza odstrasza »panna na wydaniu«...

Nic nie odpowiedział. Szare oczy przygasły. Spuścił je i, roztargniony, bezwiednie schwyił koniec gazowej szarfy przy sukni Natalji.

Bawiąc się nim niezręcznie, jak człowiek, który nigdy nic równie miękkiego i przezroczystego nie miał w palcach — spytał:

— Ile pani ma lat?

Wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Zaczyna pan być nieszablonowym. Może teraz prędzej porozumiemy się z sobą...

— Daję pani osiemnaście tylko... ale dziwi mnie ten smutek. W takim młodym wieku i... w takich warunkach...

— Życie może być wesołe dla tych, co mają fetysze. Ja straciłam dawne i czekam próżno na nowe. Ani w sobie, ani poza sobą znaleźć ich nie mogę...

Powlókł po niej matowym, we własne głębie wpatrzonym wzrokiem.

Nieuznana wielkość, a może... zwyczajnie... historyczna poza...

Rzucił koniec szarfy gazowej, schwyciwszy natomiast kulkę złotej bransoletki, która na długim łańcuszku zwieszała się u prawej jej ręki.

Ją bawiło i zajmowało to dziecinne jego roztargnienie. Przypominał Mietka, który, mając coś bardzo ważnego w głowie, chował do kieszeni serwetki zamiast chustek od nosa, krajał widelcem i nożem chleb zamiast pieczeni.

Podobieństwo to obudziło w niej sympatię dla młodego doktora.

Wpatrzyła się w niego i zauważyła, że nawet czoło jego i usta mają coś z czoła i ust Mieczysława.

— Pan zna mojego brata? — spytała nagle.

— Nie.

— Och, muszę go opisać panu.

I zaczęła mówić o nim z zachłannym uniesieniem.

Werner słuchał.

Ten głos — jakby postrzelonego ptaka... cichy, zgaszony ale wnikliwy, ale... jakby dusza sama, z odmętów żalości porwana i bledziutkim ognikiem rzucona... jemu... na piersi...

Zdawało się, że w całym sobie ją ma i... jej zdławiony szloch.

— Widzi pani, więc nieprawda, że tylko ja mam fetysza... Dla pani ten — wierzę — bardzo mądry i — pewnie — bardzo dobry brat... Nie kochałaby go pani tak, gdyby był zły... On też musi panią kochać...

— On?...

Spojrzała na niego z bezbrzeżnym smutkiem.

— On nie kocha ludzi, tylko ludzkość... Zresztą, ja... mnie... skąd?... Przerastał nas wszystkich zawsze o głowę. Chciałam bardzo

zbliżyć się do niego, ale — pan to rozumie — nic mu z siebie dać nie mogę, bo... on niczego ode mnie nie potrzebuje... A brać?... Za bogaty, żeby służyć jednostce. Sama idę przez życie. Tak, zupełnie sama i... dlatego... boli... Czepiam się ksiązek: nic nie rozwiązują. Ludzie — pan ich zna: każdy w siebie wpatrzony. Szukam... czekam... ale... czasami... za trudno...

Ten głos postrzelonego ptaka; ta dusza, spływająca mu na piersi, jak biały podcięty kwiat...

Schwycił obie jej ręce i przywarł do niej ustami.

— Nie smućmy się... Tacy jesteśmy młodzi... Nie trzeba, nie trzeba...

Byłby ją wziął w ramiona; byłby kołysał, pieścił, jak dziecko.

Twardy, pogromczy głos matki i szorstkie dotknięcie wachlarzem przywróciło ich do równowagi.

Werner wstał i złożył frasobliwy ukłon człowieka, nieprzyzwyczajonego do niespodzianek w salonie.

Natalja podniosła się również.

— Pana Wenera poznałaś, mamo, wcześniej, aniżeli ja. Mówiłaś mi o nim kiedyś... My dziś spotkaliśmy się pierwszy raz, ale... zbli-

żyła nas rozmowa o Mietku... Tyle naopowiadałam o nim panu doktorowi...

Ściągnęła jej twarz powłóknął uśmiech. Wrońska z tłumioną pasją podała rękę Wernerowi.

— Mam nadzieję, że część sympatii dla córki przejdzie i na matkę. Pragnęłabym tylko, aby wrażenia mniej dobitnie przejawiały się na zewnątrz w salonie.

Końcami palców dotknęła białej, niesprawowanej dłoni młodego uczonego i — uprowadziła córkę.

W powozie Natalja musiała wysłuchać pierwszej w życiu perory matki.

— Towarzystwo tego... gryziopóra... kompromituje cię.

Mówiła martwym, sennym głosem. Rola moralizatorki przychodziła jej z trudnością, do tej pory bowiem nic nie zajmowało jej prócz własnego powodzenia w salonach.

— Może odstraszyć od ciebie ludzi z poważniejszymi zamiarami... Nie rozumiem, jak mogłaś dopuścić do podobnej poufałości kogoś spotkanego pierwszy raz w życiu... Czy dasz mi słowo, że będziesz unikała nadal tego pana?...

— Nie.

W umyśle jej zapadło postanowienie nie-

tylko nie unikania lecz zbliżenia się o ile możliwości do człowieka, który mógł dźwignąć ją z intelektualnych zwątpień.

Stosunek jej z matką, zawsze chłodny i obojętny, od tej pory ochłodził i zobojętniał zupełnie.

Nie miały sobie nic do powiedzenia. Rozmowa ich ograniczała się jedynie do roztrząsania kwestji sezonowych strojów, do powtórzenia kiedy niekiedy ważniejszej jakiejś towarzyskiej plotki, lub krótkich ogólnikowych pochwał bliższych i dalszych znajomych.

Zresztą, nic ich z sobą nie łączyło. Unikały się wzajemnie, krępując jedna drugą.

— — — — —
— — — — —

Dwa lata minęły.

Któregoś szarego, mglistego ranka Werner otrzymał bilecik, podpisany imieniem i nazwiskiem Natalji:

»Dziś wieczorem między ósmą a dziesiątą będę sama zupełnie. Pragnę pomóc więc z panem w kwestji, która rozstrzygnie o dalszym moim losie. Proszę przyjść koniecznie. Czekam, nie przyjmując w rachubę żadnych przeszkód«.

Przeczytał kartkę raz, drugi, trzeci i zrozumiał to tylko, że stawić się na wezwanie musi koniecznie.

Czego chciał od niego »blady storczyk«?...

Od dwóch lat widywali się często w towarzystwie, na koncertach, w teatrze.

On, który dawniej nie znosił wiru i zgiełku t. zw. »wielkiego świata«, obecnie nie opuszczał ani jednego zebrania, na którym wiedział, że ona będzie.

Zaciekawiała go tym niezwykłym smutkiem młodej dziewczyny, dla której świat stoi otworem a która nie chce korzystać z przywilejów bogactwa, urodzenia i rwie się do czegoś nieokreślonego, szuka ideałów miłości czy pracy, których ani znaleźć, ani nazwać nie umie.

Co tkwi na dnie tego buntowniczego, niespokojnego serca?

Istotne czy urojone tęsknoty?...

Nieraz — przy pracy — podnosił głowę i myślał:

— Czy zobaczę ją dzisiaj?...

Pusty był dzień, w którym nie słyszał jej głosu, nie patrzył w szerokie czarne, krepą żalu powleczone źrenice.

Wrzucał na siebie modne tużurki i białe krawaty, z których śmiał się dawniej. Z bijącym sercem, jak żak na pierwszą schadzkę,

biegł w progi salonów, gdzie wiedział, że spotka ją i pozna odrazu po tem smętnej przechyleniu głowy, właściwym jej tylko, po błędzących dokoła bezmyślnie dużych smutnych oczach i obojętnych, rozziwianych za wachlarzem ustach, które drgały nerwowo na widok czarnych figurek z szapoklakami w rękach i goździkami w butonierkach.

Jego tylko witała zawsze serdecznie. Wiedział, że go wyróżnia.

Pozwalała mu patrzeć na siebie i mówić czasami:

— Jaka pani śliczna!... Jak dobrze z panią!... Jakie mdłe, puste życie byłoby bez błędnego storczyka!...

Raz, bawiąc się chusteczką jej, którą podniósł z ziemi, powiedział:

— Czemu nie jestem bogaty, jak pani, albo pani biedną, jak ja, filozofką?... Byłoby nam dobrze razem. Prawda?...

Podawała mu rękę.

— Przyjaźń nie zna różnic majątkowych, a my będziemy przecież zawsze, jak dobrzy, serdeczni koledzy. Zgoda...

Zatrzymał białą szczupłą dłoń.

— Zabiorą mi panią... Zmarnują... Za rok... może będziesz się śmiała z tej naszej przyjaźni...

I ze zwykłym swem roztargnieniem zaczął obracać cienką złotą obrączkę z wielką diamentową tarczą na jej czwartym palcu.

Cofnęła rękę.

— Nie zabiorą, nie zmarnują. Mam swoją własną wolę: nie pozwolę handlować sobą, jak towarem...

— W waszym świecie... dla konwenansu poświęca się wszystko...

— Ja właśnie chcę wyrwać się z niego: nudzi mnie, męczy... tracę chwilami cierpliwość...

Spojrzał na nią serdecznie.

— Jeżeli znudzi panią nie do wytrzymania, to proszę pamiętać o przyjacielu, który przyrzeka być pogotowiem ratunkowym... zawsze i wszędzie...

Brzmiało to, jak przysięga. Aż dreszcz przeszedł po niej.

Wzięła obie jego dłonie i szeptem:

— Dziś... pana mam tylko na świecie. Reszta — tłum obojętny. Dla ludzi jestem workiem złotą jedynie, przeznaczonym dla wyratowania z upadku podszarzałej jakiejś hrabiowskiej a może nawet książęcej mitry. Pan jeden patrzy na mnie inaczej... Wierzę: w nieszczęściu stanie pan przy mnie... Bez tej wiary... dziś...

nią a córką jedna z tych scen, które wybuchają teraz za łada podniętą.

— Proszę cię, jeżeliby przyszedł baron, bądź dla niego uprzejma: dosyć już tych kaprysów.

— Nie wyjdę do niego wcale. Wogóle przestanę wychodzić do wszystkich *waszyc* gości...

— Póki jesteś w domu — *musisz*...

— Niema takiego prawa...

— Jest obowiązek posłuszeństwa dzieci względem rodziców. Nigdy wam go nie narzucalam, przyszła jednak chwila...

— Kiedy trzeba zwalić mury i iść własną drogą...

— Może w towarzystwie tego chłystka — gryzipióra, który mieni się filozofem a niema z pewnością jednej całej koszuli na grzbiecie...

— Kto wie?... Może — — — Nie zarzekam się — — —

— Wolny wybór, ale — w takim razie — znać ciebie nie chcemy — — —

Z szelestem gaz i jedwabiów wyszła z pokoju, zostawiając po sobie tylko gryzący zapach werweny.

Służący Józef zamknął drzwi za nią. Turkot odjeżdżającej karety rozległ się po chwili.

Założywszy ręce na tył głowy, Natalja zaczęła chodzić po pokoju, spoglądając co chwila na zegar, który miał wybić wkrótce siódmą.

Za godzinę Werner stanie przed nią.

Co mu powie?...

Jak usprawiedliwi wezwanie swoje?...

Czego właściwie mogła żądać od niego?...

Siadła na niskim biegunowym fotelu i, bujając się, zaczęła rozmyślać:

— Jeżeli ma głębsze uczucia dla mnie...

Wiedziała, że ją kocha. Nie powiedział jej tego wprawdzie nigdy, ale mówiły za niego oczy, usta.

Gdyby chciał ożenić się z nią: czy wyszłaby za niego?...

Tak, niewątpliwie.

Uwolniłoby ją to z pod tyranji rodziców, wyrwało ze świata, który ją dławił.

Nie kocha go, lubi tylko i szanuje bardzo. Byłaby jednak dobrą żoną. Cały swój majątek poświęciłaby na jego cele naukowe. Niechby z pieniędzy jej urządził sobie coś w rodzaju wielkiej pracowni Wundta, na której wspomnienie błyszcząły mu radością oczy.

Nie żałowałaby mu niczego: byłaby dumna,

mogąc przyczynić się do ugruntowania naukowych jego badań.

A gdyby rodzice wydziedziczyli ją?...

Zmarszczyła brwi posepnie.

Nie miałby odwagi wziąć biednej: lękałby się jej niezaradności i nawyknięcia do zbytków...

Myśli cisnęły się do głowy, nacierając na siebie, wypierając jedna drugą.

Chciała sformułować jasno, wyraźnie całą rozmowę z nim; od rana biedziła się nad tem i nie mogła powziąć żadnego wyraźnego postanowienia.

— Co mu powiem?...

Wskazówki zegara posunęły się o kilka minut.

— Byłabym dla niego dobrą, szczerze przywiązaną żoną, żeby tylko nie chciał mnie uważać jak dziecko, żeby mówił ze mną o pracach i projektach swoich, żeby wciągnął mnie w krąg umysłowości swojej. Inaczej — znienawidziłabym go chyba...

Przymknawszy oczy, bujając się w fotelu, snuła obrazy przyszłości.

— Ale... czy on zechce widzieć we mnie kiedykolwiek coś innego nad dużą żywą zabawkę, wielki »blady storczyk«, na który trzeba tylko patrzeć miłośnicie, który wolno utulić, upieścić i... poza tem... zostawić w spokoju...

Przecież — nigdy z nią nie mówił poważnie...

Jeżeli zagadnęła go o prace jego, marszczył brwi i cierpko:

— To nie dla pani... nudne, zawile, ciężkie... Pogadajmy o czem innym...

A ją drażniło to do żywego.

Uczyła się na pamięć najtrudniejszych ustępów z dzieł Milla, Spencera, Taine'a, cytowała przy każdej sposobności wyjątki z jego własnych drukowanych studjów dla przekonania go, że pracuje nad sobą poważnie, sumiennie, próżno jednak. Wciąż dowodził:

— To nie dla pani...

I zwracał do innych tematów.

Lubił, żeby opowiadała mu o wrażeniach swoich, upodobaniach, podróżach.

— Głos pani, jak muzyka: upaja i niesie w jakieś nowe światy...

Słuchał z przymkniętymi oczyma i nieraz mówił:

— Taki byłem zmęczony, taki przepracowany, idąc tutaj. Przy pani wypocząłem. Nikt

tak nie opowiada. Chciałoby się malować każde słowo, jak obrazy Fra Angelica...

Ją cieszyło, że coś z siebie dać mu mogła. Ale niekiedy porywał ślepy żal.

Egoista: jak inni, bierze, co można wziąć, a wzamian...

— Bawi się mną, jak lalką — — —

Sto razy mówiła sobie:

— Trzeba go unikać...

Zwyciężał jednak tem ciepłem serdecznem, które w nim czuła dla siebie.

Zresztą, z kim rozmawiać w salonach?...

Nudziły ją coraz więcej stereotypowe frazesy modnych rycerzyków. Ziewała i byłaby przestała chodzić na rauty, gdyby nie wiedziała, że za krzesłem jej zawsze stanie Werner, któremu mogła powiedzieć:

— Niech pan usunie ode mnie X-a: używa perfum, których nie znoszę.

Albo:

— Proszę, nie dopuścić Y-ka, bo dostanę spazmów na widok jego ufryzowanej peruki.

Śmiali się, krytykowali razem plutokratyczny high life i było im dobrze, dopóki ona nie usiłowała naprowadzić rozmowy na temat najnowszych prądów albo dzieł filozoficznych; dopóki nie prosiła o rady i wskazówki w wyborze książek do czytania.

Wymieniał pierwsze lepsze i sztywniał wówczas, milknął, a jej zbierało się na płacz.

Czyż nikt nigdy nie zajmie się nią dla niej samej?...

Zegar wybił ósmą.

W przedpokoju — jednocześnie — rozbrzmiał głos dzwonka.

Natalja drgnęła.

Chwila ostateczna nadeszła, a z nią twarde, mocne postanowienie:

— Powiem mu pierwsza, że zostanę jego żoną. Zapytam... poproszę o szczerłość... Jeżeli zechce...

Werner stanął przed nią, zarysowany nikłą sylwetką w świetle ginącego dnia.

Wzięła obie jego ręce.

— Na złe czy na dobre mam tłumaczyć sobie to wezwanie »mojej przyjaciółki«?...

Siadł obok niej i podniósł do ust długie owalne palce, które zatrzymał w swoich.

A jej zabrakło oddechu w piersiach.

Nareszcie z twardym, kłopotliwym wysiłkiem:

— Chcą wydać mnie za... wór złota i tytuł baronowej... Mam wstręt do tego czło-

wieka: niecierpię go, nienawidzę... nie przekonam się nigdy...

Poprawił złote okulary, rozgarnął brodę palcami, spojrział na nią poważnie i wolno, bardzo wolno:

— Nie można dopuścić do tego... Stanowczo oprzemy się temu...

— Ale jak?... Ojciec groził mi wczoraj wydziedziczeniem, wypędzeniem z domu i... Bóg wie czym jeszcze w razie, jeżeli...

Wybuchnęła głośnym płaczem.

— Ja... ja... wezwałam pana tutaj... ja chcę...

Łzy przerwały jej głos. Nie mogła powiedzieć nic więcej.

A obiecywała sobie być taką spokojną, mówić bez śladu wzruszenia.

Płacz podrywał jej piersi. Gryzła wargi do krwi, chcąc się uspokoić.

Napróżno.

Było jej coraz gorzej.

Jakąś przepaść beznadziejną widziała już tylko przed sobą i — nigdzie wyjścia, znikąd ratunku.

Werner mocnymi swymi dłońmi objął jej ręce i, milcząc, czekał, aż się uspokoi.

Gdy łzy wolniej już spływały po jej twarzy, siadł bliżej i spytał:

— No, czy teraz możemy mówić swobodnie?

Skinęła głową.

A on wówczas:

— Rodzice nie będą pani zmuszali gwałtem do wyjścia za męża za człowieka, którego nie kochasz. To niepodobna: groźby i burze tak tylko: na postrach... Gdyby jednak trwali w uporze; gdyby pani nie miała innej drogi, może... wówczas...

Teraz jemu wzruszenie zatamowało głos.

Nie mógł powiedzieć nic więcej.

Spojrzeni na siebie i — odgadli się...

— Pani wie, jaki byłbym szczęśliwy. Nie śmiałem mówić o tem nigdy... Mam tak niewiele... Trochę pieniędzy po matee, no, i lekcje... Ale na dwoje wystarczy, jeżeli będziesz w stanie zapomnieć o zbytkach, w których wyrosłaś...

Prawie klęczał: tak nisko pochylony był przed nią.

— Ty wiesz, ty to czujesz... Kocham ciebie... tobą tylko żyję i... wierzę w ciebie... Nie mogłaś nie odgadnąć tego... Wiesz, rozumiesz, dlaczego nie mówiłem dotąd?...

Całował jej dłonie, ramiona, włosy.

Nie opierała się. Patrząc na niego, myślała:

— Jak dobrze dawać komuś szczęście!

I, nie odczuwając sama nic więcej prócz wielkiego spokoju byłaby chciała, żeby chwila — ta chwila — trwała wiecznie.

Nagle jakiś szmer.

Służący zapalał światła w sąsiednich pokojach i szedł do nich.

Werner wyprostował się, przetarł okulary.

Wiew milczenia.

— Więc... co... teraz... zrobimy?...

Natalja patrzyła mu w oczy.

— Co zrobimy?... Co zrobimy?...

Powtarzał odruchowo, w zamyśleniu.

I nagle z jasnym, silnym uświadomieniem:

— Czy chcesz wyrzec się dla mnie wszystkiego, co masz teraz: tych salonów, służby, dywanów, kwiatów?

Chcesz zamieszkać w dwóch skromnych pokojach, nie bywać na balach i rautach, mieć w sobie samej i we mnie świat cały?...

— Chcę.

Wpatrzyła się w niego cicho, spokojnie.

— Więc dziś, jutro, kiedy zechcesz, przyjmę cię u siebie, moja... żono!... Pozwól się kochać. Wiesz, prawie nie znam kobiet; nie szukałem ich nigdy... Ty jedna... ty pierwsza...

Znowu całował jej ręce, drżąc ze wzruszenia.

W chwilę potem trzeźwo, przytomnie układali plan przyszłego współżycia.

Gdyby rodzice odmówili pozwolenia, mieli wyrwać się za granicę i wziąć ślub gdziekolwiek.

Sądziли jednak, że — dla uniknięcia skandalu — ojciec i matka ustąpią w końcu.

Jakoż w miesiąc potem nieliczny orszak najbliższej rodziny towarzyszył obrzędowi zaślubin »ekscentrycznej« panny z młodym biednym doktorem, który zrzekł się posagu żony, zostawiając jej samej do woli: korzystanie z niego lub nie.

W kościele szły szeptki o scenach między rodzicami a panną młodą.

Gdyby nie brat, też dziwak, małżeństwo nie byłoby doszło do skutku.

Plotki nie były bez podstaw.

Mieczysław istotnie zagroził rodzicom, że, jeżeli zechcą krępować wolę jego siostry, w takim razie nie wróci do kraju nigdy, nie zniósłby bowiem widoku rodzinnej tyranji.

Na ślub nie przyjechał.

Po co?... Szkoda czasu.

Nie przysłał nawet życzeń.
Do ostatniej chwili czekała.
Próżno.

Ani listu, ani telegramu.
Taki już był.

Ucałowała jego fotografię przed samym ślubem, włożyła ją za stanik i powiedziała sobie:

— Mam jego błogosławieństwo...

Lata pomknęły.

Werner ubóstwiał żonę, ale nie wprowadzał jej w promień działania intelektu swego.

Pracował po dziesięć, dwanaście godzin na dobę z zachłannym jakimś pośpiechem, jak gdyby w obawie, że czas popędzi, a plód jego badań w nim tylko zostanie.

Zakrojone na trzyarkuszową broszurę studjum »Z psychologii tłumów« urosło do rozmiarów dwutomowego dzieła, które było na ukończeniu, gdy wypadł ślub — ta wielka zmiana w życiu.

Pierwszy raz o władnęły nim okoliczności, a nie on niemi.

Pierwszy raz musiał oderwać się od roboty dla spraw swoich osobistych.

W czasie podróży posłubnej dziwnie był

roztargniony, a zaraz na drugi dzień po powrocie z podwójną zapalczywością zabrał się do pracy.

Raz kiedyś, całując szare spokojne jego oczy, Natalja prosiła:

— No teraz, kiedy jesteśmy już jak jedna dusza, powinienesz mnie wtajemniczyć we wszystko twoje... Przeczytajmy choć z pół rozdziału twego rękopisu, żebym wiedziała twoje myśli, nim je pozna świat...

Usunął ją z kolan swoich delikatnie, ostrożnie, wstał i, chodząc po pokoju, powtórzył, co tyle już razy słyszała:

— Widzisz, przy tobie chcę zawsze odpocząć. Kiedy siedzisz ze mną i opowiadasz mi coś, wraca sprężystość myśli. Nabieram sił i siadam do roboty, jak nowy człowiek. Zresztą, mówiłem ci kiedyś: nie lubię dzielić się przemyśleniami swojemi, nim wyjdą z druku. To mój zabobon i... może... dziwactwo... Za to żona pierwsza dostanie książkę moją, sobie poświęconą i — przyrzekam — nie puszczę jej w świat, póki nie przeczytasz do ostatniej litery.

Wziął ją na ręce, jak dziecko, obnosił po pokojach, tulił, pieścił, całował, nazywał »skarbem swoim« i »swojem wszystkim«. Ale w godzinę potem, gdy przyszedł kolega filo-

zof, słyszała, jak, zamknięci w gabinecie u niego, rozprawiali o jakimś rozdziale książki, co do którego mieli sprzeczne poglądy.

I wtedy coś murem stało między nią a nim: żal, gorycz, skarga, niewypowiedziana, ale rozkrzyczana w każdym kącie jej duszy.

Obojętna, chłodna, snuła się, jak błędny cień po pokojach swoich, które urządziła oddzielnie zupełnie, zdaleka od jego gabinetu i sypialni, żeby »nie przeszkadzać mu w pracy«.

— »Smutny błady storczyk, promień zgaszony« — myślał Werner.

— Zajmę się nią, tylko niech skończę z tą książką...

Codzień powtarzał to sobie.

Pierwsze, na szeroką miarę zakrojone dzieło.

Rzuci go odrazu w szeregi uczonych świata całego albo — odbierze wiarę w siebie.

Stawiał nowe tezy; obwieszczał sporne prawdy.

Wiedział: zerwie się burza. Będzie musiał odwalać pioruny — — —

Ale z niezmaconym spokojem pracował gromadząc argumenty, ustalając punkt wyjścia założeń swoich.

— — — — —
— — — — —

Pierwsze tomy wyszły z druku, gdy któregoś wieczora zastukał do pokoju żony.

— Wejdz, proszę.

Na kolanach jej złożył książkę i prosił, żeby, czytając, robiła notatki.

— Będziemy rozmawiali o tem teraz. Nie puszczę w obieg, dopóki żona nie skończy.

Dziwnie był podniecony.

Zrywał się, chodził po pokojach. Zdejmował i nakładał okulary. Szare oczy błyszczały.

Wreszcie siadł koło żony, przyciągnął ją do siebie, oparł głowę jej na ramieniu swoim.

— Gdybyś wiedziała, co ja przeżywam w tej chwili!... Aż bierze pasja. Denerwować się, jak żak przed pierwszym egzaminem. I skąd?... Po co?... Nigdy w życiu tego nie miałem. Ta książka — zupełny przewrót w teorjach. Trzeba będzie stanąć do walki; trzeba odwalać pioruny. Dotąd — pracowałem spokojnie, dla siebie: grupowałem fakty, spostrzeżenia, nie stwarzałem teorii. — — Pierwszy raz te moje własne wyliczenia krzywizn dla telepatycznych transmisji...

Czy kto zrozumie, ile nocy niespanych z tym jednym ćwiekiem?... Wszystkiego mogą zaprzec. Wrzasną: »wziąłeś od Asyryjczyka,

od Persa, od Greka... przeflancowałeś... nie twego« — — —

A po nocach huczało we łbie to tylko... Być w przededniu odbicia o sens ludzki swoich własnych projekcji!...

Czy wiesz?... Nagły tryumf albo — jazda w dół na złamany kark.

Chciałem, jak Spinoza, być poza tem wszystkim. Nie wytrzymałem. Ponosi. Moje prawdy nie będą wieczne. I wściekłość i ból i — jakaś głupia nadzieja. Czy ty to rozumiesz?... Czy ty... mój błady cichy storczyku... Mąż teraz będzie mówił o wszystkim; mąż wyszedł ze skorupy, jak żółw...

Pojedziemy razem za granicę. Do Charcot'a muszę, a potem — do Monachjum. Żona będzie zwiedzała galerje albo chodziła na wykłady: mąż przygotowuje się do nowej roboty.

»Ludzie naszego wnętrza«...

Wiesz, to będę teraz pisał. Świat snów, złudzeń, podświadomość... Morze niewyczerpanych badań.

I ty mi w tem dopomożesz: będziesz śledziła siebie, będziesz zapisywała skrupulatnie każde spostrzeżenie; będziesz badała innych... Przygotuję dla ciebie ankiety. Razem — — Chciałaś zawsze tak pracować — — Widzisz: przyszło.

Błady storczyk będzie miał, co sobie wymarzył — — —

Wstał, wziął ją na ręce, kołysał, całował, pieścił.

A ona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, jak w człowieka obcego.

Nie mogła ogarnąć, nie mogła zrozumieć, co się z nim stało. W kątach duszy powstał lęk:

— Może — warjat?...

Ale nakoniec przyszło jasne, trzeźwe uświadomienie a z niem radość.

Pojadą razem — na studia — on i ona — —

Splynęły dni, jak z bajki.

Mogła mówić z *nim* o jego pracach, jego zamiarach, jego celach. Czytała książkę i wypowiadała sąd o niej, a on zachwycał się bystrością jej uwag.

Storczyk promieniał.

Werner coraz szerzej otwierał przed nim wierzeje intelektu swego. Przygotowywali się do podróży na całe długie trzy lata, gdy zaszło coś, czego nie brali w rachubę.

Natalja miała zostać matką.

Werner pojechał sam.

Wrócił po kilku miesiącach, żeby przywitać syna: małe, kudłate, sine półdjabłę, które darło się nocami.

Coś tak dziwnie obcego: dla Natalji—świat cały, dla niego — drażniący przewrót teraz, kiedy chciał stworzyć duchowe współzycie z żoną, kiedy — dla dopełnienia własnych badań było mu tego trzeba; kiedy plan był gotowy; kiedy tam — zdaleka — tęsknił za swoim storczykiem — — —

Nie mógł wzbudzić w sobie pychy i dumy gatunkowego samozadowolenia:

— »Ród mój nie zginie«...

Może to przyjdzie kiedyś, z czasem... Może rozwinię się w nim nerw ojcostwa. Teraz, zegnając żonę przed powrotnym wyjazdem do Paryża, mruknął niechętnie:

— Że też *to* przyszło akurat w chwili, kiedy mogliśmy być razem i... kiedy... tak chciałoby się zabrać ciebie — — — Głupio same-mu. Czasami aż wyje tęsknota. Słuchaj, za pół roku, gdy odkarmisz tę żabę, możebyś mogła przyjechać do mnie?... Znajdziesz przecież u licha jaką ciotkę, babkę, kuzynkę, któraby przy nim została. Mąż ma też prawo do żony i chce ją mieć dla siebie, wyłącznie dla siebie — —

Spojrzała na niego, jak ptak postrzelony.

Coś zabolalo ją nagle i coś — tak dziwnie, tak gwałtownie, tak — bez pardonu — odepchnęło od niego — — —

Zlekceważyć swoje własne dziecko!... Ją —

matkę — zmierzyć kańczugiem takiej barbarzyńskiej obojętności dla *niego* — —

Pożegnała Wernera, jak obcego.

Miała zaprowadzić go do kołyski Jaska, żeby z jego obrazem w duszy wyjechał. Przygotowała — na ostatnią chwilę — złoty brelok z włosami malca — niespodziankę, którą cieszyła się od rana.

Zostawiła brelok, nie zaprowadziła do Jaska. Przepelnił ją całą głuchy żal bez nazwy; żal chyba wieczny — — —

Odpisywała na listy, które przychodziły od niego, ale o dziecku nie wspominała.

On zapytał raz, drugi; potem — dał pokój.

Pracował od świtu do późnej nocy i — cieszył się niezwykłym plonem.

»Materiał do drugiej książki mojej rośnie. Jestem na tropie nowych zupełnie »zdobyczy. Wprowadzam nieznaną tu jeszcze dotąd — swoją własną — metodę »psychoanalitycznych badań, które dają nieoczekiwane wyniki. Moja „Psychologia tłumy“ — jak przewidywałem — narobiła »wrzawy. Tłómaczą ją na cztery obce ję-

»zyki. Dysputa po pismach naukowych wre,
»jak w kotle, ale naogół wzięto moje
»założenia pod uwagę bardzo poważnie.
»Proponują mi docenturę w jednym z uni-
»wersytetów szwajcarskich, ale jeszcze nie
»czas.

»Za miesiąc jadę do Monachjum, żeby
»dopełnić studjów nad sugestją i autosu-
»gestją, które stanowią ostatni etap moich
»obecnych badań.

»Za rok niespełna wrócę i zabiorę się
»do opracowania zebranego materiału. Je-
»żeli kiedy znowu wyjadę, to już tylko
»z tobą razem, bo smutno samemu.

»Trzeba takiej szalonej pracy po dniach
»i nocach, żeby przyduszać w sobie tęsk-
»notę«.

O dziecku ani słowa.

Jak gdyby go nie miał — — —

Pobył w Monachjum dobiegał do końca;
został jeszcze tydzień niespełna, gdy którejs
nocy przyszedł telegram:

»Jasiek umierający. Krup. Szkarlatyna«.

Przyjechał na sam pogrzeb.

W mgliste zimowe szare południe.

Natalja patrzyła na niego zinnymi szkli-
stemi oczyma, jak na obcego.

Chciała powiedzieć:

— Tyś go zabił — swoim — bezczu-
ciem — — —

Ale głos skonał.

Skonało w niej wszystko: jakiś jęk, który
miała w całej sobie, jakiś płacz — — —

Stała z zaciśniętymi ustami nad otwartą
mogiłą. Śpiewali księża. Drzewa w mgle.

Jak gdyby gdzieś kiedyś była już taka
chwila...

Jak gdyby życie nie było prawdą, tylko
dziwacznym, poplątanym snem — — —

Wywieziono ją za granicę.

Monachjum.

Werner musiał być tam — ten przerwany
tydzień...

Gdzieś jeszcze pojechali później: ona i — ten
obcy człowiek, który zabił jej dziecko swo-
jem bezczuciem — nie rozumiejąc nieszczę-
ścia — — —

Ten pan, który — nazajutrz po pogrze-
bie — mógł pracować, mógł znów myś-
leć swobodnie i nie zmierzył przepaści jej
ból — — —

Ten pan, który — jak gdyby nie nie zaszło — rozsnuwał przed nią plany przyszłości.

Skończy drugą swoją książkę i potem zaję się stworzeniem pierwszej w kraju pracowni psychologicznej na szeroką skalę.

Ona, jeżeli zechce, dopomoże mu w tem materialnie i moralnie: zachętą, bodźcem, pracą swoją — pod jego kierunkiem.

Zgromadzą dokoła siebie wybitnych uczonych. Dadzą podstawy psychologii doświadczalnej, która, silnie rozwinięta na Zachodzie i nawet w Rosji, u nas nie zakiełkowała nawet jeszcze.

— Za rok, za dwa, jak tylko skończę swoją książkę, weźmiemy się do roboty. Tymczasem rób przygotowania: wskażę ci podręczniki...

— Dziękuję. Sama je sobie wynajdę.

Cierpkie i twarde, jak cięcie kańczugiem, jej słowa przerwały rozmowę.

Nienawidziła go.

Móźdz myśleć, móźdz rozumować trzeźwo, spokojnie, gdy stało się *to*...

Po powrocie Werner zamknął się w pracowni.

Do niej przychodzili jacyś ludzie, żeby ją pocieszać.

Nie przyjmowała nikogo.

Czarny cień, snuła się po mieszkaniu, licząc godziny, które jeszcze nie ubiegły.

Raz — w jakiejś książce — natrafiła na zdania:

»Cierpienie jest jak cień życia. Cień —
»sobowtór. Rodzi się, ale nie umiera.

»Żeby mieć świadomość istnienia, trzeba
»cierpieć.

»Wiem, że *jestem*, gdy ból przeżera
»moje trzewia.

»Ból — rozkosz, bo daje wrażenie bytu;
»ból — strach, że będzie wieczny — — —

»Rozciągłość i myśl — mdłe formy po-
»znania.

»Jedyna prawda, że — porwane o śmigi
»cierpienie miljarde globów wirują wśród
»nich wiecznie — — —«

Złożyła książkę, wziętą ze stołu przypadkiem, bo nie czytała teraz wcale.

Dusza jej zapadła w bezbolesną i — zdawało się — niepokonaną drętwicę. Ciało — nie czuła go wcale. W stężonych omrokach dogasały popieliska wrażeń.

Jak kres bytu; jak cichy pochód samouni-
cestwienia.

A książka powiedziała:

— Ból — rozkosz...

Są, którzy cierpią, jak ona, ale cierpieniem
sięgają dna absolutu.

Więc — różną jest treść i forma cierpie-
nia; różny ból...

Nagle dojrzała jakby sto rąk w próżni,
które wyciągnęły się po twarde, zmartwiałe
jej brzemię.

Żeby ulżyć, żeby — razem je ponieść...

Tylko — w rytm odmienny, pod takty in-
nej melodji — — —

Ból — rozkosz, ból świadomość bytu...

Zaczęła czytać.

Książki inne, niż dawniej: wielkie epepeje
cierpienie i przemyśleń i wzlotów ducha: »Ko-
medję Boską«, życiorysy świętych: Legendę
o św. Juljanie, Historję pustelnika z Nowej
Tebaidy, Głoszę św. Teresy.

Aż w omrokach duszy zbudziła się *ich* —
anachoretów — negacja życia.

Odejść od świata, jak oni...

— — — — —
— — — — —

Przypomniała sobie cichy klasztor gór-
ski gdzieś na stokach Karpat, który, dzieckiem
będąc, zwiedzała...

Był jak stężala w rytmie pieśń; jak za-
mknięte oko ziemi.

Jeden pokoik tam dla siebie:

Biała dożywotnia cela...

Kto tęskniłby po niej?...

Werner...

Słyszała, jak pytał służącą co rano:

— Pani zdrowa?... Spała dzisiaj?... Wyjdzie
na przechadzkę?...

Patrzył w nią szaremi swemi oczyma ze
smutkiem i z bezbrzeżnem współczuciem.

Ale ją to drażniło.

Zapisał wszystko, co ma, na pracownię
psychologiczną dla niego. Sama...

Projekt zamieszkania w klasztorze dojrzał
w niej zupełnie.

Miała napisać do przełożonej z prośbą
o przyjęcie jej nie na prawach cenobitki, gdy
wtem stało się coś nadzwyczajnego: przyszedł
do niej — pierwszy w życiu — list Mieczys-
ława.

Drżącą ręką rozerwała kopertę.

»Wiem, że możesz mieć żal do mnie
»za moją szorstkość, moje złe z tobą po-
»stępowanie. Ale dziś—zwracam się do cie-
»bie, jako do jedyne go człowieka, który
»może mi okazać pomoc i serce«.

Krew przelała się w niej radością.
Tak pisał Mietek — *on*, z którym — myślała,
że nic jej już nigdy nie złączy; *on*... ten... je-
dyny...

Całowała list, płakała ze szczęścia.
Pisał do niej; chciał czegoś od niej...

»W tych dniach odwiedzi cię ktoś.

»Dowiesz się wszystkiego.

»Bądź dobra *dla niej*.

»Czy nie mogłabyś jej przyjąć u siebie,
»dopóki nie urządzi się na stałe i nie spro-
»wadzi do siebie chorego wuja, którym się
»opiekuje?...

»Do rodziców nie piszę: ty ich przy-
»gotuj.

»Pani Irena Jaczyńska rzuca dla mnie
»teatr.

»Nie chciałem tego, ale... ona... sama...
»choć ślub nasz dopiero za pięć lat.

»Jańska — bardzo głośny pseudonim:
»musiałaś słyszeć o niej.

»Sercem, intuicją kobiety odgadniesz,
»czy może być szczęśliwa ze mną — dzi-
»wakiem?...

»*Jej sens życia — zapach róży, która*
»*daje rozkosz.*

»*Nie chcemy więcej...*«

List wypadł z rąk Natalji.

Podniosła go i zdumionym wzrokiem ob-
rzuciła raz drugi, czwarty, dziesiąty.

Nie wierzyła własnym oczom.

Tak pisał szorstki, nieprzystępny Mieczysław...

Głośno powtórzyła każdy wyraz i źrenice
jej rozbłysły jakimś obcym, niepojętym dla
niej szalem radości.

Złożyła ręce, jak do modlitwy.

Tyle szczęścia!...

Chciała wybiedz na ulicę, spotkać mnóstwo
znajomych i każdemu wkrzycheć w same
uszy:

— Brat mój pisał do mnie. Brat — mnie —
pierwszej — powierzył... swoją... tajemnicę!...

— — — — —
— — — — —

Klasztor, samotnia, askeza...

Jakże dziecinne były te projekty!

Nie ponura skrucha pokutnicy, lecz wrzące,
pełne wrażeń jutro ją czeka.

Znalazła cel wreszcie.

Brat — ubóstwiany — w jej ręce złożył przy-
szłość swoją.

Będzie kochała *jego* miłością, cieszyła się
jego szczęściem...

Może... kiedy... powie jej:

— Zawdzięczam ci, co najlepsze w mojem
życiu...

On... narzeczony; *on*... zakochany!...

Cień lekkiej, jak opar wiosenny, zazdrości
przemknął po jej twarzy.

— Czemu ona zdobyła go sobie?... Dla mnie...
jego miłość... marzenie!... próżne — — —

Ale zły głos przycichnął sam w sobie.

Tyle, tyle szczęścia!...

Opanowała ją nagle chęć ruchu, czynu, za-
jęcia.

Doznała wrażenia człowieka, mającego mnóstwo
interesów na głowie i mnóstwo zleceń
na ustach.

Byłaby gdzieś pobiegła, czegoś dokonała.

Sama nie wiedziała, jak zakończy dzień,
pełen wrażeń.

Spojrzała na drzwi gabinetu męża.

Wiedziała: siedzi, pracuje.

— Wejdę do niego, powiem mu, że jestem
taka, taka szczęśliwa!...

Ale chłód, obojętność, niechęć powlokły
twarz jej nagle.

— Czy *on* to zrozumie?...

Tego wieczora jeszcze zajęła się porządko-
waniem i przyozdabianiem dwóch najświet-
niejszych pokojów dla *niej*.

Nazajutrz przy obiedzie — ze zwykłym
chłodem — jak gdyby nie przywiązując do
słów swoich żadnej wagi, powiedziała:

— Mieczysław pisał do mnie wczoraj. Zo-
stał narzeczonym. Prosi, żebym przyjęła u sie-
bie na jakiś czas *jego* narzeczoną. Ma przyje-
chać niedługo. Znakomita śpiewaczka. Rzuca
scenę dla niego. Mają czekać na siebie pięć
lat. Naturalnie, to, co mówię, przeznaczone
jest tylko dla ciebie...

Obrzuciła go martwym, nakazującym mil-
czenie spojrzeniem.

— Rodziców wtajemniczy się w to wszyst-
ko później dopiero. Mam ich przygotować.
Mieczysław — wiesz — nie lubi scen i awan-
tur, chociaż, naturalnie — w każdym razie —
postawi na swoim...

Werner spojrział na żonę.

Z za chłodu ust i wzroku, w rumieńcach twarzy, w pogodzie jasnego czoła dostrzegł wielką jej radość.

Wstał, pocałował ją.

— Ciesz się mnie, że nie będziesz taka sama. Mieczysław nie mógł zakochać się w głupiej kobiecie i kobotynce. Więc da ci więcej, niż miłą towarzyszkę.

Na czarną kawę przeszli do buduaru, gdzie czekał na nich gość: kolega Wenera.

Rozmowa potoczyła się na temat spraw bieżących.

Nie wrócono już do poprzedniej kwestji.

W tydzień później — któregoś słonecznego południa — służący wręczył jej długi wążki bilecik.

»Irena Jaczyńska«.

Zerwała się. Chciała wybiedz na spotkanie. Stała jednak.

Coś ścisnęło ją w krtani, w skroniach.

Chwila, wyczekiwana z takim niepokojem i taką niecierpliwością, nappełniła ją nagle wielką trwogą.

Co sobie powiedzą?...

Jak się przywitają?...

Czy uczują dla siebie ten pierwszy błysk

sympatji, który zdecyduje o przyszłym stosunku?...

— Proś — rzuciła służącemu.

Nie zdążyła podejść do progu, gdy na szyję jej padły miękkie, pachnące ramiona, do ust przywarły słodkie, gorące usta, u nóg rozsypały się kwiaty.

— Mietek... pan Mieczysław... tyle mi mówił o pani. Tak pragnęłam ją poznać. Z bijącym sercem szłam tutaj... Bałam się, nie wiedziałam, jak mnie pani przyjmie... Teraz już nie. Przeszedł strach. Pani musi być bardzo dobra... Pani bardzo kocha brata: wiem o tem... więc i mnie także...

Ścisnęła ją, całowała, odrywała usta od ust Natalji, żeby spojrzeć na nią a potem przytulić się do niej na nowo.

A Natalja stała w bezruchu jakiegoś rozkosznego, choć prawie bolesnego oniemia.

Przeżywała dziwną chwilę.

W jakąś przepastną ciemnicę zapadało całe dawne jej życie: ten brak woli a przerosł nieunormowanych, niesamowitych pragnień; ta gorycz wieczna, która poszarpała duszę; ta gorycz zawodów i to wielkie ostatnie nie-szczęście.

Jeszcze szarpały się w niej krzyki bólu, silne jak życie samo, gdy już stawały na os-

cież nowe wierzeje — ze szczerego złota —
i prowadziły do nich słodkie białe ręce.

Jej ręce...

Patrzyła w wielkie błękitne oczy czarodziej-
skiego zjawiska.

I napatrzeć się nie mogła.

Patrzyła na płowe włosy ze złotym po-
łyskiem, na białe jasne czoło na alabastrową
szyję i słodkie mięsiste usta. Słuchała głosu,
który był jak srebrna sygnaturka, jak piesz-
czota cudu:

włoskich skrzypiec Amati.

I nie mogła się dosyć nasłuchać.

— Jakaś ty piękna!... Jak ciebie... trzeba
kochać!

Ktoś za nią to powiedział. Z głębi pod-
świadomych wrażeń padły słowa oczarowa-
nia...

Aż bała się tego jej uroku.

Taka prostota i taka szczerowość w... aktorce!...

Żeby nie zasadzka na Mieczysława; żeby —
nie podejście!...

Serce jej zabiło.

Zmrużyła powieki, wstydząc się swych po-
dejrzeń.

Te wielkie błękitne oczy — prawie dziecka —
nie mogły kłamać.

— Jak, kiedy poznaliście się?... I... czy od-
razu?... Kto w kim pierwszy?... Jak przyszło
do wyznań?...

W Rzymie dwa lata temu spotkali się na
polskiej wilji.

Słyszał ją już przedtem na scenie. Chodził
na każdy jej występ. Wiedziała o tem. Ale nie
chciał się zbliżyć.

Nie znosił przecież kobiet.

Wtedy — na tej wilji — taki był nastrój!...

Wzięła go kilkoma pieśniami Moniuszki
i kolędą.

Och, a ona?... Odrazu, odrazu: na śmierć
i życie.

Jak proroka, jak Boga...

Inny był od wszystkich.

Tyle o nim słyszała, zanim go poznała!...

Nazywano go apostołem religii cnoty. Taki
młody, a już był wiceprezesem Ligi, do której
przystępowali najwybitniejsi ludzie wszystkich
krajów.

Znają go w całych Włoszech.

Trzy lata temu, po przemówieniu na otwar-
ciu międzynarodowego kongresu pokoju, wszyst-
kie ilustracje dały jego portret.

— Już wtedy zakochałam się w nim. Czy...

gdybyś nie była jego siostrą... też byś się nie zakochała?... No, powiedz: przecież niepodobna...

Wstała, podeszła do brązowego popiersia śpiącej kobiety.

»Zima« Laszczki czy Szymanowskiego.

— Jakie to cudnel!... Miet podarował mi coś podobnego.

Siadła napowrót.

Wzięła obie ręce Natalji:

— Czy wiesz — gdy któregoś dnia powiedziano mi, że wyjechał z Rzymu — zemdlałam. Nie można było docucić mnie przez godzinę. Sama nie wiem, co się stało ze mną. Doznałam wrażenia człowieka, którego z tyłu zniecka powalono pięścią. Och, a wtedy jeszcze nic, nic nie było między nami! Ja tylko uwielbiałam go.

On zapisał się do Ligi pokoju i wszystkich Lig etycznych, bo wierzy, że wypracowanie zasad dobra, które kiedyś zwycięży, jest celem narodów i jednostek.

Złe musi zniknąć, tylko trzeba, żeby więcej było żołnierzy cnoty i żeby ludzie wyszli ze stanu znieczulenia.

Ogół nie jest ani zły, ani dobry. Ligi powinny przeciągać na swoją stronę bierne gromady.

Ale głównem jego zadaniem — wiesz — jest teraz studjowanie związków robotniczych, urzędzeń współdzielczych, domków z ogródkami, ochron i szkół dla dzieci fabrycznych.

Zwiedza instytucje, gdzie pracownicy dopuszczani są do zysków pracodawców, żeby zaprowadzić coś podobnego u siebie, gdy obejmie po ojcu zarząd fabryki.

Mówił mi, że musi mieć swobodę działania: inaczej — rzuci wszystko.

Ach, przecież to nie człowiek: to — Bóg!

Wstała.

Na marmurowym słupie w rogu pokoju, w wielkim kaukaskim wazonie stał bukiet żółtych róż.

Wyjęła dwie, przypięła do stanika i przejrzała się w lustrze.

— Dlaczego Mieczysław wyjechał wtedy z Rzymu? — spytała, prowadząc za nią oczy, Natalja.

— Dlaczego?...

Siadła, przechyliwszy się ku różom, od których biła lekka, nie odurzająca woń świeżej herbaty.

— Uciekł... przede mną. Bał się, żeby nie było zapóźno... A ja... ja... ty... pani to rozumie. Raz pokochawszy go, nie mogłam zapomnieć o nim. Z rozpaczcy po jego wyjeź-

dzie nie występowałam kilka tygodni: nie mogłam; coś dławiło w gardle. W dziennikach pisano, że zapadłam na nostalgię i pragnę wrócić do kraju. Miałam rzeczywiście taki zamiar przez chwilę: chciałam rzucić wszystko i osiaść gdzie, w jakiej nędznej polskiej wioszczynie, śpiewać z organistą na chórze, żeby tylko być bliżej niego. Działo się ze mną coś, czego zrozumieć i wytłomaczyć sobie nie mogłam. Szalałam z tęsknoty.

Któregoś dnia — w »Trybunie«, piśmie, które zajmowało się nim najwięcej, przeczytałam, że »młody polski socjolog i finansista« udał się na kursa nauk społecznych do Paryża.

Wzięłam urlop: pojechałam za nim.

Po bulwarach i parkach, po muzeach, galerjach, wystawach, po zakamarkach dzielnicy łańskiejskiej, przed gmachem owych kursów szukałam go.

Napróżno.

Wróciłam z opętaniem tęsknoty i — z bezwładem anemji.

Lekarze kazali mi kąpać się w morzu.

Wybrałam Bretanję, bo tam... z Paryża... może... on...

Stałam w maleńkim hoteliku w »Le Palais« na wyspie, w głębi której — nad brze-

giem »dzikiego oceanu« miała letnią swoją siedzibę Sara Bernhardt.

Lew i piramida, wyżłobione w skale, strzeły pałacu, podobnego do staro-hebrajskiej świątyni a wybudowanego ze szczątków staro- fortu.

Morze waliło w niego piątą, dziesiątą i dwudziestą falą, a o kilkaset kroków — na przeciwnym cyplu — woda »spokojnego oceanu« podpływała cichutko pod ogrodzenie olbrzymiego parku, gdzie Sara — w fartuchu, w słomianym kapeluszu — hodowała króliki i gołębie.

Co rok w lipcu zjeżdżała do siebie.

W »Le Palais« wylądowywał okręt z dwoma dużemi, jak olbrzymie kuce, psami i z parą maleńkich, jak duże psy, koni.

Nie zdążyłam rzucić z siebie podróżnego płaszcza w hotelu, gdy uderzył mię wezbrany jak pełne morze krzyk, hałas, szum głosów w porcie.

»La grande Sarah qui vient...«

Z ust do ust szła nowina.

Bardziej wtajemniczeni dodawali sensacyjnie:

— Prócz wielkich, jak konie, psów i małych, jak psy, koni — jedzie kołyska — dla... wnuka!...

— Przysięgnij, że nie rzucisz mnie nigdy...
Widzisz — cud!... Ja — bez ciebie — szaleństwo!...
ja... tysiąc błędów popełniłam z tęsknoty...

Przysiągł.

Spłynęły dni jak z bajki.

Coś się w nas zrobiło: byliśmy jak dzieci.

Dłoń w dłoni biegaliśmy po liljowych wrzosowiskach, tarzaliśmy się w trawie, całowaliśmy kwiaty albo szli na połów krewetek, albo — harcowali po grotach.

Podczas odpływu — całe amfilady. Dzikie kormorany mają w nich gniazda a na dole pełno toczonych jak białe pastylki kamyków i muszli: błękitnych, topazowo-żółtych, fioletowych, kremowych w czerwone cętki.

Zbieraliśmy je i opowiadali sobie o zbójnikach, którzy gromadzą skarby.

A morze huczało i — czasami — podpływało nam pod nogi, że ledwie żywi i cali zdołaliśmy uciec z labiryntu pieczar.

Potem — w słońcu — radość...

— — — — —
Nauczyłam go żyć. Przedtem nie wiedział, że można śmiać się, cieszyć i miewać szalę radosne.

Chciał siebie, jak złoty dukat, rozmienić na małe pieniądze i rozdać całego.

Ja go w niczem nie powstrzymam. Przez

te pięć lat »naszej próby« będzie jeszcze studjował, będzie przygotowywał się do wielkiej pracy w kraju dla swoich, ale już nie jak dawny suchy społeczny mól.

Zrozumiał, nauczył się dużo przez to »swoje własne« życie.

Czy wiesz, co mi powiedział kiedyś o tobie?...

»Dokuczałem jej, bo... bałem się swojej dla niej słabości... bo była jak bładny storczyk: za miękka, za tkliwa. Mogła mnie wciągnąć w krąg swoich rozkwileń a ja muszę być twardy, jak kamień«. — — —

Przyszła... taka sobie... aktorka i uległ.

Teraz mówi, że — ślepy — byłby przeszedł przez życie. Miał w sobie imperatyw logiki cnoty; dziś ma imperatyw uczucia cnoty.

Co silniejsze?... Co trwalsze?...

Ostatnia noc przed wyjazdem z Bretanji...

Na bicyklach wzdłuż i wszerz przebiegliśmy ją całą.

Aż nareszcie trzy dni w maleńkiej dziurze, gdzie tylko jeden hotel i olbrzymie pełne morze, i wykuty w skale ręką pustelnika świętek z granitu, i szary pałac głośnego polskiego uczonego na wyspie, która podczas przypływu

chowa się cała, stercząc tylko wieżycami i sylwetą gmachu; i setki latarni na cyplach lądów, na czubkach raf podwodnych.

Czerwone, szafirowe, żółte, błękitno-amarantowe, gasnące na minutę i znowu tężejące nabrzmiałym blaskiem.

Jedna w rytm odpływu i przyptywu porwana melodia morza; jedna rozkołysana arabska barwa.

Jakiś smutek od niej i jakiś ból.

Pustelnie latarników, wieczysta włóczęga okrętów-widm...

Wtuleni w siebie, słuchaliśmy symfonji światła tej ostatniej nocy.

Jedno — najdalsze — było »Miet«.

On.

Drugie — na przeciwnym końcu — »Ra«.

Ja.

— Widzisz, jak idą do siebie ich promienie, ale one same nie zejdą się nigdy...

Oderwałam głowę od jego piersi.

— To jest: ja i ty... nasze dusze... Powlokły się do siebie przez lądy i morza, a jednak nasza najistotniejsza treść: my sami, nasze ludzkie przeznaczenia mają zostać — każde na brzegu?...

Zadrżał.

— Tak.

— To znaczy...

— Dziś... ostatnie... nasze...

— Miet!...

Morze krzyknęło za mnie czy ja sama?...

Nie wiem.

Coś przeraźliwego: głos, który mógł zabić, porwał się nad naszymi głowami.

Nie rozumiałam go. Nie wiedziałam, skąd idzie... Tylko zatrzęsłam się cała ze strachu.

On otulił mnie ramionami, przycisnął do siebie i, jak wtedy, raz już:

— Nie bój się, maleńka...

A potem jeszcze:

— Pomówimy.

Wpiłam w niego palce, bo myślałam: »ucieknie...« A ja wtedy... ze skały tego świątka... prosto, prosto w morze...

Nie uciekł. Trzymałam go mocno.

Zaczął mówić.

— Widzisz, dziecko: nasze drogi różne. Ty świecisz, jak słońce. Ja — z tych, co żelazną kłamrą muszą spinać fundamenty twardej doli, żeby — udźwignąć słońca.

Świeć, jasny poranku! — Dalaś mi promień, zbudziłaś: więcej — nie można dla siebie... więcej — byłaby zbrodnia. Musisz dać innym, ty... ptaku!... Więzić ciebie nie chcę. Iść z tobą — w to twoje słońce — nie mogę: oderwałoby od

twardych, żelaznych spoidel. Pożegnamy się. Może kiedy... znowu... Ty... moja pierwsza królowo...

Wstał, a ja cisnęłam mu się do nóg z płaczem i groźbą.

— Nie rzucaj... Nie odchodź... bo ja... z tej skały... zaraz... nie czekając ranka...

A światełka nasze: »Miet« i »Ra«, kołysały się w mgle nocnej, a szła od nich jakby pieśń nie z tego świata; szło kochanie, jakiego jeszcze nie było: wieczne — na śmierć, na życie — — —

Pochylił się: chciał podnieść mnie, ale go przyciągnęłam.

Siedliśmy znowu na białych, mokrych od łez moich i łez nocy piaskach.

Wtuliłam się do niego i mówiłam:

— Ja — przysięgam ci — z tobą czy bez ciebie na scenę nie wrócę nigdy. Ja — odkąd tyś przyszedł — znienawidziłam teatr, bo — trzeba udawać a we mnie tylko jedno:

Ty — — —

Przepelniasz mnie całą i niema już drobiny, atomu bez ciebie. Budzę się, wstaję z tobą i, jak na ścięcie, idę... śpiewać...

Tobie tylko chcę: nikomu... *Ty jeden* masz prawo do... pieśni we mnie...

Nie wierzysz?... Każ czekać, próbuj, ale — nie rzucaj... bo... z tej skały...

Wiew milczenia, długiego jak skowyt odlatującego w bezkresy morza, które — wraca.

Wtuleni w siebie, ciepłem oddechów grzailiśmy zziębnięte ramiona i ręce nasze.

Świtało już. »Miet« i »Ra« zgasły, gdy wracaliśmy — każde do pokoju swego — w dole, za diunami.

On przysiągł: będzie czekał. *Ja* — że nigdy nie przeszkodzę jego pracy, nie poderwę jego ideałów, nie stanę wpoprzek jego zamierzeniom.

Wzięliśmy cichy ślub narzeczeństwa. Napisał do ciebie. Jestem.

Patrzyła na Natalję wielkimi szczeremi oczyma.

— Ty... dziwisz się... Ty... nie byłabyś tego nigdy zrobiła?... Ty...

Pozwól mi tak mówić do siebie. *Jego* siostra... nie mogę: »pani«... Ja będę dla ciebie »Ra«, jak on mnie nazywa; ty dla mnie »Tala«... Tak mówiłam o tobie zawsze do niego...

Wstała. Doszła do otwartego okna, koło którego przechodziła w tej chwili mała bosa dziewczynka. Wychyliła się i rzuciła jej odpiętą od stanika różę, a potem wróciła i, objawszy ręce Natalji:

— Tak, ty... wy wszystkie damy światowe nie byłybyście zrobiły tego. Pierwsza wyznać miłość i... nie pozwolić odejść... Duma, ambicja byłyby was poniosły. Ale... widzisz... ja... wobec niego... nie mam dumy... Zabrał mnie całą... on. Czekałam na niego, odkąd jestem. Dziwne: nikt nie zrozumie. Miałam sny o nim, zanim go poznałam... Opowiem ci to kiedyś. Wszystko, wszystko opowiem. Będiesz mojem sumieniem, ty, blady storczyku...

Wplotła się w nią ramionami, pachnąca, gibka a mocna w uścisku — na śmierć, na życie — — —

Słońce złościło ich głowy i radosnem ciepłem objęło stopy, ręce, piersi.

Kołysały się i piły słodycz jasnego południa i mówiły sobie rzeczy, dla nich samych ważne a coraz, coraz bliższe.

Natalja jeszcze badała:

— Fałsz czy prawda?...

Ale nazajutrz i po miesiącu, po dwóch nie miała zwątpień.

Pisała do Mieczysława:

»Kocham ją. Wyrwała mnie z czarnych odmetów.

»Dała nowe życie.

»Kogo wprowadzi w krąg szczerych, pro-

»stych a głębokich jak bezdnia swych uczuć, —
»ten musi być szczęśliwy«.

Mieczysław wcześniej, aniżeli zamierzał, wrócił do kraju, wezwany przez chorego ojca, który nie mógł dłużej pracować.

Objąwszy zarząd fabryki, zaczął wprowadzać w czyn ideały swoje. Budował domy robotnicze, zakładał ochrony, szkoły, czytelnie, park ludowy, sklep współdzielczy, żłobki, otworzył szpital i kasę emerytalną, opracowywał wreszcie projekt dopuszczenia robotników do zysku od dochodów.

Ojciec burzył się, protestował, ale, czując, że nie zwalczy oporu, dla uniknięcia starć nieuniknionych a morderczych, wyjechał z żoną za granicę na czas nieograniczony.

Bliższa i dalsza rodzina uważała młodego Wrońskiego za dziwaka, świadomie dążącego do zguby.

— Odzywają się w nim ekscentryczności stryja...

To było zdanie powszechne.

Znajomi patrzyli na niego, jak na warjata, z litościwem wznoszeniem ramion w górę i opuszczaniem ich, on jednak, na nic nie zważając, szedł raz wytkniętą drogą: prosto, bez zboczeń.

Natalja pod jego wpływem otworzyła szkołę dla starszych dzieci robotników i objęła nad nią kierunek, co zajęło jej kilka godzin dziennie.

Stała również pracownia psychologiczna z oddziałem pedologii.

Pod kierunkiem Wernera przeprowadzała ankiety, zbierała psychogramy, rozdawała testy.

Uczuła się wreszcie *czemś* na świecie. Życie jej popłynęło pełną, bystrą falą. Nie rozumiała, myślą objąć nie mogła swej dawnej wegetacji.

Irena z chorym wujem zamieszkała w ich domu.

Widywały się codziennie.

Tygodnie, miesiące, lata mijały, jak jedna godzina. Ślub miał odbyć się wkrótce, gdy wtem...

— — — — —

Mówi się: »mój rozum«, »moja wola«, wierząc w to coś, co czuwa w nas, co — jako nasze ja — ma być regulatorem, kierownikiem każdego czynu.

Wewnętrznym wzrokiem postrzegamy je jako coś zewnętrznego: pion równowagi.

Jedna szalona chwila — przewala się pioninie w jakimś omroczeniu treści zasadnicza. Wypęta z czeluści to obce; wali się błąd.

Nie możesz powiedzieć: »ja to zrobiłem, boś był kimś, nie sobą... Kimś, co zginął, przepadł, nie wróci, a ty — musisz ponosić odpowiedzialność wieczną — — —

Twoje główne ja wraca i nie chce wiedzieć o tamtem — pomyłone — — chce, żeby zatraciło się w otchłaniach zapomnień, jak suchy zwiędły liść pod runią wiosenną.

Ale tamto idzie za tobą — błąd: zatracony pion.

Jeżeli przycichł, wypęta gadem w chwili, która jest jak biały sen — — —

— — — — —
Natalja otworzyła ciężkie zmęczone powieki.

Zasnęła nad ranem dopiero — po nocy, w ciągu której, jak paciorki różańca, przesunęła się przed nią przeszłość w kolejnych, z mozołem wysiłku i napięciem woli szeregowanych obrazach.

Przez zasłony okien przeświecało słońce.

Zerwała się.

Musiało być późno: może przespała godzinę, w której codziennie chodziła do swojej szkoły?

Wstała szybko.

Zwykle nie późniała się ani minuty.

Z gorączkowym pośpiechem podniosła żaluzje i zadzwoniła na służącą, żeby przysłała pomódz jej w ubraniu.

Spojrzała na zegar.

Po dziesiątej.

Od kwadransa powinna była być w szkole.

Choćby śpieszyła się, nie wiem jak — nie zdąży.

Sięgnęła po bieliznę, codzień przygotowywaną z rana.

Wtem spostrzegła, że jest w białym szlafroku. Ręce dotknęły miękkiej wełny.

Spała, nie rozebrawszy się.

— Co to znaczy?...

Stanęła przed lustrem i spojrzała na siebie.

Oczy miała czerwone, zapuchnięte od płaczu. Głowa ciężka, jak po zażyciu opjum.

Chwiejąc się, zawróciła do łóżka, gdy wtem coś zaszeleściło jej pod stopami.

Papier: żółty, zmięty papier.

Podniosła go i nagły, przemocą zduszony krzyk oprzytomnienia.

List Ireny.

Strzaskana, jak ciśnięty w odmet relikwiarz, zdeptana, zbrudzona dola — *ich trojga*...

Podniosła kartkę, a gorycz, rozpacz, ból dnia wczorajszego przeleciały przez nią skowyttem wtórnej udreki.

Kazała odejść służącej, która w progu czekała, żeby ją ubrać. Rzuciła się na fotel i znowu ten wczorajszy — bez opamiętania szloch; — znowu rozterka.

Co robić? pokazać listy czy — zdusić w sobie jad tajemniczy, wsączyć go w krew, w mózg

własny, żeby zwolna zatruwał ją tylko, nikogo prócz niej?...

Irena...

Dlaczego zataiła *to* przed nimi? Jak mogła?...

A Janicki...

Zburzyć gmach szczęścia, z takim mozołem wzniesiony, potargać czyjś byt cały, zmienić w rumowisko ugruntowaną mocno treść życia...

Dziś jeszcze pojedzie do niego.

Pan tajemnicy...

Rzuci mu się do nóg; za jakąbądź cenę wyżebrze milczenie.

Musi to zrobić natychmiast; inaczej... obieg nie całe miasto nowina:

»Wroński żeni się ze znaną awanturnicą«...

Wstała. Oczy jej wyschły. Nie mogła już płakać. Za dużo łez wylała od wczoraj.

Musi odszukać Janickiego; musi rozmówić się z nim dziś jeszcze, w tej chwili.

Zadzwoiła na służącą; kazała podać sobie suknię, palto, kapelusz.

Ubierając się, drżała z wysiłku.

Twarz jej wychudła w ciągu tej jednej nocy, jak po strasznej gorączce; policzki zapadły; oczy pchnięte, w głąb czoła, zaszyły czarno-sinemi obwódkami; do spieczonych warg przy-

wał wyraz przerażenia i bezgranicznej niemocy.

— Chyba miałby serce z kamienia, gdyby go nie wzruszyła męka nasza...

Wyszła z pokoju. Minęła drzwi otwarte. Wtem stanęła.

— A... jeżeli kiedy... przypadkiem... brat mój trafi na ślad prawdy i uczyni mnie odpowiedzialną za ukrycie jej przed nim: co powiem wówczas na usprawiedliwienie swoje?... Czy wyjmę z piersi własne serce i każdej żywej ranie każę mówić za siebie?...

Oparta o framugę drzwi, patrzyła w jakiś jeden punkt ponuro. Myśli, jak zwichrzone chmurzyska, kłębiły się w mózgu, nacierały na siebie, spychając jedna drugą, kalecząc, krwawiąc czaszkę i skronie.

Odeszła wreszcie od drzwi, zamknęła je i siadła w fotelu, zasłoniwszy oczy rękami.

Iść — nie iść?... Podrzeć list czy — zostać?...

Wstała jednak, postanawiając dzwonić do wszystkich hoteli o adres Janickiego, gdy wtem drzwi uchyliły się cicho i stanęła przed nią Irena.

Świeża, pachnąca, z irysami przy staniku, tylko trochę bledsza, niż zwykle, i z błyskiem niepokoju w oczach.

— Przyszłam cię odwiedzić po wczorajszym wieczorze. Musisz być bardzo zmęczona...

Głos jej był cichszy i jakiś skupiony.

Natalja spojrzała na nią pełnemi smutku oczyma, ale nic nie mogła powiedzieć.

Dławiły ją łzy.

— Tobie coś jest — widzę. Jakieś zmartwienie. Powiedz, powiedz wszystko!...

Ukłęka przed nią, wtuliła głowę w jej kolana.

I ona była wzburzona; i ona całą noc spać nie mogła.

To straszne pytanie:

— Powiedział czy nie?...

Miał przyjść; do dwunastej czekała: nie był.

Może wyjechał?... Może... postanowił milczeć?...

W jego mocy ich los: przecież — nie mógł być okrutny...

Całe rano — pełna trwogi — tłukła się po pokojach. Odprawiła uczennice: nie mogła mieć lekcji. Co chwila wyglądała przez okno i nadsluchiwała dzwonka.

Gdy wskazówki zegara minęły południe, ubrała się, wyszła. Pędził ją strach i niepokój.

Przed mieszkaniem Natalji doznała ulgi.

— Nie powiedział, zmilczał. Zresztą, choć-

by... nie uwierzą. W najgorszym razie — wytłómaczę, usprawiedliwię wszystko...

Prawie pogodna, z uśmiechem na ustach weszła do pokoju Natalji.

Ale tu... znowu ten bolesny — aż do zadławienia — niepokój.

Natalja nie podniosła się do niej. Ciężarem pochylonych ramion, pleców, głowy jakby przywarła do ziemi.

Tak mógł wyglądać tylko człowiek, którego zbiczowała rozterka.

— Powiedz wszystko, całą prawdę, Talus ty mój...

Przywarła twarzą i drżącymi, rozpalonemi wargami do rąk jej.

Dłgie, jak pochód smutku, milczenie.

Wreszcie:

— Czemu zataiłaś przed nami... tamto... *bląd* swój?... Czemu... odrazu... Mieczysław byłby ci przebaczył... Dziś... co teraz zrobić?...

Ręce jej trzęsły się, gdy wyjmowała z za gorsu poźółkły arkusik papieru, który Irena poznała odrazu.

Jakiś tępy, twardy krzyk.

Porwała list: chciała z nim uciekać, została jednak w bezruchu odrętwienia.

Wtem — coś ją zwaliło do kolan Natalji; zaczęła całować jej ręce.

— Ja... nie dlatego... żeby wydać wam się lepszą... Ja... mnie się zdawało: miłością okupiłam *bląd*... Nie wiedziałam, że, jak upiór, cień wstanie zgrzytem nieszczęścia... Gdybym była przeczuła!... Chciałam, żebyście mnie kochali, jaką dziś jestem... w *nim* odrodzoną... Wtedy... nie ja byłam zła, tylko dola, która zmusiła mnie do podłości...

Gdybyś wiedziała, ile nocy... przez to... bez snu...

Pieniądze, kosztowności, wstążki, kwiaty, których pełne kosze przysyłano za mną do teatru, wszystko oddawałam na biednych. Myślałam, że zmyję hańbę, aż zapomniałam o niej w końcu.

Wiesz — nie umiem martwić się długo.

Poznałam Mieczysława. Zabrał całą moją duszę.

Nie chciałam kłamać ani ukrywać przed wami, tylko... myślałam, że... tak będzie lepiej.

List — sądziłam — zniszczony, tak błagałam o to!...

Gdybyś wiedziała, jaka ja nieszczęśliwa byłam wtedy: gdybyś ty wszystko wiedziała!...

Lkanie, zduszone w sobie, wstrząsnęło nią.

Pierwszy raz błękitne oczy — prawie dziecka — straciły wyraz pogody; pierwszy raz

białe gładkie czoło przeszyla głęboka bródka pionowa.

Zrzuciła z siebie szal, który ją obcisnął. Całując ręce Natalji, płakała.

Wreszcie, jak mała cicha dziewczynka, siadła u nóg jej, oparła głowę o kolana i, tuląc do czoła, do twarzy, do skroni rozpalone jej ręce, mówiła prawie szeptem:

— Gdybyś ty знаła moje życie, nie potępiłabyś mnie: przebaczyłabyś...

Dlaczego nie mówiłam o tem nigdy?...

Podniosła głowę i znowu patrzyła czystem spojrzaniem dziecka.

— Widzisz, ty, której życie nie ciskało jak belki na pełnem morzu — z falą na same szczyty a potem w dół, w mroki — ty... nie zdawałaś sobie sprawy może nigdy, czem jest człowiek?

Mówi się: »mój rozum«, »moja wola«, — wierząc w to coś, co czuwa w nas, co — jako nasze ja — ma być regulatorem, kierownikiem każdego czynu...

Wewnętrzny wzrokiem postrzegamy je jako coś zewnętrznego: pion równowagi — — —

Jedna szalona chwila: przewala się pion; ginie w jakimś omroczeniu treść zasadnicza — wypęta z czeluści to obce: wali się błąd.

Nie możesz powiedzieć: »ja to zrobiłam«,

boś była kimś, nie sobą. Kimś, co zginął, przepadł, nie wróci, a ty — musisz ponosić odpowiedzialność wieczną.

Twoje główne ja wraca i nie chce wiedzieć o tamtem — pomyłone — chce, żeby zatraciło się w otchłaniach zapomnień, jak suchy zwiędły liść pod runią wiosenną.

Ale tamto idzie za tobą: błąd, zatracony pion.

Jeżeli przycichł, wypęta gadem w chwili która jest jak biały sen.

Tylko warjatowi wolno być niepoczytalnym; człowiek, u którego nikt, prócz niego samego, nie spostrzegł zwalonego pionu — za jedną chybioną godzinę dać musi tę, która przyjdzie — najlepszą.

To się nazywa: pokutą, oczyszczeniem, zmazaniem win. Bez tego... cień-upiór — błąd polewce się za tobą aż do kresu — — —

Wtuliła głowę w ręce Natalji i znowu cichy, beznadziejny szloch.

A potem:

— Kiedyś nad morzem on pytał:

»Czy nie masz mi nic do powiedzenia o sobie... dawnej?... Nie masz... błędu, którybyś... chciała wyznać?...

Był cichy, słodki wieczór. Słońce już zaszło w potężde złotej purpury a od wschodu wsta-

wał księżyc w białem omgleniu, jak przedporanny świt.

Dusza moja była biała, jak ten księżyc: czysta, pełna płomiennej miłości i rozdźwięczona wibracją bożego słowa.

On, morze — jasna toń bez skazy — — —

I ja: zwierciadło purpurowo-złotej miłości, która w omroki rzuciła każdy dawny *błąd* — — białem kwieciami osypała wszystkie drogi — — —

Ja, która czekałam na miłość, żeby się odrodzić — a z purpurą i białem kwieciami miłości czekałam *na niego* — proroka, jasnego ducha mojej prawdy wiecznej — — —

Czy kłamstwo?... Czy grzech?... Czy *błąd*?...

Wtulona w niego, powiedziałam:

— *Czysta jestem i — godna ciebie...*

A białe księżyc śmiał się do nas, a złota purpura całowała głowy nasze.

Byliśmy szczęśliwi i — wierzący, jak dzieci.
Aż teraz...

Przestała płakać. Białymi, jak roztulone róże, palcami Natalji starła ostatnie łzy i zcałowała je z palców — z płatków róż.

A potem:

— Chcesz wysłuchać mojej historii?

Pachnącemi młodą konwaliają rękami objęła

jej czoło i głowę, przyciągnęła do siebie, pocałowała usta.

— Widzisz, miałam szesnaście lat — prawie dziecko — kiedy wydano mnie za męża za człowieka, który był dla mnie jak krzesło, stół, ściana.

Nie widziałam go, nie istniał dla mnie, chociaż przychodził do nas codzień.

Raz tylko przyjrzałam mu się: nazajutrz potem, kiedy matka ze znajomym księdzem coś sobie szeptała o nim do ucha, a zobaczywszy, że ja nad słuchuję, kazali mi wyjść z pokoju.

Brzydki był, szczupły, mały; nos miał zawsze czerwony i krosty na twarzy. Mówiono o nim, że pije, ale matka moja nie chciała w to wierzyć.

Grywał z nią co wieczór w partję pikiety. Czasami nic nie mówił a czasami plótł, jak nakręcony, i wówczas małe piwne oczy błyszczały, jak dwa rozpalone stoczki, nos nabierał barwy dojrzałego pomidora, krosty na policzkach i czole wypukły. Robił się podobny do figur woskowych w panoptikach z przyklepionymi kartkami, których dzieciom ani młodym pannom czytać nie wolno.

Nienawidziłam go. Oczy same odwracały się od niego.

Któregoś dnia powiedziano mi, że ma zostać moim mężem.

Nie rozumiałam dobrze, ale zaczęłam płakać.

Pocieszano mnie, obiecując, że ten pan zastąpi mi opiekuna, ojca, brata, że nietylko sam nie zrobi mi krzywdy, ale jeszcze obroni przed innymi.

Przynosił codzień pudło cukierków i paki ciastek. Przyniósł ofiarować mi białego pudła, o którym marzyłam.

Rozwijałam się umysłowo i fizycznie bardzo powoli. O naukę moją nie troszczono się wcale. Całymi dniami śpiewałam tylko, bawiąc się kotem i lalkami. Czytałam niewiele, pisałam jeszcze mniej. Jedyny obowiązek — francuskiej paplaniny z boną codzień po kilka godzin.

Dobrze mi było w domu, a gdy powiedziano, że u męża jeszcze lepiej będzie — uwierzyłam w to.

Z dwiema malutkimi lalkami w kieszeni poszłam do ślubu, odwracając się od pana młodego, ale myśląc o białym pudle, który już czekał na mnie w jego mieszkaniu.

W trzy dni po ślubie uciekłam, a kiedy

matka nie chciała mnie przyjąć, wykradłam się do wuja, starego kawalera, mego ojca chrzestnego, który był oburzony na szantaż rodzinny.

Znasz go: ten biedny chory, którym opiekujemy się teraz wszyscy...

Wiedział, że wydano mnie za mąż tylko dla pieniędzy.

W intercyzie cały majątek zapisany był na mnie.

Rok przeszło mieszkałam u wuja. Potem...

Zmarszczyła brwi i skryła twarz w fałdach sukni Natalji.

Po chwili wstała, przeszła kilka razy przez pokój.

Bezwiednie — z przyzwyczajenia — mijając duże, stojące zwierciadło, spojrzała w nie i poprawiła koronki przy staniku. Wyjrzała przez szyby okna na ulicę, wzdłuż której snuli się przechodnie.

Kląknąwszy przed Natalją, zaczęła znowu:

— Czy ty mi wierzysz, czy... jesteś pewna, że... nie zataję przed tobą najgorszych chwil swego życia i nie zmienię faktów dla usprawiedliwienia siebie?...

Patrzyła na nią szczerze, prosto, błagalnie.

— Mów!... Mów!...

— Przyszły długie puste dni: dni więzienia, beznadziei, smutku...

Zerwała się.

— Nie, nie, nie teraz... Słowa dławią mnie w gardle! Słuchaj, ja ci przysięgę mój dziennik. Napisałam go dziś w nocy... dla Mieczysława. W nim cała prawda. Widzisz, ja nie chciałam opromieniać siebie aureolą świętości. Sama powiesz. Tylko — może to dzieciństwo — *póki oboje jesteśmy młodzi, póki takie wielkie jasne święto w nas, bałam się, żeby padł mrok*. Może nie przebaczyłby... Może... w każdym spojrzeniu mojem widziałby *błąd*... i... życie nasze stałoby się jedną długą męczarnią... Może...

Ja... taki straszny lęk miałam przed tą chwilą... zawsze, zawsze... Bałam się *go* stracić... bez niego — wiesz — nie życie...

Padła do nóg Natalji:

— Zniszcz ten list! — błagam... Nie mów mu nic o nim. Nie powinien domyślać się, że był. Niech kocha mnie taką, jaką jestem: *przez niego, w nim, dla niego*...

Wiła się u stóp jej, czepiała fałd sukni, wlokła się za nią przez cały pokój, gdy wstała, żeby zamknąć drzwi uchylone.

Lkanie, szloch i jakiś beznadziejnie rozpaczliwy jęk prośby przewalały się w ciszy mięk-

kich dywanów, drżały na fałdach gipiury u okien, pełzły po arabeskach ściennych deseni.

Włosy, spięte w tyle głowy, opadły jej na ramiona. Odrzucając je, czołgała się po ziemi w ślad za każdym krokiem Natalji.

— Miłość oczyszcza wszystkie błędy; mnie... zdaje się... że... jestem świętą, odkąd *jego* pokochałam. Nie mów, nie mów!...

Natalja stanęła i z ręką na jej ramieniu:

— Miłość sama nie oczyszcza i nie zmazuje win. Trzeba przejść przez piekło wyznania...

Głos jej brzmiał rozkazująco, twardo.

— To później, później... kiedyś... nie dziś... nie teraz, kiedy nasze święto. Miej litość!...

Pociągnęła ją na fotel i, klęcząc, całowała jej ręce.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi.

— Można wejść?...

Głos Mieczysława.

Zerwała się, spięła włosy, starła łzy z oczu i szeptem:

— Nie mów, że byłam u ciebie. Nie pozwól mu pod jakimkolwiek bądź pozorem przychodzić dziś do mnie. Za godzinę przysięgę ci mój dziennik. Przysięgnij, że przeczytasz go dziś jeszcze, a przed przeczytaniem nie powiesz ani słowa...

— Przysięgam.

— Postanowiwszy cokolwiek, uprzedzisz mnie o tem?...

— Uprzedzę.

I znowu stuknięcie, tym razem już niecierpliwse.

Chwyciwszy szal ze stołu, wybiegła drugiemi drzwiami.

Natalja została sama.

Siląc się na uśmiech, spytała brata, czy nie bardzo zmęczył go raut wczorajszy.

*Jakby jakiś duch: może wierzby nad rzeką,
może... lotnych piasków wszedł we mnie głosem
przeznaczenia...*

Zmrok zapadł. Puste oczy bezksiężycowej nocy wpiły się czarną otchłanią w szyby wielkiego weneckiego okna.

Ni to groźba, ni śmiertelnie bolesna troska beznadziei.

Natalja zapuściła rolety, siadła w fotelu i wzięła ze stołu niewielki, w ponsowy safjan oprawny kajecik.

Zatrzymawszy wzrok na tytule: »Moja spowiedź« — dla Mieczysława — przerzuciła parę kartek wstępu, który już знаła, i zaczęła czytać od miejsca, gdzie przerwało się opowiadanie Ireny.

»... Wuj mój mieszkał na małej nędznej stacji pogranicznej, gdzie prócz nielicznej garstki urzędników kolejowo-fabrycznych, prócz doktora i księdza nie widziało się nikogo.

Głucha piaszczysta wydma, którą latem paliło słońce, jesienią i zimą roznosiły wichry...

Dokąd wzrok sięgnął, wszędzie piaski i piaski. Gdzieniegdzie jakaś naga sosna, którą pod-

mywały ulewy wiosenne lub wyrwały z ko-
zeniem wściekle huragany...

Smutno tam było: duszę chciało się wy-
płakać — — —

Przychodziły chwile, kiedy — z rozpacz —
postanawiałam wrócić do męża, ale na myśl
o ustach, które mnie całować chciały, trzęsłam
się ze wstrętu, pogardy, nienawiści, odrazy
i... zostawałam.

Do wuja mego codziennie na partję szachów
przychodził doktor miejscowy, znany w okolicy
dziwak.

Miał lat pięćdziesiąt, może więcej i w bar-
dzo wczesnej młodości — pod koniec 63-go
roku — przeszedł ciężkie próby.

Smagany do krwi na śledztwie, nie zdradził
tajemnicy: powiózł ją, gdzie było trzeba, ale
od tego czasu zdziwaczał, zamknął się w so-
bie, nabrał pogardy dla ludzi, pluł na świat
i jego urzędzenia.

Przytem podupadł mocno na zdrowiu.
Czerstwy, tęgi, silny, skurczył się, zmalał —
jak zapewniano — w ciągu jednej doby. Cera
jego nabrała koloru wosku, oczy roz błysły go-
rączką; piersi zapadły, podrywane tęnym su-
chotniczym kaszlem; spieczono wargi zacięły
się w upartem milczeniu.

Mówił tylko rzeczy najkonieczniejsze. Do

obcych, nieznanym i — zdrowym nie odzywał
się wcale. Oprócz u wuja mego nie bywał
nigdzie. U siebie też nie lubił przyjmować.
Czasami brat — obywatel przyjeżdżał na krótko.
Poza nim, nie miał rodziny. Dalszych krewnych
nie uznawał. Światem byli mu chorzy.

Niedostępny, chmurny, wobec nich łagod-
niał, weselał a nawet, gdy trzeba było, zdo-
bywał się na wielomówność.

To też wzywano go w kilkunastomilowym
promieniu okolicznym i wierzono w niego, jak
w Boga.

Znakomity lekarz, byłby znalazł pracę na-
wet w mieście stołecznym, ale nie chciał.

Zżył się z żółtymi piaskami wydmy i z lu-
dem fabrycznym; zżył się z wujem moim i co-
dzienną partją szachów; wreszcie — z białym
góralskim swym domkiem, wybudowanym we-
dług planu własnego na piaszczystym, kilkoma
sosnami obrośniętym pagórku.

Było mu tam dobrze. Nie miał sił do szer-
szego życia. Zrobił swoje. Dał dowód wytrwa-
łości i nieugiętego charakteru: śmiało bez wy-
rzutu mógł teraz wegetować w spokoju.

Nazywano go skąpym, odmawiał sobie bo-
wiem wielu rzeczy, które inni uważali za nie-
zbędne. Chodził po kilka lat w jednym ubra-
niu. Wytarty jego szary płaszcz i zmięte ronda

kapelusza poznać było można zdaleka. Nie wyjeżdżał z kraju. Meble w góralskim swym domku miał proste drewniane. Na obiad jadał codziennie barszcz z kartoflami i zrazy z kaszą. W karty nie grywał, lękając się przegranej. Biletów na urządzane przez żony urzędników loterje nie brał, twierdząc, że nie stać go na to. Na bale, teatry, koncerty okoliczne nie jeździł, dowodząc, że to zbyt kosztowne. Odmawiał sobie wszystkich przyjemności, jakie stwarza pomysłowość t. zw. ludzi światowych. Książek tylko sprowadzał dużo i wciąż nowe, czytając nocami całymi. W sieni białego domku widzieć można było również gromadki biednych, wychodzących najczęściej z pieniędzmi na lekarstwa.

Od wuja mego słyszałam o nim, jak o bohaterze. Inni odwracali się od niego, jako od brutala. Ci zwłaszcza, których życie nie było jak łąza czyste, unikali go starannie, kłamcy bowiem mówił w oczy, że skłamał, złodziejowi, że ukradł, oszczercy, że spotwarzył kogoś niewinnie.

Ja — bałam się go. Dziwnie zadrżałam, zobaczywszy go po raz pierwszy. Zdawało mi się, że staje przede mną przeznaczenie moje.

Długi czas nie zwracał na mnie uwagi.

— Dawnoś panna przyjechała? — zapytał

kiedyś wreszcie, spostrzegłszy mnie przy herbacie u wuja.

Wuj oznajmił, że — niestety — według praw kodeksu i kościoła, nie jestem już panną.

— To nic — odparł szorstko. — Takie to niewypierzone: barania głowa... Trudno ją nazwać *panią*...

Ludzi dzielił na doświadczonych, statecznych i dla tych — o ile zasługiwali — był zawsze z właściwym szacunkiem; resztę — młokosów: baranie, cielęce głowy — bez względu na płeć — traktował z brutalnym lekceważeniem.

Rzadko kiedy — nawet po pierwszej naszej rozmowie — podawał mi rękę. Witając się z wujem, koło mnie przechodził jak koło stołu lub krzesła, na które o tyle zwraca się uwagę, o ile zagradza drogę.

Ja też przez pół roku prawie nie wiedziałam, jak on wygląda. Znałam tylko dobrze płaszcz jego i kapelusz, zawieszony w przedpokoju, a przede wszystkim — głos, tępy, szorstki, którym godzinami całymi powtarzał ten sam wyraz przy grze w szachy, i suchy, krótki kaszel, który wrósł mi w uszy.

Za każdym pojawieniem się jego doznawałam tego samego dreszczu trwogi, niechęci czy przerażenia, który wstrząsnął mną, gdy ujrzałam go po raz pierwszy.

Co to było?...

Nie rozumiałam sama.

Zima zesłała mi na odczytywaniu wszystkich starych pism i książek, jakie znalazłam na strychu u wuja.

Wyczekiwałam wciąż jakiejś wiadomości od matki. Sądziłam, że mi przebaczy, że mnie wezwie.

Nic: głucha cisza.

Od postronnych osób wiedziałam tylko, że zacięła się w gniewie i że — z mężem moim — nie przestaje grywać codzien ulubionej partji pikiety.

Ogarniała mnie chwilami czarna rozpacz.

Wiedziałam: gdyby ojciec żył, nie przyszłoby do tego, i pierwszy raz uczułam ból, że go niema.

Dotąd nigdy za nikim nie umiałam tęsknić i nie znałam cierpienia.

Tu — w tem pustkowiu dopiero...

Gdy bywało mi już tak smutno, że nawet płakać nie mogłam, siadałam do stojącego gdzieś w kącie rozstrojonego melodykonu, na którym niegdyś podobno grywała matka wuja, i śpiewałam.

To sprawiało mi pewną ulgę. Zasluchiwa-

łam się sama w swój głos, niewyrobiony jeszcze, ale miękki, dziecinnie pieśzcotliwy pełen aksamitnego brzmienia, który w pięć lat później przyniósł mi sławę.

Doktór wstawał wtedy od szachów i, siadając w fotelu, zasłaniał oczy rękami, żeby lepiej słuchać. Gdy kończyłam, wołał:

— No, jeszcze raz to samo, albo co innego, tylko nie przerywaj panna!...

Nie przerywałam. Pod oknami zbiegała się cała stacja. Doktor rozpedzał wszystkich krótkim:

— Precz, hołota!

Odchodzili, żeby wracać po chwili.

Głos mój już wtedy zaczarowywał tłumy.

A mnie samej było coraz ciężej, coraz gorzej. Chciałam uciec: nie wiedziałam dokąd. Chciałam zabrać się do pracy: nie wiedziałam do jakiej. Życie w głuchej pustce odbierało mi trzeźwość rozumowania i logicznego ujęcia bytu; czułam tylko, że męki takiej dłużej nie wytrzymam.

Któregoś dnia rano wybiegłam z domu z zamiarem nie wrócenia już za żadną cenę. — Co zrobię? — nie wiedziałam, a raczej nie miałam odwagi wyznać sama przed sobą; to tylko pojmowałam jasno, że koniec udręczeniom swoim raz położyć muszę.

Parę wiorst od wydmy naszej przepływała bystra, głęboka rzeka, znana z częstych wypadków. Nie było roku, żeby, kąpiąc się, ktoś nie utonął; nie było tygodnia, żeby nie wyratowano kogoś od śmierci w jej nurtach.

Skierowałam się w stronę najniebezpieczniejszych wirów, tając sama przed sobą, co uczynić zamierzam.

Szłam szybko, jak gdyby czyjąś władną wolą pędzona ku dużej łące zielonej, którą przerzynało koryto rzeki.

Stanełam wreszcie nad brzegiem pod kępą wierzb i tu dopiero jasno, wyraźnie, trzeźwo zrozumiałam, dlaczego przyszłam.

Miałam rzucić się w wodę, miałam dobrowolnie przerwać życie, które mnie męczyło.

Łzy cisnęły mi się do oczu; ogarnął mnie żal niewypowiedziany; płakałam nad sobą, jak nad umarłą. Już widziałam ciało swoje, wyrzucone na brzeg, garstkę ludzi, zebranych dookoła niego, rozpoznających rysy mojej twarzy, szukających znaku jakiegoś, któryby im rozwiązał zagadkę. Ksiądz, wuj, kilku żołnierzy ze straży pogranicznej, wszyscy usiłują przywrócić mnie do przytomności. Napróžno: martwe zwłoki budzą lżę w jednych oczach, obojętne westchnienie w innych. Posyłają wreszcie po doktora.

Doktór, ach, doktor!...

Nagle przestałam płakać. Coś rozjaśniło się w moim mózgu — uderzył mnie blask szybkiej, jak błyskawica, myśli.

— Pójdę do niego, powiem mu wszystko, powiem, że jestem nieszczęśliwa; może...

I nie wiem skąd, dzika, nieśmiała, wylekciona, mogłam zdobyć się na takie postanowienie? Nie rozumiem tego do dziś dnia. *Jakby jakiś duch—może wierzb nadrzecznych, może... lotnych białych piasków wszedł we mnie głosem przeznaczenia...*

Zerwałam się z miejsca i półprzytomna, bez tchu prawie, pobiegłam wprost przed siebie.

Jak i kiedy znalazłam się przed białym góralskim domkiem doktora, nie wiedziałam sama. Dziwna energja wstąpiła we mnie. Czulałam, że oczy moje błyszczą, policzki i wargi płoną. Zadzwoiłam mocno do przedpokoju.

— Pan w domu? — spytałam głośno starego sługi, który stanął przede mną.

— W gabinecie u siebie, czyta i pisze.

Kazałam zaprowadzić się do niego. Śmiało, odważnie przestąpiłam próg gabinetu, lecz, gdy znalazłam się tuż przed czarnym obcym panem, gdy zdumionym i gniewnym wzrokiem spojrzął na mnie, pytając: »Co panna tu ro-

bisz?«—cała moja energja naraz mnie opuściła. Chciałam się cofnąć, przykuwał mnie jednak do miejsca oczyma; chciałam coś powiedzieć, ale lzy ścisnęły mnie za gardło.

— Cóż to za komedje?—spytał ostro, chmurząc brwi, marszcząc czoło.

Nie mogłam powstrzymać płaczu. Przez lzy spazmatyczne zaczęłam bełkotać:

— Ja... ja... chciałam odebrać sobie życie... Ja nie mogę tu już dłużej... Ja się duszę... Mnie czegoś trzeba; sama nie wiem czego, ale tak dalej być nie może... Ja tu umrę, ja się już zapłaczę...

Nie wiem, czy rozumiał, co mówiłam, czy też słyszał tylko mój płacz beznadziejny i żalose skargi, dosyć, że twarz jego rozchmurzała się powoli, czoło pogodniało i na wargach, w oczach majaczył jakby wyraz litości.

Zaprowadził mnie na kanapę, jedyny mebel wyścielany, jaki miał u siebie dla chorych; kazał mi się rozpiąć i położyć, podał mi w łyżce wody kilka kropel białego jakiegoś płynu, który musiałam połknąć.

— Uspokój się panna, jak przestaniesz płakać, pogadamy.

Ułożył mnie na kanapie, podsunął mi poduszkę pod głowę i okrył nogi kocem.

Wyszedł, a mnie jakoś zrobiło się lżej na

sercu. Wstąpiła we mnie otucha. Po ataku rozpacz i żalu, byłabym się teraz śmiała na całe gardło... W głowie, w piersiach rozbłysła jakaś jasność niespodziewana — dziwna. Opanowała mnie taka wesołość, że miałam chęć tańczyć, skakać, biegać po pokoju, porzucać ze stołu wszystkie książki, poprzestawiać meble, pomieszać symetrycznie w oszklonej szafce ułożone przyrządy chirurgiczne. Miałam chęć wyskoczyć przez otwarte okno, wdrapać się na sosnę najwyższą i z wierzchołka jej krzyczeć na całe gardło:

— Już mi dobrze! Już jestem szczęśliwa!...

Nie śmiałam poruszyć się jednak, czułam, że on był w sąsiednim pokoju i nasłuchiwał pilnie każdego szelestu.

Po godzinie wszedł do mnie, usiadł na drewnianym zydłu, tuż koło mojej głowy, wziął mnie za rękę, zbadał uderzenia pulsu, dotknął czoła i skroni.

— Przyszła do siebie — mruknął głucho, jak gdyby nie chcąc, żebym go usłyszała. Przynajmniej się cokolwiek bliżej, łagodnie już rzekł:

— No, a teraz mów panna, czego chcesz ode mnie?

Podniosłam się, usiadłam i, nie wiedząc co

począć z oczyma, w które wpił wzrok swój, odezwałam się cicho:

— Takbym pragnęła coś zrobić, a sama nie wiem co... Życie to... tutaj nudzi mnie i męczy; nie mogę dłużej... Miałam utopić się dzisiaj; już byłam nad rzeką, ale jakiś głos szepnął mi, że pan doktor mnie wyratuje... Więc przyszedłam, ale sama nie wiem... może to źle...

— Z wujem panna nie mówiłaś?

— Wuj każe mi siedzieć w domu, zajmować się kuchnią, czytać książki i dłużyć robotki, a mnie to tak nudzi! Ja nie rozumiem, co się ze mną dzieje, ale uciekłabym w świat, gdzieś daleko...

— Hm, trzeba nad tem pomyśleć. Do czegoż panna masz największy pociąg? Do książek nie bardzo?

— Lubię czytać, ale tylko chwilami, kiedy mniej jestem roztargnioną, najczęściej jednak myśl odbiega daleko, nie mogę jej schwycić, zapominam, do czego ją przyczepić chciałam, rzucam książkę i już nie mam ochoty wrócić do niej...

— Hm, to nie bardzo pocieszające. A do robótek także panna nie masz wielkiego upodobania?

— Chwilami lubię coś uszyć, wyhaftować, ale nie długo; rzadko kiedy skończę coś zu-

pełnie; najczęściej rzucam w połowie. Wuj się gniewa o to, ale co ja pocznę? To chyba nie moja wina; nie umiem się przewyciężyć.

Słuchał uważnie, marszcząc brwi i czoło, ale bez gniewu; owszem, prawie łagodnie. Zdawał się bardzo nad czemś zastanawiać i namyślać.

Nabierałam coraz większej odwagi i śmiałości. Sama nie wiem, co się ze mną stało. Straciłam zupełnie to uczucie trwogi, czy niechęci, które odpychało mnie od niego zawsze. Byłabym spowiadała się przed nim w tej chwili, jak przed przyjacielem, ze wszystkich wad moich, smutków i utrapień.

— Panie doktorze, ja tak lubię śpiewać! Takbym chciała uczyć się! Niech pan doktor namówi wuja, żeby mi pozwolił.

Zerwałam się nagle i, złożwszy ręce, ukłękłam przed nim.

— No, no, bez tych komedji! Jutro przyjdź panna o tej samej porze do mnie; pomówimy.

Wyprowadził mnie do przedpokoju, zamknął drzwi za mną, nie podawszy nawet ręki na pożegnanie.

Cały wieczór tego dnia byłam tak roztargniona, że wszystko z rąk mi wypadło. Przy nalewaniu herbaty stłukłam trzy szklanki,

oparzyłam sobie palec wrzącą wodą, skaleczyłam się ostrym nożem, przedarłam suknię, zaczepiwszy nią o krawędź stołu.

Doktór, jak zwykle, nie zwracał na mnie uwagi i nie odzywał się wcale do mnie; raz jeden tylko pochwyciłam bystre jego spojrzenie, które cofnął wszakże szybko, gdy niespodziewanie zbiegły się nasze oczy.

Przed partją szachów poszedł z wujem do ogrodu. Rozmawiali długo. Za powrotem byli jak gdyby źli na siebie. Przy herbacie wuj patrzył w talerz, nie odzywając się ani słowa, doktor zaś zwymyślał służącą, która, zamiast dużej, położyła mu małą serwetkę do ust. Obadwaj jedli mało, pili jeszcze mniej i zdawali się czegoś niezadowoleni z siebie.

Przy wyjściu Janicki nie powiedział ani słowa. Nawet gościem i spojrzeniem nie przypomniał, żebym przyszła nazajutrz.

Mimo to, o dwunastej w południe już byłam u niego. Cekał na mnie najwyraźniej, sam bowiem otworzył mi drzwi, sam wprowadził do gabinetu.

Usiadłam na dębowym zydelku i czekałam, co powie.

Nie patrzył na mnie. Chodząc po pokoju szybko, gwałtownie, kręcił wąsy, przygryzał

końce ich, marszczył brwi, ścigał usta ponuro.

Stanąwszy wreszcie przede mną, rzekł ostrzejszym niż zwykle głosem:

— Z wujem panna nie gadaj; na nic się nie zdało. Czy będziesz miała odwagę jechać w świat sama?

Wpatrzył się we mnie świdrującymi oczyma, które usiłowały jakby przesyć mię na wylot.

— Będę — odpowiedziałam, ale nic ani troszkę nie rozumiałam, o co chodzi.

Szarpnął wąż silniej, aż wyrwał parę włosów.

— Nie chodzi tu o zabawkę, ale o przyszłość całą; zastanów się panna dobrze, zanim dasz mi ostateczną odpowiedź. Poczekam kilka dni.

Krótko, słowami, których treść raczej odgadywać musiałam, aniżeli czerpać ją z brzmienia ich i akcentu, wypowiedział plan cały.

Chciał, żebym w tajemnicy przed wujem, który żadną miarą na wyjazd mój nie przystawał, uciekła za granicę. Kilka dni miałam zatrzymać się w Wiedniu, skąd on sam postanowił zawieźć mnie do Włoch na naukę śpiewu.

Słuchałam go, jak przez sen. Zdawało mi

się, że ktoś już kiedyś, sama nie wiem kiedy, mówił do mnie w taki sposób. Serce mi rosło i rosło w piersiach, mało ich nie rozsadzając; czułam tętno jego aż pod samą krtanią; czułam krew, zalewającą mi czoło i skronie.

— A pieniądze? Ja nic nie mam... — jęknęłam zdławionym głosem.

— Bądź panna spokojną; tylko namyśl się, czy wytrwasz. Przed upływem pięciu lat nie pozwolę wrócić do kraju. Jeżeli powiedzą, że masz talent, pracować porządnie. Żadnych wymówek! — nie lubię nic połowicznego. Co wydam na ciebie, oddasz mi, gdy sama zaczniesz zarabiać. Odbiorę cię za rok, jeżeli się okaże, że szkoda nauki. Pamiętaj panna tylko: wszystko wybaczę, prócz lenistwa. Waszym mózgom cielęcym zachciewa się nieraz, przez kaprys, Bóg wie czego. Wara jednak od kaprysów! Wiedz panna, że ich nie znoszę i nie przebaczam. Życie to nie fantazja. Trzeba pracować, aby dojść do czegoś.

Podnosił głos coraz silniej. Kilka ostatnich zdań, chrapliwą gamą rzuconych mi nad uchem, nappełniło mnie trwogą i niepokojem. Chciałam już uciekać. Zostałam jednak na miejscu, milcząc, z pełnemi łez oczyma i sercem, bijącym mocno.

— Cóż siedzisz panna, jak przymurowana,

gapisz się na mnie i nic nie odpowiadasz? — krzyknął, stając przede mną.

— Ja... ja... dziękuję panu... ja... będę pracowała — wybelkotałam, chwytając go za rękę i podnosząc ją do ust.

— Bez komedji...

Wyrwał mi rękę.

— Za cztery dni dasz mi panna odpowiedź stanowczą, a za trzy tygodnie przyjdź do mnie o tej samej porze; dostaniesz pieniądze na drogę i paszport. Rzeczy nie będziesz mogła zabrać z sobą żadnych; wuj nie będzie wiedział o twoim wyjeździe; przywiozę ci później sam wszystko.

W miesiąc potem, któregoś szarego jesienno-ranka, gdy wszyscy jeszcze spali, wyknęłam się na pociąg. Miałam wrócić nie prędzej jak za rok lub za pięć lat. I żal i radość rozsadzały mi piersi, gdy minawszy piaski pograniczne, wydostałam się na przestrzenie, pełne łąk i zieloności.

Gdyby istota moja składała się wówczas z dwóch ciał, dwóch dusz, jedną byłabym poknęła w świat szeroki, na arenę pełnego życia i silnych wrażeń, — drugą cofnęłabym się tam, do tych szarych kątów, beznadziejnie pustych i głuchych, gdzie pozostał wuj, którego kochałam; stary tyran, despota, nie rozumie-

jący potrzeb i celów dusz młodych a jednak dobry i drogi.

Trzy dni przesiedziałam w Wiedniu, w hotelu, wybiegając tylko na parę godzin na miasto. Bałam się tam wszystkiego, bałam się cienia własnego; płakałam, sądząc, że duszę we łzach tych wypłaczę.

Czwartego dnia on zastukał do drzwi mego pokoju. Wybiegłam z głośnym okrzykiem radości, wnet jednak cofnęłam się. Odepchnął mnie od niego ten lęk, ta dziwna trwoga, jakiej w obecności jego doznawałam zawsze.

Nie przywitał się ze mną, rzucił tylko okiem po pokoju, badając zapewne, jak się urządziłam, czy nie wynajęłam zbyt drogiego numeru.

— Chcesz panna zobaczyć miasto? — zapytał szorstko — to ubierz się natychmiast i chodźmy. Jutro jedziemy dalej.

Miałam ochotę zapytać go o wuja, ale nie śmiałam; sam nic nie mówił o nim.

Cały dzień biegaliśmy po ulicach i parkach, które on z dawnych czasów znał doskonale. Nie rozchmurzając brwi i czoła ani na chwilę, ostrym, arbitralnym głosem feldfebla, mustrującego rotę zaciężnych, objaśniał mi styl i przeznaczenie piękniejszych gmachów, wspaniałych kolumn i pomników.

Nazajutrz wyjechaliśmy. W trzy dni potem byłam już zainstalowana w Medjolanie, gdzie wynalazł dla mnie stały pensjonat i najbarziej cenioną nauczycielkę śpiewu.

Tydzień tylko bawił tu, widując mnie po południu jedynie, z rana bowiem lubił chodzić sam, a wieczorem wracał wcześniej do siebie.

Przy pożegnaniu spytałam nieśmiało, czy wuj wie, gdzie jestem.

— Nie troszcz się panna o to. Na imieniny napisz do niego i przeproś za samowolny wyjazd.

Od tego czasu nie widziałam go przez trzy lata. Pieniądze przysyłał regularnie na ręce właścicielki pensjonatu, nie pisując do mnie wcale. Ja zaś, stosownie do jego żądania, wysyłałam mu co miesiąc spis wydatków i opinię nauczycielki.

Płacił za mnie pensjonat, lekcje i nuty, od wuja zaś, który nareszcie przebaczył mi wszystko, dostawałam co pół roku fundusz na ubranie i drobne wydatki.

Uczyłam się zapamiętane. Nie bywałam prawie nigdzie. Prócz teatru nie znałam żadnych innych przyjemności. Czasami koleżki i koleżanki wyciągnęły mnie na wspólny spacer za miasto, najczęściej jednak siedziałam w domu

sama, nad librettem studjowanej opery — lub przy fortepianie.

Całemi godzinami nieraz powtarzałam jeden tryl, jedną trudniejszą jakąś wokalizę lub pasaż, aż nareszcie powiedziano, że doszłam do mistrzostwa we władaniu głosem, w pojęciu i traktowaniu ról, w dramatycznym odtworzeniu postaci operowych.

Rokowano mi świetną przyszłość. Nauczyciele dobijali się o mnie. Przez dwa ostatnie lata uczono mnie darmo, za sam zaszczyt przygotowania na scenę takiej gwiazdy.

Mnie samą wróżona sława obchodziła niewiele. Nie drżałam na myśl o niej z radości i zniecierpliwienia, jak moi koledzy i koleżanki; zadowalało mnie samo poczucie własnej wartości i pochwały znawców. Najszumniejsze oklaski nie mogłyby mi dać tej rozkoszy, jakiej doznawałam, lubując się w ciszy maleńkiego mego pokoju misterną koloraturą, subtelną techniką i srebrzystym dźwiękiem własnego głosu.

Niebo otwierało się przede mną, ilekroć zwalczyłam nieprzewycięzoną na pozór jakąś trudność. Skakałam, klaskałam w ręce z radości, całowałam w lustrze sama siebie, ale nie tęskniłam bynajmniej za poklaskiem tłumu.

Po trzech latach nauki wyznaczono mi debiut w roli Łucji z Lamermooru.

Pierwszy czerwony afisz z wydrukowanym pseudonimem Jańskiej posłałam wujowi i *jemu*, prosząc, żeby przyjechali na występ.

Zjawili się przed samem przedstawieniem. Powitali mnie w przedsionku ubieralni teatralnej. Nie miałam czasu rozmawiać z nimi długo i przyjrzeć im się dobrze, zauważyłam tylko, że wuj postarzał i zmizerniał trochę, doktor zaś położył na twarzy jeszcze bardziej i kaszlał częściej tym suchym, tępym kaszlem, który dziwnie ponuro obijał się o jakieś podświadome drogi wrażeń i czucia mojego.

Był dla mnie uprzejmiejszy, niż zwykle — we wzroku jego, przy powitaniu, dostrzegłam pewne zdziwienie. Nie nazywał mnie już szorstko »panną«, jak dawniej, lecz zwracał się do mnie w pierwszej osobie liczby mnogiej. Głos jego brzmiał znacznie łagodniej, może dlatego, że tłumił go krzyk i wrzawa chórzystów, bieganina służby, sprzeczką inspicjenta z maszynistami na korytarzach.

— Wyrośliśmy, zmężnieli! — powiedział, obrzucając mnie większem, niż zazwyczaj, i ważniejszym spojrzeniem.

— No, i wyładnieli, ba, jak jeszcze! — dodał wuj, oglądając mnie ze wszystkich stron.

Dano mi znać, że fryzjer i kostjumerka czekają, aby mnie ucharakteryzować. Musiałam pożegnać gości, prosząc, aby mnie odwieźli za kulisami w czasie przerwy.

Bez trwogi i zniecierpliwienia czekałam podniesienia kurtyny. Właściwie było mi wszystko jedno: śpiewać dla kogo, czy dla siebie, abym tylko mogła zadowolić własne swoje wymagania i nie doznała tego niesmaku, jaki wyczuwałam nieraz, nie mogąc osiągnąć głosem pożądaných efektów.

Przyjęto mnie chłodno — talent nieznajomy, obcy, który nazajutrz może »schlaszczą« wszystkie dzienniki. Po paru scenach jednak czułam już wyraźnie nawiązujący się prąd sympatji między mną a publicznością. Po skończonym pierwszym akcie wywołano mnie kilkanaście razy. Po drugim dostałam wieniec i mnóstwo drobnych bukietów, po trzecim zaczęto mi rzucać z paradyżu chustki, wachlarze, breloki od zegarków, pierścionki, co kto miał.

Zerwał się prawdziwy huragan oklasków. Krzykom, nawoływaniom, tupaniu, nie było końca. Na rękach wyniesiono mnie do karety. Pisma jednogłośnie prześcigały się nazajutrz w hymnach pochwalnych dla »przyszłej Patti«.

Po skończonym przedstawieniu opiekunowie moi odwieźli mnie do domu. Przyjmowa-

łam ich w małym swoim pokoiku, którego okna wychodziły na koronkę białej, drzemiącej w cichą noc katedry.

Kazałam podać herbatę, troszkę sera, owoców i ciastek. Wuj patrzył na mnie, jak na kogoś zupełnie obcego. Doktor, z oczyma utkwionymi w ziemię, słuchał obojętnie rozporządzeń, jakie wydawałam służącej. Obadwaj milczeli, jakby onieśmieleni.

Gdy przystąpiłam do Janickiego, mówiąc:

— Panu zawdzięczam wszystko — i, ukląkłszy, chciałam ucałować jego ręce, wyrwał mi je szybko, a potem podniósłszy mnie łagodnie i ściskając obie moje dłonie, zawołał miękko, jakby trochę rozmarzonym głosem:

— Zdziwiłaś nas wszystkich!...

Od tego dnia zmienił się do niepoznania. Przestał być brutalnym, szorstkim, niepowściągliwym, nie tylko względem mnie, lecz i względem całego otoczenia. Mówił mało, ale w każdym jego słowie przebijał odcień łagodnej pobłażliwości. Obchodził się ze mną, jak ojciec z córką, która przeszła jego oczekiwanie. Zaczął wołać na mnie po imieniu i często wśród najobojętniejszej pogawędki, kiwając głową, powtarzał jakby sam do siebie:

— Zdziwiłaś nas wszystkich!...

Trzy debiuty moje w rolach: Rozyny, Gildy

i Zerliny, wypadły znakomicie. Nie mogłam opędzić się dziennikarzom, impresarjom, melomanom, szturmującym do drzwi moich. We wszystkich ilustracjach pojawiły się naraz portrety moje. Fotografowano mnie codzień, wystawiano na rogach ulic i w oknach sklepów.

Przy wuju i przy *nim* jeszcze podpisałam kontrakt na występy gościnne w Rzymie, na których mieli być obecni królestwo wraz z całym dworem. Powodzenie moje uznano za niebywałe.

Miesiąc cały bawili goście moi z kraju w Medjolanie. Żegnając ich, raz jeszcze dziękowałam doktorowi:

— Będę sobie uważała za obowiązek zwrócenie długu panu — wybelkotałam, chcąc ucałować jego ręce.

Spojrzał na mnie tym dawnym, chmurnym wzrokiem i odparł szorstko:

— Nie jestem lichwiarzem; nie pożyczam na procenty...

Opamiętał się wszakże szybko i natychmiast już znacznie łagodniej:

— Zresztą możesz oddać innym, potrzebującym; ja mam dosyć dla siebie.

Do chwili wyjazdu był już zasepiony i smutny; mówił dawnym żołnierskim tonem, w spoj-

rzeniu tylko zdradzał pewną łagodność i miękkość.

Coś przetworzyło się w nim nagle; rozbudziły się uśpione jakieś kąty duszy, których nie chciał zdradzać nawet sam przed sobą.

— Strzeż panna tego, coś zdobyła; nie ufaj powodzeniu, bo ono zmienne, jak pogoda, a nade wszystko pilnuj serca swego; nie daj mu zejść na manowce. Pokus przed tobą góry. Nie dopuść zakażenia duszy jadem!

Siadając do wagonu, rzucił mi to w uszy.

Głos jego drżał; oczy zaszyły mgłą; kaszłał szybko, krótko, gwałtownie, jak zwykle wówczas, gdy był czemś wzruszony lub podniecony.

Ścisnął wreszcie obie moje ręce i — ku wielkiemu memu zdziwieniu — pocałował mnie w czoło.

Pociąg już ruszał, gdy z okna wagonu zawołał:

— A pisz, pisz... do wuja... jak najczęściej!!...

I wnet, jak gdyby zawstydzwszy się słów tych, cofnął głowę od okna przedziału.

Straciłam ich z oczu. Zostałam sama ze świadomością tej wielkiej sławy, która mnie czekała, a której odgłosy już opływały mię zewsząd.

— Janska! — Janska!... — wołano za mną na ulicy.

Przestałam być mrówką, niknącą w pstrzem mrowisku. Czułam, że rysy twarzy mojej, giesty, spojrzenia, nie należą już do mnie — stały się własnością ogółu. Doznawałam w tej chwili wrażenia dziwnie bolesnej przykrości: zdawało mi się, że tracę coś, czego nie odzyskam nigdy.

Zasłoniwszy twarz gęstą woalką, wsiadłam do powozu, wróciłam do siebie.

Rok minął. Rok, w ciągu którego zapomniałam, czem byłam, kogo znałam kiedyś.

Nic mi nie przypominało przeszłości; czasami list od wuja, którzy rzucałam do kosza niedoczytany...

Tak mało miałam chwil wolnych, a taki ruch, wrzawa, taki ogrom pracy, wizyt, interesów!..

Z rana próby, potem śpiew z akompaniamentem, interviewy, goście, wieczorem przedstawienie.

Traciłam pojęcie czasu; wiedziałam tylko, że dzień następuje po dniu, miesiąc po miesiącu, jak dawniej. Ile ich jednak minęło od chwili wstąpienia mego na scenę, nie byłabym umiała powiedzieć. Teatr porwał mnie, jak smok błędną owcę, schwyconą na głuchej, pu-

stej wydmie. Nie istniało dla mnie życie poza nim. Zaczęłam smakować w rozkoszach powodzenia; zaczęłam gonić za sławą, jak za jedyną treścią i pokarmem bytu.

Dosięgnęłam szczytu powodzenia. Nie nazywano mnie już »przyszłą Patti«, ale zaczęto pisać, że przewyższam ją wdziękiem, urokiem i pieszczotą głosu. Mnie samej zdawało się, że stanęłam na wyżynach, poza które dalej sięgnąć było niepodobieństwem, a do których dotrzeć mogłam ja tylko.

Zaczął mnie ogarniać zwolna ten obłęd wielkości, odbierający logikę i sprawiedliwość sądu.

Upojona, ogłuszona huraganem oklasków i chmarą rzucanych co wieczór kwiatów, sądziłam, że stałam się na zawsze wszechwładną panią słuchaczy, że nic nigdy z piedestału chwały zrzucić mnie nie zdoła.

W tym czasie odebrałam krótki bilecik od wuja, który pisał:

»Nasz doktor źle bardzo ze zdrowiem; kaza-
»zono mu jechać na Południe. Wkrótce zoba-
»czysz go zapewne w przejeździe do San Remo
»lub Palermo, gdzie zabawi całą zimę. Bądź
»dla niego uprzejma i serdeczna. Zdaje się, że
»gryzie go obojętność twoja. Nie pisałaś już
»tak dawno, a przecież jemu zawdzięczasz
»wszystko. Gdyby nie on, dusiłabyś się do

»dzisiaj dnia u mnie. Takich ludzi, jak on, więcej, a...«

Nie dokończyłam listu; rzuciłam go na stół, między stos nagromadzonych papierów, z którymi wyniesiono go nazajutrz.

Zrobiło mi się jednak żal tego biednego suchotnika, dobroczyńcy mojego, o którym wiedziałam, że musi umrzeć wkrótce. W kapeluszu i palcie, jak stałam, — za chwilę bowiem miałam iść na próbę — napisałam do niego kilka gorących słów, prosząc, żeby mnie odwiedził podczas bytności swojej we Włoszech i poświęcił mi kilka dni. Obiecałam mu prześpiewać wszystkie role, w których miałam największe powodzenie, i podzielić się z nim wrażeniami sławy.

W miesiąc potem, gdy siedziałam sama w pokoju u siebie, ucząc się nowej partycji, ktoś zastukał do mnie, a po chwili panna służąca wprowadziła wysokiego, szczupłego, mocno przygarbionego mężczyznę, o wklęsłych piersiach, zapadłych policzkach, woskowo-żółtej cerze i świecących, jak dwa rozżarzone węgle, oczach.

Po urywanym, tępych, teraz ciąglym prawie kaszlu poznałam doktora.

Zmienił się bardzo, wyglądał jak starszy brat tego, którego widziałam przed rokiem.

Żal ścisnął mi serce, a jednocześnie uczucie niechęci, silniejsze aniżeli kiedykolwiek, odtrąciło mnie od niego.

Nie mówił nic prawie, patrzył na mnie tylko pytająco, badawczo, z wyrazem człowieka bardzo osłabionego, którego nawet nieme spojrzenie męczy i wyczerpuje.

— Zaśpiewaj mi — rzucił nareszcie, gdy usiadłam przy nim, pytając go o wuja i znajomych z pogranicza.

Spełniłam jego życzenie. Słuchał mnie całą godzinę, a przed wyjściem zapytał:

— Jutro zaśpiewasz mi znowu, prawda?

Potwierdziłam. Przyszedł nazajutrz. Jak dnia poprzedniego, usiadł w fotelu, nic nie mówiąc. Dał tylko znak ręką, że pragnie słuchać.

Oczy paliły mu się gorączką. Oddychał krótko, szybko i kaszlał, kaszlał ciągle, przycichając tylko w czasie mego śpiewu.

Odbyłam przy nim godzinę próby z akompanjatorem. Dziękował bardzo. Oznajmił, że codzień w tej porze przychodzić do mnie będzie.

— Głos twój przedłuży mi życie...

Czułam dla niego wielką litość, jednak, gdy odchodził, doznawałam wrażenia ulgi, jak gdyby rozwiewała się nad głową moją wielka ołowiana chmura, z której lada chwila grom miał mnie

powalić. Bałam go się dziwnie, a jednocześnie byłabym płakała nad nim.

Przez tydzień przychodził codzień. Nie przeszkadzał mi w niczem. Ćwiczyłam się i uczyłam przy nim. Z zamkniętymi oczyma słuchał. Niekiedy sądziłam, że zasnął, i na palcach odchodziłam od fortepianu, aby go nie zbudzić, on jednak natychmiast otwierał oczy i tępy, natarczywym głosem wołał:

— Śpiewaj, śpiewaj dalej!

Wieczorami nie widywałam go nigdy. Do teatru nie przychodził. Zgiełk, hałas, wielkie zbiorowiska ludzkie męczyły go; wołał słuchać mnie w domu.

Po tygodniu oznajmił mi, że musi jechać dalej. Doktorzy wysyłali go do Palermo, gdzie postanowił spędzić dwie zimy.

Na pożegnanie, ściskając lekko końce palców moich, rzekł ze zmarszczonem ponuro czołem i utkwionym w ziemię wzrokiem:

— Szkoda, że nie mogę zabrać twego głosu z sobą...

— A mnie samej pan doktor wzięćby nie chciał? — spytałam, całując go w ramię.

Podniósł powieki i spojrzał na mnie zdziwionemi, jakby ze snu zbudzonymi oczyma.

— Nie — odrzekł krótko, sucho i z gwał-

towniejszym, niż zwykle, kaszlem wyszedł z pokoju.

Panna służąca zamknęła drzwi za nim, a ja pomyślałam:

— »Jutro nie wróci« — i uczułam wielki spokój.

W godzinę po wyjeździe jego zapomniałam o nim. Z lekkim sercem rzuciłam się w wir sławy, rosnącej z dniem każdym.

Nie było wieczoru, w którymby pod oknami mojemu nie grano serenady. Nie było ranka, w którymby nie przyniesiono mi listów z namiętnymi wyznaniem miłości.

Przywykłam do tego, jak przywyka się do chleba dni powszednich. Nie wyobrażałam sobie życia bez hołdów.

Scena, sztuka, drobne intryki teatralne stały się całym światem moim. Nie czytałam nic, prócz hymnów pochwalnych na moją cześć. Nie kochałam nikogo, sądziłam bowiem, że mnie tylko kochać można.

Tak trwało jeszcze rok cały.

Po roku, na początku zimy, zaczęły się pojawiać w pismach głuche wieści o szesnastoletniej Włoszce, dziewczynie z ludu, obdarzonej tak wielkim słuchem i taką pamięcią muzyczną, że, wracając z przedstawienia każdej, słyszanej po raz pierwszy opery, śpiewała całe

partycje bez zmyłki z dziwną świeżością, potęgą i metalem w głosie.

Krew uderzała mi do głowy, gdy to czytałam. Czułam palącą, dziką, szaloną zazdrość. Byłabym rzuciła się do oczu tej chłopki — podrapała ją do krwi, poraniła i zdeptała nogami za to, że — już teraz — zabierała mi część mojej sławy.

Drobne wzmianki, dłuższe artykuły, a wreszcie całe feljetony o niej zaczęły się pojawiać coraz częściej. Któregoś tygodnia wszystkie pisma ilustrowane naraz pomieściły jej portret z notatką, że wystąpi wkrótce na scenie.

Serce zatłukło się wtedy we mnie, jak nastrożony ptak, a jednocześnie opanowała mnie dziwna ironja i lekceważenie. Zwyczajna prosta chłopka włoska, bez szkoły, bez pojęcia o scenie, miała odtworzyć jedną z ostatnich moich ról.

Przelotne wzmianki przybrały wkrótce charakter urzędowych doniesień teatralnych, aż wreszcie któregoś dnia afisze wielkimi literami ogłosiły nazwisko Benedetty Petrazzoni, przyszlęj mojej rywalki.

Występowała po raz pierwszy jako Santuzza, której się napałam, chociaż nie leżała w moim zakresie.

Świeciłam w niej »succès d'estime«... z życzliwym ostrzeżeniem...

Pisano:

»Tylko Jańska mogła wyczarować tę subtelność i ten wdzięk. Brakowało jej wprawdzie siły, grozy i potęgi cierpienia: nie zna ich nasz słowik, ale czarem swoim pokonał» wszystko.

»Radzimy jednak nie ponawiać prób, które mogą wprowadzić na manowce«.

Podarłam recenzję i z bijącym sercem poszłam na przedstawienie z Benedettą.

W teatrze wrzało, jak w ulu. Mnie, na którą zwracały się zawsze setki lornetek, nie zauważono prawie. Wyczekiwano tej chłopki, o której pochodzeniu krążyły od dni kilku legendy, a gdy w skromnej wiejskiej chustce pojawiła się przed rampą, burza oklasków nie pozwoliła jej zacząć.

Śpiewała źle, nieuczenie, mijając się co chwila z akompanjamentem orkiestry, zmieniając rytm a niekiedy nawet tonację, — ale głos jej brzmiał potęgą, kolorytem, siłą i bogactwem najpyszniejszego dzwonu spiżowego, wydającego z siebie to jęki potężne, to skargę namiętą, bolesną, dotkliwą, która nie może przebrzmieć bez echa, która rodzi taki sam ból i taką skargę w duszach słuchaczy.

Zasypano ją gradem bukietów i wręczono z krzeseł wspaniałe podarunki.

— Niema jak śpiew włoski! — odważono się mówić dokoła mnie.

— Nasza gwiazda, nasze słońce! Czy kto kiedy oddał tak prawdziwie rozpacz włoskiej chłopki? — odezwał się, siadając przy mnie, reporter pisma, które dwa dni temu jeszcze pomieściło odeę pochwalną na cześć mojej *nierzównanej* koloratury.

Zadrżała mi ręka. Krew napłynęła do głowy; w oczach coś zamroczyło.

Nieprzytomna, pijana prawie zazdrością, uderzyłam w twarz aroganta, który śmiał chwalić przede mną tę niedouczoną gęś wiejską.

Co się stało później? — nie pamiętam. Zemdloną wyniesiono mnie z teatru.

Tydzień cały od tej chwili nie wychodziłam z domu, a gdy po tygodniu pierwszy raz wystąpiłam w roli Julji Gounod'a, najlepszej z repertuaru mego, ta sama publiczność, która dotąd nosiła mnie na rękach, zaczęła gwizdać, sykać, hałasować, tupać i wyć na całe gardło:

— Precz z nią!... Benedetta! Benedetta!...

Musiałam zejść ze sceny. Przedstawienie zawieszono.

Na drugi dzień, zostawiwszy pannie służą-

cej zlecenie rozprzedania moich rzeczy, wyjechałam bez zawiadomienia dyrekcji.

Nie wiedziałam dobrze dokąd, i w wagonie dopiero pomyślałam: co zrobić z sobą?

Scena zbrzydła mi tak, że za żadne skarby świata, na razie przynajmniej, nie byłabym wróciła do teatru. Ból, gorycz, żal i jakieś okrucieństwo beznadziei przelewały się we mnie. Byłam *sama*, tak dalece sama, że nawet nie miał kto współczuć ze mną w niedoli mojej, nie miał kto płakać wraz ze mną.

Z całej gromady przyjaciół i wielbicieli, szalejących za mną jeszcze tydzień temu, nie pozostał mi nikt; wszyscy przeszli na stronę *tamtej*; a ja, jak zbrodniarz w pościgu, uciekałam potajemnie od murów, które patrzyły na moją sławę.

W wagonie jakiś podróżny, spoliczkowawszy mnie zuchwałem spojrzeniem, powiedział głośno do kogoś drugiego:

— Jańska, ta bezczelna kabotynka polska, co śmiała uderzyć w twarz reportera za to, że chwalił *naszą* Benedettę...

Przeżyłam tę chwilę i wiele innych jeszcze podobnych.

W małym miasteczku, gdzie nikt mnie nie znał, zatrzymałam się nareszcie. Kazałam sobie przynieść węgla; chciałam, rozpaliwszy je,

położyć się w czadzie, żeby nie otworzyć oczu już nigdy. Przed śmiercią jednak, jak każdy samobójca, czułam potrzebę napisania jakiegoś listu.

— Ale... do kogo?

— Kto tracił albo zyskiwał na zejściu mojem ze świata?

Pełna goryczy, myślałam o wuju, który mocno podupał na zdrowiu ostatnimi czasy i któremubym się przydała, jako bezpłatna dozorczyni; o matce, która, pomimo sławy mojej, przyznać się do mnie nie chciała; o mężu, który już podobno kończył życie w pijackim obłędzie, wreszcie... o *nim*... doktorze...

Uderzyły we mnie słowa, które powiedział niegdyś, dusząc się kaszlem:

— Twój głos przedłuży mi życie...

Jest więc ktoś, co mógłby mi zawdzięczać... kilka zbędnych dni...

Tego wieczora jeszcze wyjechałam do Palermo, gdzie odnalazłam go w ustronnej willi. Czytał w ogrodzie jakąś książkę, gdy stanęłam przed nim.

Otworzył oczy szeroko, spostrzegłszy mnie.

— Ty tutaj?

Niedowierzanie, zdziwienie odebrało mu głos.

Padłam przed nim na kolana i zaczęłam płakać.

Nie pytał o nic. Dopiero gdy we łzach spłynęła część piołunowej goryczy mego serca; gdy uczułam, że lżej mi i mogę już mówić, zaprowadził mnie do pokoju, kazał mi usiąść przy sobie.

— Coś złego musiało cię spotkać, kiedy przyjechałaś do mnie. W dziennikach czytałem jakieś bajki, ale nie wierzyłem im — rzekł tępo, dusząc się kaszlem.

Opowiedziałam mu wszystko, nie oszczędzając siebie, nie tając uczucia szalonej zazdrości, jakie budziła we mnie ta chłopska dziewczyna, która zabrała mi moją sławę.

Słuchał, marszcząc brwi, chmurząc czoło.

Gdy skończyłam, rzekł sucho:

— Zostań ze mną, dopóki sama zechcesz. Czy są jakie straty skutkiem zerwania kontraktu?

Nie pomyślałam o tem. Właściwie publiczność wygwizdała mnie; miałam prawo uciec.

Spojrzałam na niego pełnemi łez oczyma, w których wyczytał zapewne całą chwilową bezradność moją.

— Dowiem się o wszystkim i sam to załatwię.

Spuścił głowę.

Tego wieczora jeszcze wynajął pokoik dla mnie w sąsiedniej, również odludnej willi. Chciałam złożyć u niego pieniądze, które z sobą przywiozłam. Nie przyjął.

— Wydatkuj, dokąd ci wystarczy. Potem — wiedz — masz mnie zawsze...

Widywaliśmy się codziennie. Odwiedzałam go rano; chodziliśmy razem na przechadzkę, milcząc najczęściej. On nie lubił mówić a ja nie mogłam. Dławiło mnie coś, co chłop prosty nazwałby zmorą. Szła za mną wszędzie, czułam ją pod powiekami, na ramionach i wargach swoich. Wpijała się w każde włókno mego jestestwa, wysysając krew z żył kroplę po kropli. Chudłam, mizerniałam. Dusza we mnie lkała.

On był dla mnie dobry; nie zwracał się nigdy z szorstkiem słowem, jak dawniej; odgadywał życzenia moje i potrzeby.

Nie miałam ich właściwie wcale. Czasami, przy obiedzie, pochwaliłam figi, daktyle lub pomarańcze. Natychmiast zastawałam całe koczki u siebie.

Jedyna radość moja była — chwile, które mijały, a ciągły ból — że jednak... trwały...

Któregoś ranka wniesiono do pokoju mego fortepian. Rozplakałam się wtedy głośno, ale za nic nie pozwoliłabym go zabrać z powrotem.

Janicki zaczął teraz przychodzić do mnie codziennie po południu na podwieczorek. Przechadzaliśmy się trochę po ogrodzie przed domem albo wyjeżdżaliśmy powozem za miasto.

Raz, o szarym mglistym zmierzchu, kiedy na dworze wył wicher a po pokoju, mimo ognia na kominku, wlokł się chłód przejmujący, siadłam do fortepianu, którego dotąd nie miałam odwagi otworzyć.

Zdawało mi się, że zimne klawisze, jak martwa przeszłość moja, runą na mnie i odbiorą mi tę resztę spokoju, którą z takim trudem wywalczyłam w sobie.

Po pierwszym akordzie cała moja dusza zawibrowała potrzebą, żądzy, łakomstwem pieśni.

»Ave Maria« Gounod'a...

Dlaczego to właśnie... w tej chwili?...

Nie wiem.

Benedetta, włoska chłopka, rzuciła na mnie czary.

Od chwili, gdy pierwszy raz padło jej nazwisko, przewalił się we mnie pion trzeźwej rozwagi i logicznych przesłanek. Owładnęły mną obce, wrogie żywioły; zerwały się nowe, nieznanne a okrutne w bezwzględny swym terrorem wichry mego wnętrza.

Jak w ów pamiętny wieczór... skandalu w teatrze...

Płakałam, śpiewając, ale już ani łez tych, ani śpiewu powstrzymać nie byłam zdolna. Powtarzałam melodję bez końca z rosnącym bólem, żalością i twardym szlochem fali, która nigdy nie dobieje do brzegu.

Skończywszy, bezwiednie, jak ptak, który w deszcz, w burzę szuka schronienia, rzuciłam się do nóg *jemu*, schwyciłam wilgotne jego ręce i, nieprzytomna, rozpaczą szalona, czyjejs litości i współczucia cheiwa, tuliłam je do ust, rosiłam żarem łez.

Podniósł mnie z ziemi, przyciągnął do siebie. Oczy jego błyszczwały, obejmując mnie płomieniem. Chwili, w której spieczone jego wargi dotknęły ust moich, nie pamiętam; wiem tylko, że przeszedł mnie wówczas dreszcz dziwny: wstrętu, odrazy, lecz zarazem szału.

Ogień na kominku gasł, zegar z głuchym jękiem wydzwonił dziewiątą.

Do bólu, do męczącej zmory, rozpacz i smutku, które nosiłam w sobie, przyłączyło się odtąd wrażenie upokorzenia, wstydu, niechęci, ohydy do samej siebie i... rosnącego z dniem każdym wstrętu do... *niego*.

Gdy z sąsiedniej willi przysłano po nas na

herbatę, pierwszy wstał, podszedł do mnie i, ujawszy obie moje ręce, spytał z utkwionemi w ziemię oczyma:

— Czy chcesz, żebym się starał o rozwód dla ciebie?... Niewiele lat pozostaje mi jeszcze do życia, ale te, co są mi przeznaczone, moglibyśmy spędzić razem...

— Dobrze — odpowiedziałam cicho, nie patrząc również na niego.

Wszystko mi było jedno w tej chwili: być żoną tego, czy tamtego...

Przeszliśmy na herbatę, którą dla nas sporządzano co wieczór w *jego* pokoju. Nie było między nami już mowy o zapadłym przed chwilą postanowieniu. Nazajutrz zaprowadził mnie do notariusza, aby sporządzić odpowiednią plenipotencję dla adwokata, który na zasadzie jej mógłby wystąpić w kraju, przed właściwym konsystorzem o unieważnienie małżeństwa.

Gorączkowo, z ożywieniem, jakiego nie widziałam w nim nigdy, zajął się doprowadzeniem do skutku tej sprawy, wymagającej wielu zachodów dla dopełnienia uciążliwych formalności.

Dni były wciąż smutne, ponure, mgliste. Lekarz zabraniał mu wychodzić z domu; nie słuchał jednak. Z respiratorem na ustach przybiegał do mnie codzień po południu. Śpie-

wałam mu, gdyż teraz do śpiewu rwała mi się dusza, on jednak nie słuchał już spokojnie, jak dawniej, drzemiąc w fotelu z przymkniętymi oczyma. Siadał przy mnie, obejmował mnie w pół, kładł głowę na mojem ramieniu.

Zbudziły się w nim na nowo dawne instynkty despoty. Zaczął uważać mnie za własność swoją bezpodzielną.

— — — — —
Ponure mgliste dni minęły wreszcie. Nastąpiła wiosna a z nią zaroiliły się gwarem i życiem puste dotąd ulice miasta. Wyległa na bulwary cała ta krzykliwa, próżniacza ludność, która czesze się, myje, śpi, je na ulicy. Jaśniało słońce, kwitły drzewa, śpiewały ptaki.

I z mojego serca zaczął spływać powoli tuman szarych, beznadziejnych omgleń i cierpienia.

Obudziwszy się kiedyś z rana i wyjrzawszy na ogród, pełen świeżych, wonnych krzewów spytałam sama siebie:

— Czy wszystko dla mnie skończone?

Nie. Młoda jestem, mam prawo do szczęścia, jak te kwiaty pod oknami mojemi do słońca i rosy.

Tego dnia jeszcze zażądałam, żebyśmy wyjechali powozem gdzie za miasto.

Przystał niechętnie, najlepiej bowiem teraz lubił być ze mną sam jeden u siebie lub u mnie, zdaleka od spojrzeń ludzkich, męczących go natręctwem i złośliwą ciekawością.

Nazajutrz miała odbyć się o kilka kilometrów od Palermo wielka zabawa ludowa, na którą przybyła z Hiszpanji grupa torreadorów, zapowiadając niewidzianą już oddawna na Sycylii walkę byków.

Całe miasto wybierało się. Zamawiano powozy, fiakry. Uboższa ludność pieszo podążała już nocą na miejsce uroczystości.

Naparłam się tej wycieczki, jak kapryśne dziecko, które po długiej obezwładniającej chorobie odzyskało wolę i dawne nieprzeparte w porwach swoich zachcianki.

— Muszę tam jechać, muszę, muszę...

— Nie pojedziesz.

— Pojadę...

Biegając po pokoju, tupalam nogami, waliłam zaciśniętą pięścią w stół, krzesła, ściany.

Wiedziałam, że krew burzy się w nim. Patrzył na mnie zdumionym wzrokiem, nie był bowiem przyzwyczajony do takich wybuchów. Dotąd byłam zawsze łagodna, spokojna, obojętna, nie narzucałam mu nigdy swej woli, biernie spełniając wszystkie jego życzenia.

Żrenice mu pały, wargi i ręce drżały, na

skronie wystąpiły krople potu, na twarz — dwie silne, czerwone plamy. Kaszłał i oddychał z wielkim wysiłkiem: krótko — powierzchownie. Budziła się w nim pasja człowieka brutalnego, gwałtownego, nie miał wszakże siły wybuchnąć. Wstał, przystąpił do mnie, podniósł w górę ściśniętą w kułak rękę. Chciał mnie może uderzyć, natychmiast jednak upadł na najbliższy fotel, dusząc się od kaszlu i mdlejąc z osłabienia.

Całe Palermo wyległo następnego dnia na zabawę; myśmy zostali sami w dużej, bluszczem i krzewami pnących róż obrośniętej willi, która wydała mi się w tej chwili głuchą, pustą, ciemną i ponurą, jak zamknięty grób całą więzienną.

Cicho było, samotnie. Zdaleka tylko dolatywał szum morza i głosy odjeżdżających powozów.

Serce mi się ściskało. Doznawałam wrażenia człowieka, zamurowanego żywcem w dusznej, ciasnej celi, z której miał nie wyjść już do końca życia.

I tak miało być jutro, pojutrze; tak miało być tygodnie, miesiące, lata całe!...

Byłam młoda. Przecież nie mogłam zamknąć się na zawsze z tym... suchotnikiem...

Wstręt mój do niego rósł z każdą godziną. Drżałam, słysząc zdaleka jego kroki.

Co zrobić, żeby chociaż parę godzin nie być z nim razem?

Wymknęłam się do ogrodu i zaczęłam biegać, jak szalona. Łzy dławily mnie w gardle. Jakaś dzika, niesamowita rozpacz przepelniała wszystkie kąty duszy.

Uciec!... Uciec!...

Ale dokąd? Jak? Kiedy?...

Rzęzący oddech *jego* i kaszel dolatywały mnie zewsząd. Zatykałam uszy, żeby ich nie słyszeć: wciskały się jednak przez palce moje aż do mózgu dręczącym echem.

Pędziłam po ogrodzie w kółko, zatraciwszy pojęcie czasu, widząc tylko, że dokonywa się coś we mnie, za co ja sama, najistotniejsza treść intelektu i uczuć moich — nie przyjmie odpowiedzialności.

Słońce wskazywało południe, gdy, zmęczona siadłam na ściętym pniu cyprysu, dokoła którego piął się bluszcz i rosły białe dzikie storczyki.

Ukryłam twarz w dłoniach. Słońce paliło ramiona moje i plecy a lekki wiatr muskał je łagodną pieszczotą.

Uspokajałam się zwolna. Serce zaczynało bić coraz rytmiczniej, myśli przycichały, opanowywało mnie senne odrętwienie.

Nie wiem, jak i kiedy przeszłam do chłod-

nej, powojem obrośniętej altany, gdzie w niskim leżaku zdrzemnąłam się chwilę.

Zbudziło mnie wrażenie, jakby ktoś złożył na moich ustach długi, słodki pocałunek. Gdy w półśnie jeszcze rozwarłam oczy, wydało mi się, że pierzchnęła jakaś postać.

Drgnąłam. Dreszcz upojenia krążył mi w żyłach. Przeciągając się leniwie, otworzyłam ramiona do tego cienia, którego szelest słyszałam najwyraźniej.

Odplýwał, ale zostały jego oczy, duże, głębokie, wpatrzone we mnie cichem spojrzeniem; zostało dotknięcie białej ręki, która gładziła mi czoło.

Może gałązki bluszczu, wijąc się dokoła mej twarzy, wywołały złudzenie pieszczoty i senne majaki?...

Wielkie siwe, wlepione we mnie oczy...

Tak jeszcze nie patrzył na mnie nikt nigdy...

Całą mnie przenikała cicha słodycz i zachwyty...

Wstałam z sercem, pełnym upojenia i myślą, pełną marzeń.

Nie tęskniłam już za zabawą i krwawymi igrzyskami, których tak gwałtownie napierałam się wczoraj. Nie tęskniłam za wirem i zgiełkiem: tęskniłam za pocałunkiem, który czułam

na ustach we śnie; tęskniłam za niepomysłaną nigdy jeszcze dotąd miłością.

Wyrwał mię z zadumy suchy kaszel i odgłos powolnych, dobrze mi znanych kroków tuż pod samą altaną.

Drgnąłam całym ciałem. Głuchy bunt zawarczał we mnie... Chciałam uciec, skryć się w ciemnej cyprysowej alei.

Zatrzymał mnie.

— Tu są listy — rzucił tępym swym przydechem. — Jeden do ciebie, z Rzymu — drugi do mnie, z kraju. Brat mój donosi o śmierci twego męża. Jesteś teraz wolna; kroki rozwo-dowe, jako już niepotrzebne, wstrzymane.

W oczach jego zaświeciły te dziwne błyski, które miewał teraz zawsze, zbliżając się do mnie, a które napępniały mnie odrazą i trwogą.

Siadłam w milczeniu, utkwivszy wzrok w jaszczurkę, wygrzewającą się w słońcu na schódkach.

Położył chudą, wilgotną dłoń swoją na moich rękach.

Drgnąłam cała, lecz nie spostrzegł tego.

— Jestem chory, niedołężny, męczysz się ze mną — szepnął, chwytając ciężko oddech — ale to nie potrwa długo: życie moje na włosku. Chwilami zdaje mi się, że wyzdrowieję. Snują mi się wtedy po głowie projekty dłu-

gich podróży z tobą po Grecji i Afryce. Czasami jednak widzę trzeźwo, że pozostaje mi niewiele chwil do końca. Za parę tygodni zostaną dopełnione różne niezbędne formalności; dziś jeszcze napiszę o akt zejścia nieboszczyka twego męża, za miesiąc najdalej zostaniesz moją żoną; odziedziczysz po mnie wszystko. Twój wuj wie, ile mam; ostatnimi czasy pracowałem tylko dla ciebie...

Przyciągał mnie do siebie coraz silniej.

— Czy trwasz jeszcze w postanowieniu zostania moją żoną?

Cicho, nie słysząc sama prawie swego głosu, odpowiedziałam: »Tak« — i krew spłynęła mi z twarzy. Czułam, że blednę i że odbiegają mnie siły trzeźwej czujności. A on, w napadzie gwałtowniejszego aniżeli kiedykolwiek kaszlu, zawołał tego, rozkazująco:

— Odprowadź mnie do domu!

Podniosłam go. Był bardzo osłabiony. Wolno, jak dwoje zbłąkanych ślepców, podążaliśmy ku marmurowym schodom willi.

Jedna jedyna dziewczyna, która dnia tego została na służbie, pomogła mi rozebrać go i ułożyć na łóżku.

Gdy zasnął, prosiłam, aby czuwała przy nim; pobiegłam do parku.

Nie mogłam wytrzymać w mieszkaniu. Krew biła mi do głowy.

Być jego żoną...

Nie, nigdy!

Bunt mojej młodości zwał postanowienia złych dni męki. Gryząc wargi do krwi, biegłam przez długą ciemną cyprysową aleję do gaju, z którego dolatywała dusząca woń pomarańcz.

Wtem stanęłam. W palcach zaszeleścił mi papier koperty, którą trzymałam w ręku bezwiednie.

— Co to jest? Kto pisze do mnie? Kto przypomniał sobie jeszcze, że żyję?...

Szybko, nie patrząc na adres i nie badając stempla poczty, rozerwałam kopertę.

Wypadł duży, szeroki, męskim pismem wypełniony arkusz. Znałam je.

To był list Rafała Gennaio, kapelmistrza opery w Rzymie.

Stary, zakochany we mnie bez pamięci mazurek idealista, który — wiedziałam z boku — od czterech miesięcy szturmował o mój adres...

Serce stanęło we mnie a potem przewaliło się gwałtownem, aż do zamroczenia tętnem.

Bez tchu prawie padłam na kamienną ławkę w głębi alei pod posągami Cerery.

Myśli moje szalały.

Chciałam czytać, ale litery skakały przed oczyma, jak czarne pajace. Jakiś ptak, przyczajony w cyprysach, wyśpiewał całą gamę tryli, fłażoletów i biegników, nim oprzytomniałam.

Rafał, stary przyjaciel, pisał:

»Samotność i życie klasztorne zmęczyły już
»i znudziły panią chyba; długi wypoczynek
»przywrócił jej siły i spokój nerwów, rozdraż-
»nionych nadmierną pracą. Czy wolno ar-
»tystce z takim talentem rzucać scenę? Chwi-
»lowe niepowodzenia i przykrości spotykają
»nawet geniuszy. Zresztą, w danym razie, wy-
»wołała je przemoc okoliczności niezależnych—
»sądzę — od woli pani.

»Mam nadzieję, że list niniejszy zastanie
»panią stęsknioną za sztuką, za nami. Publicz-
»ność napiera się ciebie. Nie mamy Rozyny,
»Lucji, Gildy, Julji, Lakmé.

»W dziennikach ukazują się coraz częstsze
»pytania o adres twój. Wiejska Santuzza, która
»pozbawiła nas królewskiego słowika, sprzy-
»krzywszy się już wszystkim w roli zazdros-
»nej i zbolalej chłopki, robi fiasco za fiaskiem,
»jako królewna, księżniczka lub choćby tylko
»dama dworu. Wzdychamy do pani bez za-
»strzeżeń.

»Racz przychylić się do prośby kornego
»sługi twego, porzuć rozkoszne ustronie, gdzie,

»jak Szecherazada z bajki arabskiej, codzien-
»nową opowieścią przedłużasz życie zgryźli-
»wemu suchotnikowi, od którego ja uciekłbym
»za sto granic, strzeżonych przez ogniem zie-
»jące smoki.

»Siostróm miłosierdzia pozostaw opiekę nad
»żywymi nieboszczykami. Szkoda twego głosu
»dla codziennego »luli« kaszłacemu starcowi,
»szkoda twej piękności i młodości dla czte-
»rech ścian, które nie mają uszów, ust, oczów,
»żeby wielbić ciebie.

»Opera w Rzymie przyjmie, jakie zechcesz,
»warunki i role twoje. Przez dwa miesiące
»jeszcze mamy teatr. Przyjaciele i znajomi
»osłonią cię przed wrogami, o ile ich jeszcze
»mieć możesz. Uważaj mnie jedynie za skrom-
»nego i maluczkiego pośrednika tego ogółu,
»który tęskni za tobą i szykuje dłonie do głoś-
»nych oklasków, a usta do wywoływania bo-
»skiego twego imienia.

»Chciałbym być Demostenesem, żeby wy-
»mową swoją móżdż narzucić ci wolę i bła-
»galne życzenia Rzymu całego, który nie miał
»jeszcze takiego, jak ty, słowika«.

List wypadł mi z rąk; pamiętam jednak
każde jego słowo.

Więc nie zapomniano o mnie jeszcze: przebaczone mi...

Szalejąc ze szczęścia, pijana jakąś przegromną rozkoszą, zaczęłam biedz do domu.

Naraz stanęłam.

Tam... starzec — suchotnik, który za miesiąc miał zostać moim mężem. Tam... cztery głuche puste ściany, poza które nie wychodziłam z jego woli...

Chciałam zawrócić, ale — co później?...

— Pokażę mu list: może ulituje się, może zwolni z przyrzeczeń, może — puści?...

Wpadłam do sypialni doktora.

Po silniejszym aniżeli kiedykolwiek ataku kaszlu spał teraz głębokim snem półmartwego człowieka, do którego nie mógł przeniknąć żaden łoskot z zewnątrz.

Zbudzić go?...

Dostanie krwotoku, a wtedy...

Nie miałam czasu czekać: coś rwało i ponosiło; coś poza mną rzucało szybkie, mocne, nie znoszące kontrrefleksji postanowienia.

Na palcach przystąpiłam do łóżka i włożyłam rękę pod poduszkę.

Był tam pugilares z pieniędzmi; wiedziałam o tem.

Szybko, bez wahania wyciągnęłam go.

Ręka mi nawet nie drgnęła; zdawało mi

się, że tak powinno być, że tak musiało być.

Co w tem złego? Na razie nie miałam pieniędzy. To, co przyniosła mi sprzedaż rzeczy w Rzymie, przeznaczyłam na zapłatę odszkodowania za zerwaną umowę. To zaś, co przywiozłam z sobą, wydałam już. Od miesiąca żyłam na jego koszt.

Spał: wzięłam z pugilaresu paręset lirów wprawdzie samowolnie, ale tylko jako pożyczkę, którą miałam zwrócić natychmiast po pierwszym występie.

Podniecona i odurzona, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, wsunęłam opróżniony do połowy pugilares napowrót pod poduszkę i wybiegłam z pokoju.

W godzinę potem jechałam do Rzymu z lekkim sercem, jak więzień, przed którym nagle rozwarło drzwi jego celi.

Nie myślałam, co mnie czeka: zło czy dobro? Wiedziałam tylko, że jestem wolna i że za żadną cenę nie wrócę już do grobu, z którego uciekłam.

— — — — —
W dziesięć miesięcy później, na polskiej wilji spotkałam tam ciebie, los mój, przeznaczenie... ciebie, dla którego piszę tę spowiedź swoją.

Sądź mnie — potęp lub rozgrzesz — lecz nie odtrącaj od siebie.

Jesteś dla mnie przeogromnem szczęściem, radością, celem istnienia; dusza moja stopiła się z twoją na wieki. Poza tobą — tylko jakieś czarne zachłanne odmęty, czyhające na moją zgubę!

Przeczułam — odgadłam ciebie.

Widmo, które w cyprysowej altanie zbudziło mnie ze snu pożądaniem miłości, miało twoją twarz spokojną i smutną, twoje krucze włosy, twoje siwe, głęboko w treść duszy wpatrzone oczy, twoje dumne usta.

Nie znając, widziałam cię temi tajemniczymi oczyma naszego wnętrza, które przeczuwają śmierć, cierpienie lub wielkie nieoczekiwane szczęście.

Dla ciebie chciałabym być czystą, jak łąza dziecka.

Kochałam tylko ciebie, a jeśli błędziłam, to może dlatego, że dusza moja rwała się do ciebie przez bezdroża, szukała cię poprzez złudę czasu i przestrzeni, a nie mogąc znaleźć, padała na manowcach.

Gdy pierwszy raz spojrzałam w twoje siwe, czyste oczy, ogarnął mnie spokój, jak gdyby dopełniło się coś, wskazane od wieków.

Boisz się, że mogę zatęsknić za sceną?

A czy bystrą swoją intuicją nie odgadłeś nigdy kalwarji moich przeżyć?

Odkąd wróciłam do Rzymu, teatr stał się dla mnie torturą.

Ten ślepy obłądny strach przed skandalem — jak w dniu Benedetty!...

Zdawało mi się, że lada chwila runie na mnie wrzawa sykania i brutalnej poniewierki; że przepalą mię złe spojrzenia tłumu.

Kiedy pierwszy raz po powrocie z Palermo miałam wejść na scenę, inspicjent wciągnął mnie musiał przemocą.

Stanąwszy przed publicznością, nie mogłam głosu wydobyć.

Gennaio błagał spojrzeniem. Pierwsze skrzypce poddawały ton a ja patrzyłam w ciżbę głów ludzkich i zdawało mi się, że tam z góry padnie za chwilę:

— Precz z nią!...

Witano mnie oklaskami radości: ja słyszałam tylko klątwę i szął trwogi przelewał się we mnie dreszczem.

Tak już zostało.

Przed każdym występem traciłam sen i gdyby nie ty, którego szukałam i odnajdywałam oczywiście, wychodząc z za kulis, byłabym dawno uciekła ze sceny.

Tyś mnie wyzwolił, jedyny jasny mój promieniu!

Śpiewam teraz dla ciebie...

I tak niech już będzie.

Sława, jak pieniądz w ręku gracza, ponie-
sie na szczyty a potem zwali w przepaść.

Ja niczego już nie chcę, tylko jasnych dni —
bez pomyłek, bez trwogi — z tobą!

*Błąd jej — to było szamotanie się duszy, która
szukała dróg swoich...*

Natalja skończyła czytanie. Dziennik wypadł jej z rąk i osunął się na kolana. Zasłoniwszy dłońmi oczy, leżała godzinę, może dłużej, bez ruchu, nie oddychając prawie. Po godzinie wstała, przeszła kilka razy przez pokój; wreszcie siadła. Oparwszy twarz na rękach, wpatrywała się w smugę blasku, drgającą sennym ruchem na arabeskach dywanu.

Dokoła cisza. Nie cykał nawet zegar, który stanął przed chwilą.

Więc co teraz?...

Dziennik nie rozwiązał wątpliwości.

Sama z siebie rozgrzeszyła Irenę, bo — *błąd jej to było szamotanie się duszy, która szukała dróg swoich.*

Ale czy ma prawo nie oddać jej pod sąd Mieczysława... Kto zdejmie z niej odpowiedzialność?...

Noc coraz czarniejsza, mrok coraz gęściejszy czaiły się po kątach.

Zadrżała. Czegóż zaczęła się lękać. Byłaby chciała, żeby naraz otoczył ją blask tysiąca rozpalonych płomieni.

Wstała. Chwiejnym krokiem trwożnie podeszła do dzwonka przy drzwiach, żeby zbudzić służbę.

Niechby choć jedna żywa dusza czuwała przy niej.

Lękała się pozostać tak całą noc sama, a zasnąć nie chciała: musiała myśleć, dużo myśleć, ażeby rano coś postanowić.

Mieczysław nie powinien był odgadnąć walki jej duszy, a dziś już, patrząc na nią, powiedział:

— Coś ci jest, co ukrywasz przede mną.

Długo tak, jak dotąd, nad rozdrażnieniem swoim zapanować nie umiała.

Co zrobić? Zdradzić prawdę, czy... ukryć ją aż do końca, jak chciała Irena?...

Odeszła od dzwonka. Wołała już nie przywoływać do siebie nikogo; wołała pozostać sama.

Zmęczona, padła na kanapę i chwilę przeleżała z zamkniętymi oczyma. Gdy otworzyła je napowrót, wzrok jej padł na stolik pod oknem, na którym w smudze słabego blasku białął grzbiet jakiejś książki.

Zerwała się. Może coś przeczyta dla uspokojenia nerwów i myśli?

Pobiegła szybko na drugi koniec pokoju; wróciła z książką.

Spojrzała na tytuł. W drgającym świetle lampy wyraźnie rysowały się czarne znaczki liter.

»Spirytyzm w świetle badań najnowszych«...

Ach tak, przypomniała sobie: mąż jej rozmawiał dziś o tej pracy z Mieczysławem, który nazwał ją nedorzecznnością.

Wacław, kiwając głową ze swoim zwykłym spokojem i rozwagą, odpowiedział:

— Niema nedorzecznosci w labiryntach mózgu ludzkiego: jest punkt wyjścia dla każdej przesłanki.

Jak zakreślone cyrklem koło, tak wracają myśli do punktu, z którego wyszły.

Suwa się cyrkiel po różnych płaszczyznach: koła, gdy raz nastawiony, zostają zawsze jednakowe. Mijają się tylko z sobą pod danymi kątami, wywołując grupy figur, które oko zawsze rozezna, jak rozplącze myśl nacierając na siebie założenia.

Duch — siła, duch — niewiadoma, niepoznawalna sugestia z zewnątrz nas, czy medjalna autosugestia w nas samych to właściwie koła

cyrkli poprzez różne punkty płaszczyzny, która w istocie swej jest jedna...

Mieczysław ruszył ramionami.

Badania duszy — zbyt ciasny zakres dla niego, socjologa.

Subiektywna analiza: jaka korzyść stąd dla tłumów?

Nie rozumieli się: Werner i on, ale mieli szacunek jeden dla pracy drugiego.

Werner od pewnego czasu badał objawy medjumiczne i porozumiewanie się z duchami za pośrednictwem stolików, wirujących pod łańcuchem rąk ludzkich.

Objawy te tłumaczył dziś właśnie.

Myśl — wola — według niego — stwarzają napięcie i wibrację mięśni a wraz z nimi podświadome ruchy. W grupie medjalnej zwycięża żywioł najsilniej skoncentrowanej dynamiki.

Treść rozmów z duchami za pośrednictwem stukania — to odbicie chcenia i pomysłów tych jednostek, które przewagą ześrodkowań swoich ujarzmiają resztę mniej zdolnych do potencjalnego skupienia osobników.

Zresztą zwycięża najczęściej liczebna przemoc.

Jeżeli w czasie seansu — na pięć osób — trzy pomysli sobie wyraz na *F*, jedna na *Z*,

jedna na *K*, stolik napewno uderzy *F*, a następne litery będą również wynikiem przewagi.

Kilka prób w bliższym domowym kółku stwierdziło założenie Wenera.

Natalja okazała się doskonałym medjum.

Zainteresowana sprawą, postanowiła zbadać ją teoretycznie i przed kilkoma dniami sprowadziła książkę:

»Spirytyzm w świetle badań najnowszych«.

Litery wyskakiwały z ram okładki, jak małe murzynki, i rozbiegały się po żółtym papierze.

Rzuciła książkę i, zasłoniwszy oczy, siedziała bez ruchu.

Wtem nagła myśl.

Spróbuj stolika.

Może przyjdzie, może poradzi, co robić — duch?...

W głowie czuła zamęt, w myślach — obłądny bezład.

Cokolwiekby to było: autosugestia czy sugestia z zewnątrz — tą drogą dziś... jedynie... zdobyć może pomoc, radę, wskazania.

Więc...

Odstawiła od kanapy mały okrągły stolik o trzech nóżkach, na którym leżał dziennik i list Ireny; przysunęła do niego krzesło; lampę umieściła w rogu pokoju. Zasłoniwszy ją podwójnym ciemnikiem, wyjęła z biurka arkusz

czystego papieru, rzuciła go na stolik i z ołówkiem w ręku siadła przed nim.

Postanowiła nie myśleć i, patrząc tylko na biały papier, czekać, co napisze ołówek...

Pochylona nad stolikiem, utkwiała wzrok w lśniący arkusz.

Trwoga przyczajała się w niej przykrym dreszczem wzdłuż ramion, pleców, grzbietu.

Coś wyzierało z kątów pokoju: jakby czarne widma o rytmicznie zsuwanych i rozsuwanych skrzydłach nietoperzy.

Chciała wstać, odejść. Ale ta sama trwoga, która patrzyła w nią ślepiami mroku, trzymała ją na miejscu.

Pod powiekami zadrżały drobne plamy i koła, czarne i czerwone krążki.

Zasłoniła oczy, ale ściana ruchomych mroczków kołysała się coraz silniej. Jednocześnie oładnęła ją nieprzeparta senność. Ręka z ołówkiem zdrętwiała; głowa zaciężyła; zimny dreszcz przebiegł ją całą. Prostowała się, podnosiła twarz i otwierała powieki szeroko, walcząc z odrętwieniem: nie pomagało jednak. Zmęczenie i niewyspanie dwóch dni ostatnich brało górę. Nawet nie wiedziała, kiedy głowa jej zwisła na rękę, opartą o papier i trzymającą mocno w palcach ołówek.

Zasnęła twardo i nie usłyszała kroków, które

chwilę później rozległy się w pokoju; nie spostrzegła Wenera, podchodzącego do niej cicho, na palcach.

Zastanowiło go światło, palące się w buduarze żony tak długo. Przyszedł zajrzeć, czy nie chora.

Od wczoraj zauważył w niej dziwną zmianę. Coś musiało jej dokuczać; coś nurtowało wrażliwy jej umysł: troska, do której przyznać się nie chciała.

Stał nad nią, patrząc, badając.

Spała mocno, oparta na małym trójnożnym stoliku.

Ten arkusz papieru przed nią; ta przyćmiona lampa na drugim końcu pokoju; ten zaciśnięty w palcach ołówek...

Po krótkiej chwili odgadł wszystko.

Musiała mieć ciężką jakąś wątpliwość, której rozstrzygnięcia szukała w stoliku.

Zdjęło go głębsze aniżeli kiedykolwiek współczucie dla tej cichej, bezradnej kobiety.

Jego żony a... prawie obcej od czasu śmierci dziecka.

Wiedział jednak: w najgorszych chwilach była dla niej oparciem jego przyczajona, ale czujna opieka.

Trzymali się mocno, choć — na pozór — zerwane były nici.

Cichy, umęczony storczyk...

Podszedł do lampy i odkręcił płomień. Wróciwszy na miejsce, obrzucił stolik baczny wzrokiem.

Przy arkuszu papieru leżał wążki mały dzienniczek.

»Moja spowiedź«

— dla Mieczysława — —

Pismo Ireny, które widywał na bilecikach do Natalji.

Zamknął książkę. Nie miał prawa wdzierać się w jej tajemnice.

Coś ważnego jednak zajść musiało, jeżeli dziennik jest tutaj.

Oszczerstwo, *bląd*, plotka?...

Na ścieżaj otwierało im wrota życie artystki.

Odłożył na bok »Moją spowiedź«.

Zrobiło mu się *żał* Ireny. Instynktownie odczuł, że w grę wszedł fakt jakiś z lat jej dawnych, który ktoś po owym nieszczęsnym wieczorze u nich poruszyć musiał.

Tak było niewątpliwie. Im bardziej zestawiał wydarzenia dni ostatnich, tem silniej utrwał się w założeniu swoim.

Nad ranem po raucie, z którego uciekł w polowie, zastał Natalję płaczącą. Odegrała przed

nim komedję łez nad stłuczonym wazonem: pamiątką po prababce.

Niby uwierzył a właściwie przestał myśleć o tem i w tej chwili dopiero przypomniał sobie sprawę.

Spojrzał znowu na żonę.

Spała wciąż mocno, ściskając w skurczonych palcach ołówek.

Pochylił się nad nią. Ostrożnie, bez szelestu, żeby jej nie zbudzić, wziął ze stołu mały poźółkły arkusik, list Ireny do Janickiego, i przebiegł go szybko oczyma.

Już teraz wiedział wszystko.

Podrzeć list?

Nie może.

Ale...

Nagła błyskawica myśli zmieniła się w nieprzepartą pokusę.

Zasugerjonować tę duszę na rozstajach, rzucić w nią twardy nakaz woli... swojej własnej...

Stał chwilę, wahając się, niepewny; wreszcie przystąpił bliżej jeszcze, o krok bliżej; lewą rękę położył na głowie żony, prawą ujął lekko dłoń, obejmującą ołówek.

— Milcz!...

Z siłą skupienia, z dynamiką bezwzględnie

mocnych postanowień obudził w samym sobie przenośli na nią niezłomny imperatyw.

— Milcz!... Milcz!...—wibrowała w prężnym napięciu zwarta treść intelektu.

Prawa ręka jego zadrżała i ta, na której trzymał swoją, poruszyła się również.

Natalja otworzyła ciężkie, senne, nieprzytomne powieki, które wnet wszakże zwiły na oczy powrotnie.

Ołówek chwiejnymi niewyraźnymi zygawkami napisał:

— Milc!...

Zbrakło ostatniej litery.

Werner odjął rękę i stał, pytając sam siebie:

— Odruch-li to mojej dłoni, którego w silnym skupieniu nie zauważyłem, nie odczułem czy... przemoc sugestji?...

Cicho, na palcach, żeby nie obudzić śpiącej wyszedł z pokoju.

*»Tak — z otchłani zapamiętania mojego —
»z czeluści i pieczar odrętwiałej duszy wstawał
»mój — błą d...«*

Ślub Mieczysława i Ireny odbył się bez żadnych przeszkód w czasie oznaczonym.

Szczupłe grono najbliższej rodziny uczestniczyło w obrzędzie.

Państwo młodzi tego dnia jeszcze wyjechali na Południe.

W jakiś czas później Natalja dostała list od Ireny, nad którym zamyśliła się posepnie.

»Czy ty zrozumiesz katusze moje, odkąd mnie i ciebie związała tajemnica?...

»Wierzę ci; wiem, że nie zdradzisz mnie, »dopóki ja sama nie zażądam tego. Jednak »każdy twój list to nowa stacja Golgoty.

»Mieczysław czyta głośno a ja idę przez »ogrójce. Zdaje mi się, że lada chwila padnie wyrok:

— »Zażądaj prawdy od niej. Niech się »oczyści przed tobą«.

»I tłucze się we mnie dusza, jak skatowany ptak.

»On patrzy na mnie i nie śmie spytać: »co tobie?...« — bo myśli:

— »Dławi ją tęsknota za... teatrem...«

»Jeszcze nie wierzy, że tamto skończone
»a w *nim* cel mój ostatni...

»Co się stało ze mną?... Nie wiem. *Błąd*,
»którego nie czułam w sobie, przyczaja się
»groźbą.

»Podzieliłaś go ze mną. Na ciebie i na
»mnie pada brzemię odpowiedzialności: lżej
»być powinno. Jednak — nie mam spo-
»koju.

»Zaczęło się już dawno, zaraz po przy-
»jeździe naszym tutaj.

»Siedzieliśmy nad morzem, patrząc na ro-
»boty w nowo powstającym porcie. Mie-
»czysław objaśniał, co zostało jeszcze do
»skończenia, obliczał czas, w którym okręty
»będą mogły zawijać do przystani, kombi-
»nował ilość rąk i pieniędzy, potrzebnych
»do wykonania pracy, tworzył projekty ma-
»szyn, mogących usunąć znój ludzki.

»*Jego* głos... Wiesz, jak się go słucha
»Ujarzmił nim tłumy w dniach wolności.

»Pamiętasz?... Rok temu, kiedy stanęły
»wszystkie fabryki a w salach wiecowych
»wrzał bunt?...

»On jeden tylko, nie należąc do żadnych
»obozów, mając za sobą jedynie wyżło-
»bione drogi ideałów swoich, mógł mó-

»wić spokojnie bez huraganu gwizdu i syku:
»hańba«...

»Pamiętasz?... Słuchałyśmy go bez stra-
»chu, wiedząc, że w jego mocy ciżba
»ludzka.

»Ten głos, to jego słodkie ramię, które
»czułam na sobie, były jak biały sen...

»Wtem huk, podobny do wystrzału ar-
»maty, przerwał ciszę powietrza.

»Drgnęłam przerażona.

— »To nurek rozbija kamienie o rafy
»podwodne dla oczyszczenia portu — ob-
»jaśnił Miet.

»Nad zróżżoną promieniami zachodzą-
»cego słońca powierzchnią morza unosiły
»się w chwili każdego wybuchu słupy wody
»i białe dymy prochu, podłożonego pod
»bryły kamieni. Zdawało się, że parują gra-
»natowe rozkołysane fale.

»Siedziałam, wpatrzona w podwodną
»pracę, wsłuchana w metaliczny, pełen czaru
»głos Mieta.

»Nie pamiętam chwili takiego skupienia
»w sobie.

»Wiesz, że nie jestem zdolna do rozpa-
»miętywań i skruchy, a jednak wówczas
»powstało we mnie pytanie:

— »Skąd tyle szczęścia w twojem życiu?...
»Czem zasłużyłaś na jego miłość?...

»Tuliłam się do niego, postanawiając pracować nad sobą, żeby mu dorównać, jeżeli nie umysłem, to przynajmniej siłą »szlachetnych porywów.

»Nigdy jeszcze nie wydałam się sobie »taką czczą, pustą egoistką, balonem, rzuconym w przestrzeń, żeby pobawił oczy »tęczą kolorów a później zginął bez śladu.

»Co zrobiłam dla innych?... Czy przyczyniłam się do poprawienia bytu choćby jednego człowieka na świecie?...

»Kochałam tylko siebie. Nigdy dla nikogo, »w imię żadnego ideału nie poniosłam ofiary. »Śpiewałam, dopóki czarowanie tłumów »sprawiało mi przyjemność; przestałam śpiewać, gdy trwoga okazała się większą od »rozkoszy sławy. Z chwilą, kiedy scena zaczęła mnie męczyć, znalazłam na drodze »swego życia miłość taką, jakiej prócz mnie »nie zaznała może żadna inna kobieta...

»I nietylko miłość: znalazłam twoją nie »skończoną dobroć.

»Przez tę jasną dolę swoją wydarłam »może miarę dobra, przeznaczoną dla innych, a dotąd nawet nie pomyślałam

»o tem i nie byłabym zdolna tego zrozumieć...

»Nigdy tyle refleksji, przypuszczeń, zestawień nie napływało mi do głowy.

»Nie zastanawiałam się — wiesz — nad »życiem. Brałam chwile: złe wyrzucałam »z pamięci, dobremi cieszyłam się, jak złoty »tym snem.

»Różowe smugi zachodzącego słońca przeszyły w ciemną purpurę, od której na niebie i morzu wstała pożoga. Płonął ciemny »granat spokojnych fal, podpływających ci »cho ku masie granitowych brył, na których siedzieliśmy. Płonął szafir nieba i gaza »obłoków. Jak wielki topaz, oslepiającym »żółtym blaskiem łyskało tylko jądro słońca, »staczającego się wolno, leniwie po krwym »całunie.

»Mieczysław przestał mówić. Zapadliśmy »w niemą ciszę podświadomych rozgwarów.

»Jeżeli oczy, usta, dusza mogą modlić się »w głuchem oniemieniu, to ja w tej chwili »odmawiałam pacierz treścią całego swego »jestestwa, nie wiedząc o tem, czując tylko »poryw ekstazy.

»Wtem drgnęłam: fala morza w bliskości »portu zaszeleściła. Wstawała z niej nie-

»foremna postać z mosięzną głową i szklanemi oczyma potwora o grubych dziwnych ramionach olbrzyma i piersiach dziwoląga.

»Ruszała się słabo, powoli, przyczepiona do liny, ciągnącej ją w górę.

»*Tak — z otchłani zapamiętania mojego — z czeluści i pieczar odrętwiałej duszy wstawał mój — błąd.*

»Wlepił we mnie oczy potwora, wykrzywił się dziwoliźnie i jakby wyciągał ręce po mnie, jakby oślizgła piersią swoją chciał mię zdusić...

»Zakryłam twarz rękami, drżąc całym ciałem.

— »To nurek — nie bój się, małeńka. »Musiałaś go widzieć nad morzem nieraz już przecież. Podkładał pod skały proch i dynamit — tłómaczył Mieczysław.

— »Widziałam, tak. Ale... ja nie wiem, »co się ze mną stało... Chodźmy stąd...

»Trzęsłam się, jak w febrze, i już odtąd — »jeden lęk...

»Chcę twoich listów, a gdy przychodzą, »z każdej litery patrzy na mnie potwór — »*błąd*, przeznaczenie moje — — —

»Straciłam spokój. Czekam, że lada chwila »Miet stanie przede mną i rzuci mi w twarz

»słowa, po których nie dźwignie się już dusza moja:

— »Oszukałaś mnie: gardzę tobą...

»Kaźde jego spojrzenie to trybunał sądu; »każdy mój gość — zdrada samej siebie.

»Nocami płaczę; dniami siłę się na uśmiech; »męka moja coraz gorsza, a nie widzę końca — — —«.

List osunął się z rąk Natalji.

Wpadła w jedno z tych zamysłów, które zrywają ogniwa pamięci, zostawiając duszę i ciało w śnie zatajonej pracy samojętnych czynników.

Obudziwszy się, siadła do biurka i zaczęła pisać:

»Szukaj z zewnątrz ratunku i pomocy, »jeżeli nie umiesz ich znaleźć w sobie.

»Wiesz, jaką drogą doszłam do nakazu »milczenia.

»Od tej chwili zaczęłam wierzyć we władzę duchów.

»Zwróć się do nich: znajdziesz ukojenie, »ulgę, wskazówki.

»Mój duch — Anita — którego czuję, sły-

»szę, widzę dokoła siebie i mam w sobie
»ciągle, podszeptał mi to dla ciebie.

»Anita przepowiada wam—tobie i *jemu*—
»szczęście po burzach.

»Wierzcie jej: — mówi prawdę — — —

Niema winy i bezwiny: jest tylko poznanie.

Mroźna noc zimowa objęła wnętrze pokoju, po którym tam i napowrót chodziła Irena.

Była sama. Mieczysław obiecał wrócić dopiero za dwie godziny z posiedzenia, na którym zawiązywał pierwszą w kraju Ligę etyczną.

Co chwila spoglądała na zegar i bała się, że stanie.

Wszystkiego się bała. Z każdego kąta pokoju wypełzały mury, od których cierpła krew w żyłach i zimnym potem rosły się skronie.

Myślała, że po przyjeździe do kraju minie strach i od tygodnia tam — za granicą — prosiła:

— Wracajmy!... Chcę już być w domu.

Tymczasem z dniem każdym, każdą godziną rósł władny niepokój, pędząc ją na rozstaje.

Wskazówki zegara posunęły się o kwadrans. Jeszcze prawie dwie godziny, zanim wróci Mieczysław.

Ten strach!... Ten strach!...

Nieśmiało, lekliwie odwróciła głowę za siebie.

Zdawało się jej, że jakiś cień czarny z kąta pokoju — na czworakach — wypełzał i wali na nią.

Siadła, żeby oprzeć mocno plecy o fotel, bo jakby szedł z tyłu przyczajony astralny wiew.

Wcisnęła palce w oczy, ale z pod mroku powiek wstawało widmo: olbrzymi mosiężny łeb, szklane oczy potwora, piersi dziwoląga.

Szło na nią.

Błąd — — —

Wczoraj, onegdaj, od miesiąca codzień, codzień — — olbrzymiał, rósł — — —

Klątwa *tamtęgo* za jej bezduszny egoizm, za to, że uciekła od niego i nigdy nie robiła sobie wyrzutu:

— Zabiłaś go!...

Potworna głowa wciskała się aż pod czaszkę jej; oślizgła pierś przysiadła na jej piersi.

Klątwa — *błąd* — strach — — —

Wyolbrzymione w halucynacjach mózgu, który stracił pion równowagi.

Wezwano lekarza, który orzekł:

— Ciąża. Ataki przejdą. Spokoju tylko, żadnych wzruszeń.

Ale ona wiedziała:

— To musi trwać, dopóki między *nim* a nią nie zwali się mur *błędu*...

Wyzna go.

Od tygodnia drżały słowa na ustach i gasły.

Nie miała odwagi...

Odrzuci ją od siebie a wtedy — koniec dla niej.

Jednak ta męka...

Dziś ostatecznie; dłużej nie wytrzyma.

Wychudła, że była jak szkielet. Twarz jej zmalała a oczy powiększyły się dziwnie i ściemniały, zapadłszy w głąb czoła. Ramiona, pół roku temu jeszcze pełne, kształtne — wzór dla rzeźbiarza — dziś zwieszały się bezwładnie, jak dziecinne biczyki, na które nie można było patrzeć bez współczucia.

Od miesiąca już nie podchodziła do lustra, a jeżeli kiedy spojrziała w nie przypadkiem, cofała się z lękiem.

Mieczysław, całując jej drobne wynędzniałe palce, mówił:

— Skończy się twoja męka, małeńka, nie-długo, niedługo... Oczęta znowu będą jak gwiazdy... Że też ja nigdy nie pomyślałem, ile wy, kobiety, cierpieć musicie, żeby istniała ludzkość... Lekceważyłem i... i prawie nienawidziłem was. Teraz dopiero widzę, jaki byłem

niesprawiedliwy; teraz poznaję swój wielki błąd...

Tulił ją, a ona płakała, nie mając odwagi podnieść głowy i spojrzeć na niego.

Zagar wolno, przeciągle wydzwonił dziesiątą.

Zerwała się. Na włosach i czole uczuła wyraźnie przykry zimny wiew.

Krzyknęła głucho i, przechylona w tył, odgarnęła ze skroni najeżone włosy, błędnym wzrokiem ścigając cienie, które wlokły się przed nią.

Naraz, zgięta w pół, drobna, mała — ciemny punkcik, niknący w mdłym świetle przysłoniętej lampy — skryła się za wielki fotel w głębi sypialni.

W tej chwili zgrzytnął klucz w zamku i rozległy się zdaleka szybkie męskie kroki.

Mieczysław wszedł do pokoju żony, szukając jej oczyma.

Z za fotelu na klęczkach przyczołgała się do niego.

Chwycił ją w ramiona.

— Czemu przy tobie niema nikogo?... Znowu musiałaś mieć atak strachu.

Wyrwała się. Klęcząc, chwyciła obie jego ręce, przywarła do nich ustami a po chwili,

podniósłszy głowę, wyprężywszy się całym ciałem, trzymając go spazmatycznie, jęknęła przez łzy:

— Słuchaj, ja ci chcę coś powiedzieć... Wyprzedzisz mnie... znieńawidzisz... Wiem o tem... ale ja... muszę... dłużej nie wytrzymam... męcę się strasznie... ja... ja...

Usiłował ją podnieść z ziemi, ale się wyrwała.

— Nie znajduję spokoju, dopóki ci nie powiem. Muszę... dziś już koniecznie... od tyłu dni chciałam: nie mogłam. Dziś — nie puszcze ciebie... nie wyjdę stąd, dopóki mnie nie wysłuchasz. Ja... ja... nie jestem chora... ja jestem... występna...

Błąd — w rozpaczonych jej myślach — nabierał znaczenia grzechu, nigdy nie popełnionego.

Puścił jej ręce i dotknął dłonią czoła, zimnym potem zroszonego.

— Ja nie mam gorączki... jestem zdrowa, tylko... pali mnie prawda, którą muszę wyznać. Nie wstanę, dopóki ty... ty...

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

— Maligna... Trzeba posłać po doktora... Uspokój się, maleńka!... Chodź, zaniosę cię do łóżka...

Pochylił się nad nią, ale, jak ścięte drzewo, runęła u jego nóg.

— Nie jestem ciebie warta. Za chwilę... pogardzisz mną... odepchniesz mnie... Ja... okłamałam ciebie... byłam kochanką człowieka, którego okradłam i... zabiłam...

Błąd — nareszcie — zmocował ją. Wszystko w niej ucichło. Leżała na ziemi, wyciągnięta, jak struna. Ręce i nogi jej zeszywniały; pół przymknięte, jak na rdzawych zawiasach osadzone powieki stanęły w bezruchu nad szklistemu oczyma.

Zemdlała.

Mieczysław zadzwonił na służbę, posłał po doktora i po Natalję. Sam został, dopóki nie zbiegli się wszyscy. Rozcierał jej ręce i nogi, spryskał wodą oczy. Gdy poruszyła się i, patrząc przed siebie, spytała: »gdzie jestem?... dlaczego wy... wszyscy... przy mnie?...« — usunął się z pokoju.

Nie mógł dłużej. Bolał każdy nerw. Palila, piekła, to znowu lodem mroziła krew. I gnało coś, gnało na oślep z mieszkania: potworne widmo, przyczajone w nim czy poza nim.

Strach, obłęd, szal.

Ściana ruchomych mroczków przewalała się pod powiekami, jakby coś żywego: w zachłanny wir wprawione żyjątko, które ktoś

rozkołysał na cienkiej niteczce. W mózgu hucało; w skronie walił tępy młot, gdy, prawie nieprzytomny, zarzuciwszy tylko futro na ramiona i czapkę na głowę, wyszedł z domu.

Zdawało się, że zamarła w nim praca refleksji, ścichły pojęcia, wyobrażenia, myśli.

Jednak z jakąś drapieżną, nieposkromioną, samochwytną mocą nacierały na mózg obrazy.

Ona i grzech.

Gdzie?... Kiedy?...

Wyrzuty przyszły... w ów cichy wieczór nad morzem, gdy pierwszy raz w ramionach jego zadrżała...

Fale szumiały; z wodnych czeluści wyszedł potwór.

Przeleżała się. Już wówczas... sumienie...

Dlaczego nie przedtem?...

Jak z podmorskich głębin, tak z wnętrza jej duszy wypłynął *grzech*.

Spojrzała mu w oczy, zatrzęsała się i... już potem — ani chwili spokoju — — —

Przypomniawszy sobie dni, które odtąd przeszły, obliczał godziny i myślał, myślał — choć, zdawało się, w bezruchu była władza myślenia...

Od tamtej chwili nad morzem.

Potwór o miedzianym łbie i szklanych oczach od *niej*, którą zwał, szedł do niego — —

Kłątwa — *jej* grzech.

Biała noc zimowa legła na ulicach całunem śniegu. Dachy domów i gałęzie drzew parzyły z pod szronu na gwiazdne niebo i welony mlecznych dróg.

Spokojna, cicha noc grudniowa.

Zdawało się, że życie skamieniało w białych gmachach o ślepych oczach martwych szyb. Od latarni szły blaski sznurem zwieszonych w powietrzu topazów i bladych opali, po które nikt w zamarłym państwie nocy nie sięgał ręką. Księżyc mrugał na bladą jutrzeńkę, która za kilka godzin miała wrócić miastu życia. Drobne, zbite płatki śniegu połyskiwały w przestworach, jak opilki djamentów, szczydrze sypanych. Sople lodu, obwiesiwszy dachy postrzępioną frędzlą, były jak samozwańcza straż królestwa ciszy i spokoju.

Od strony wielkiego placu, kwadratem kamienic obramowanego, z kościołem o dwóch nieforemnych wieżach w pośrodku, biegł szybko, nie oglądając się za siebie człowiek, którego gnał zwalony pion duszy.

Mróz ścinał mu krew w żyłach, a jednak

pulsowały wszystkie tętna. Krople potu, marznąc, zastygły na ściągłej twarzy, którą wstrząsał nerwowy odruch.

Śnieg skrzypiał mu pod nogami. Czasami stawał, podnosił powieki, spoglądał w białosiną przestrzeń, jak gdyby pytając:

— Gdzie jestem?... Co robię?... Co znaczy, że... tak pędzę?...

Wnet jednak, odgarnąwszy włosy i otarłszy twarz, czoło, biegł dalej, nie wiedząc, dokąd idzie, pchany odruchem.

Minął wielki plac z kościołem i skwerem pośrodku, minął szerokie, blaskiem księżycowym zalane aleje z szeregiem pałaców i willi, z żelaznym ogrodzeniem parku, za którym majaczyły ciemne gmachy; minął rozdroże, skąd trzy główne ulice zbiegały się i rozbiegały w trzech różnych kierunkach, i pędził bezmyślnie wprost przed siebie.

Wązką, w śniegu wydeptaną ścieżką przemknął przez plac szeroki i wszedł na otwartą przestrzeń, gdzie za grupą niskich pagórków widniały baraki cegielni a na lewo białe, soplami lodu i szronem pokryte pale zamkniętej rogatki.

Biegł wciąż, bez tchu prawie, nie widząc nic dokoła siebie, nie mając pojęcia, gdzie jest, dokąd prowadzi go ślepy odruch.

Wciągał w siebie zamróz nocy zimowej i zdawało mu się, że jakieś wielkie brzemie, cisnące piersi, zastygało w nim zwolna martwą, bezbolesną bryłą.

Nie mógł nie biedz. Wola — przemożny ster duszy — zmiłkła w nim i stał się narzędziem obcej mechanicznej siły, która pchała go, jak pcha wicher zwalony wykrot.

Nie czuł znużenia. Nie wyobrażał sobie, że może skończyć się kiedykolwiek ta jego ślepa bezcelowa wędrówka.

— Tak iść będę wiecznie — myślał.

Zresztą, refleksje rwały się w nim, jak postrzępione burzą obłoki.

Czasami odpadł od innych jakiś szmat burzyny nieokreślonych kształtów, stanął ćwiekiem w mózgu, rozsadał czaszkę, rozjęczał się wicherem dzwonów, ale — ale spędziła go hurma nacierających bez pardonu obrazów, pojęć, krzyków wewnętrznych, które — nie skojarzone, bezładne — przepadały w mrokach niepamięci.

Grzech i — ona — —

Niby nic nie czuł, a jednak wrażenia, jak czarne motyle, łopotały w nim i — bolał ten ruch.

Wierzył w nią. Jak mógł nie wierzyć?... A ona... ukrywała... przed nim... grzech...

Podniósł ręce do góry, jak ktoś, co kamieniem chce odwalić ciężką zaporę. Ale tylko rozkurczonymi palcami zdjął czapkę z głowy, przegarnął włosy i opuścił ramiona — niby obumarłe ciężkie sople.

— Kto był ten, którego... Kto był kochanek jej?...

Znowu dźwignął obwisłe ołowiane ręce i chwycił się za gardło.

Coś go dusiło i coś w nim rwało się na zewnątrz: jęk, krzyk — —

Ścisnął krtań mocno, jednak jakiś dźwięk ostro a żaloszny rozdarł powietrze.

Zadrżały w nim senne smugi księżyca; zadrżał śnieg, błędzący w przestworach opilkami kryształów.

Stanął i podniósł głowę, nasłuchując.

Kto krzyknął? On?...

Tak chyba, bo przecież... na całej długiej pustej ulicy — prócz niego — nie było nikogo.

Szło echo. Odpowiadały mu głosy w nim samym: sto twardych, jak pchnięcia tępą klingą w samo serce, przez zgruchotaną pierś, pytań:

— Kto... był... jej... kochanek?... I... kiedy?...

Spuścił oblepione szronem powieki, bo jakby i na nie padło cięcie stępnego ostrza.

Bryła czegoś, co tężało i gniołło boleśnie, poruszyła się w nim. Dziwnie piekąca gorycz zalała usta. Schły od niej wargi, które ścinał mróz.

Zwolnił biegu. Owładnęło nim szalone, silniejsze od wszystkiego, co mógł czuć w tej chwili, pragnienie.

— Wody!... Wody!...

Spojrzał dokoła siebie i w górę — nad siebie — jak gdyby czekając cudu: strumienia, któryby go orzeźwił i zmiotł palącą gorycz!

Niebo skrzyło się miliardem gwiazd z pod krepy mgławic. Nad wązkim torem podmiejskiej kolei zamajaczyła zębata baszta małej willi w stylu maurytańskim.

Cała w księżycu.

Tonęły w nim drzewa przed szarem ogrodzeniem, tonęła balustrada mocno pochyłego, jakby mającego odpaść lada chwila balkon.

— Wody!... Wody!...

Krzyknął chyba, bo w domku maurytańskim ktoś oworzył okno. Wychyliła się z za lufcika głowa w wielkim białym czepcu, nie spostrzegłszy wszakże nic prócz cienia, mknącego szybko wzdłuż równej białej drogi, skryła się prędko. Sucha koścista ręka nakreśliła znak krzyża w powietrzu. Ta sama ręka zamknęła lufcik.

Biała noc martwemi oczyma bezczucia ściagała wędrowca.

Kroki skrzypiały na twardym śniegu. Tężał w powietrzu oddech.

Wtem stanął.

— Gdzie jestem?...

Jakby z zewnątrz padło pytanie.

Podniósł powieki i patrzył.

Szeroka biała droga szła równą linią wzdłuż sennej płaszczyzny. Padały na nią cienie od wierzchołków drzew i wlokły się pod murami paru sterczących samotnie domów aż ku arkadom mostu, rzuconego nad korytem zmarzniętej strugi.

Był kilka wiorst za miastem.

Kiedy, jak przyszedł tutaj?...

Dowlokły go nogi same: ten mechaniczny odruch, w którym wyładowały się wewnętrzne zmagania.

Trzeba zawrócić.

Rozejrzał się jeszcze raz z pod białych odzronu powiek.

Był niedaleko parku ludowego, w którym co niedzielę i święto gromadził się tłum latem na popołudniowe zabawy.

Raz przyszli tu z Ireną. Bawiła się, jak dziecko, próbując każdej po kolei huśtawki,

jedząc pierniki ze straganów, rozdając gromadzie małych oberwańców karmelki.

A jednak... już wtedy... kryła przed nim... grzech...

Ból — bryła lodu, wciśnięta w pierś — gwałtownym szarpnięciem wyszła z łożyska i — zdawało się — powali go na ziemię.

Przettrzymał atak i — oprzytomniał nagle.

Czy wolno mu poddawać się ślepym żywiołom uczucia?... Czy wolno tracić pion równowagi?... Czy życie całe nie pracował nad tem, żeby zabić w sobie treść osobistą: wyciąganie z dynamiki zjawisk wartości dla siebie samego tylko, dla egoizmu własnych celów, potrzeb, pożądań, radości i ogrójców, nadziei i zwątpień?...

Jedna chwila — jak ta dziś — mogła zburzyć rusztowanie mozolnego wysiłku.

Jedna chwila — cięcie w oczy kańczugiem: chwila straconej wiary — w *nią*...

Jeszcze zmagaly się w nim pomruki wewnętrznych zapasów; jeszcze — osłabły fizycznie — dźwigać się musiał nakazem twardo wypracowywanych w sobie postanowień, — gdy już trzeźwy zupełnie intelekt wyprowadzał go z matni.

Rozmówi się z nią.

Jutro — nie dziś.

Muszą odpocząć; muszą skupić siły oboje, żeby zrozumieć siebie i zwyciężyć *błąd*, który może być brakiem poznania a w braku poznania — brakiem przebaczenia — — —

Muszą wejść w siebie: dwa sumienia i jeden trybunał sądu...

A kto bez winy, niech rzuci kamieniem.

A kamień z twardej suchej ręki — bez woli poznania, bez miłosierdzia usprawiedliwienia — czy zabije grzech?...

Przez szerokie aleje, na które teraz padały długie dziwaczne cienie suchych lip, kasztanów, topoli, wracał do domu.

Myślał.

— Jutro praca od rana a później, wieczorem — nie wcześniej — *sąd*.

Błękitne oczy Ireny — oczy dziecka — wpatrzyły się w niego.

Czy tak wygląda — *grzech*?...

Oplęnęło go ciche współczucie.

Zmarszczył brwi jednak:

— Trzeba być silnym i trzeźwym w sądach poznania, w dobrej woli przebaczenia. Trzeba w dynamice zjawisk unikać wygodnych, bezpiecznych, łaskoczących własny egoizm dróg — dróg, któreby dogadzały kompromisom sumienia...

Sprawiedliwość.

Jedyna tarcza, która — poprzez labirynty sądów — odpiera *błąd*.

Czy będzie umiał być sprawiedliwym?...
Czy uniknie... *błędu*?...

Gwiazdy pogasły; droga mleczna rozwiała się w szarych pyłach, zwiastujących ponure zimowe świtanie; srebrny księżyc zamienił się w krążek puchu białego, rzuconego jakby przez pomyłkę na popielato-błękitnawy firmament. Na ulicach wszczął się senny ruch mroźnego grudniowego ranka, gdy — skostniały z zimna — Mieczysław stanął na progu swego mieszkania.

Czekała na niego, przyczajona w przedpokoju Natalja.

— Jesteś!...

Rzuciła mu się na szyję. Twarzą, włosami swoimi ocierała topniejący na brwiach, rzęsach, brodzie jego szron.

O nic nie pytała. Ręce jej drżały, gdy ściągała z niego przemarznęte futro i gdy oddechem swoim usiłowała rozgrzać zamrtwiałe jego palce.

W gabinecie czekała gorąca herbata.

Wypił ją chciwie i jak stał — w ubraniu — runął na kanapę.

Zmorzyła go nieprzeparta senność i boles-

ne niemocą a rozkoszne chwilą gasnącej świadomości obezwładnienie.

Zdawało mu się, że prześpi tak wszystkie dni swoje.

Natalja podsunęła mu pod głowę poduszki, okryła ciepłą kołdrą, poprawiła ogień w piecu i wyszła, wracając po chwili z małym podłużnym zeszytem.

»Mój dziennik«

— dla Mieczysława — —

Położyła go przy głowie śpiącego. Na wierzchu przyczepiła kartkę:

»Irena prosi, żebyś nie wchodził do niej
»przed przeczytaniem tego kajetu«.

Wewnątrz — przed pierwszą stroną rękopisu — wsunęła arkusik ze słowami:

»Niema winy i bezwiny: jest tylko po-
»znanie«.

A pod tem dopisała ołówkiem:

»Pamiętasz?... Powiedziałeś o *niej* kiedyś:
»Jej sens życia — zapach róży, która daje
»rozkosz. Nie chciejmy więcej.

»Ja ostrzegam:

»Burza łamie krzak róży albo — wzmaga
»czarodziejską woń.

»Chrońmy kwiaty przed burzą, a gdy
»przyjdzie, dajmy im mocne oparcie, żeby

»nie powiędły — na zwałonych łądygach
»pachnące jak sen o szczęściu« — — —

Pocałowała go w czoło i cicho, na palcach
wysunęła się z pokoju.

Przez odruch przyzwyczajenia chciała dojść
jeszcze do stolika, porozmawiać z duchem
»Anitą«, ale zawróciła.

Werner dziś w nocy zburzył fetysza.

Wytłómaczył: tajemniczy nakaz milczenia
wtedy — po dniach oszczerstwa — to była
jego wola, narzucona jej siłą sugestji i zapewne
odruchem ręki, którą prowadził.

Złamała ekierkę; odstawiła w najdalszy kąt
stolik trójnożny.

Pożegnała Anitę, ostatniego fetysza, błąd
swój, miraż własnych zatajonych pomysłów, jak
żegna się małe światelko nocy, które o świe-
cie samo w sobie gaśnie.

»Cicho szumią strumień.

»Ciągłe upływająca rzeczywistość: chwila,
»która jest i której niema — absurd terazniej-
»szości, był — niebył — — —

»Trącał o brzegi, darnią i korzeniami drzew
»umocowane, zabierał — drobinę po drobinie —
»treść, która miała nie wrócić: żdźbła bezopor-
»nych traw, łuski kory, oderwane od konarów
»liście, suche gałęzie i młode, wiotkie, niewy-
»trwałe pędy. Zabierał, co nie mogło prze-
»trwać naporu prądu, co dało się porwać ży-
»wiołowi, który — w ciszę łagodnego zmierzchu
»był jak dobra wróżka czujnego jutra, szem-
»rząca ciche obietnice — a w szat huraganu
»wywazał z posad płodną zabiegliwość wieczora
»o bezpieczny ranek, zmagania Syzyfówo... utrwa-
»lenie złudy opok na lotnych piaskach.

»W szaty huraganu siał zniszczenie — błąd,
»w którym — jak w świecie mętnych prawd —
»tkwi jądro gotowych już rzeczy przyszłych«.

Był upalny sierpień. Słońce — olbrzymi topaz — pałało w obłokach nad kępami sosen, topoli i białych brzoź w parku. Pachniały wrzosi na skraju polany, wydawały cichą dyskretną woń jałowce, szły mocne wnikliwe zapachy z kwiatnych klombów w ogrodzie.

Na werendzie białego murowanego dworu wiejskiego kończono podwieczorek.

— Teraz niania niech idzie wypić swoje mleko, a my popilnujemy Dziusia.

»Bajecznie kolorowa« Łowiczanka przysunęła wózek do »czarnej pani«, dała gałązkę bzu dla opędzania dziecka od much »białej pani« i z szelestem krochmalnych spódnic pod żółtym w czerwone i granatowe pasy samodziałem wybiegła do zabudowań kuchennych.

»Dwie matki« pochyliły się nad Dziusiem, a widząc, że śpi mocno i tylko wyciągniętymi w ryjek usteczkami cmoka, jak gdyby ssał pierś, — obrzuciły daszek nad wózkiem cienkim muslinem i zostawiły dziecko w spokoju.

— Miałś dziś list: od kogo? — zapytała czarna pani białą panią.

Irena wstała i przyniosła złożony w urzędowej kopercie i urzędowym stylem zapisany arkusz papieru.

— Zaproszenie od Towarzystwa gniazd sierocych na pierwszy koncert jesienny.

— Naturalnie, przyjmiesz?...

»Biała pani« podniosła i zaraz spuściła błękitne swe oczy.

— Czy ja umiem jeszcze śpiewać??... Czy nie straciłam głosu?... Tyle miesięcy!... Wiesz, boję się zacząć, żeby...

Troska osiadła na gładkim białym czole, nad którym jak gdyby nigdy nie przeszły gromkie burze.

Natalja złożyła list.

— Dziś jeszcze wieczorem musisz spróbować. Dopilnuję. Trzeba się przemódz.

— Gdybyś ty wiedziała, jaki to bolesny strach!... Zdaje mi się, że... gdyby teraz, kiedy mam wszystko i takie słońce we mnie, to umarło, — byłabym jak trup. Nigdy przedtem nie przychodziły takie refleksje. Nieraz piersi pękają od naporu tej wewnętrznej vibracji, którą czułam zawsze, gdy najlepiej miał wypaść śpiew, — a taki lęk, jak gracza, przed którym albo wijatyk albo cała Golkonda... W nocy nieraz się budzę i chcę rzucić ton, ale ścisza w gardle ten przeklęty strach. Myślę, że

już tak musi zostać: nigdy pełen puchar po brzegi... żeby nie upić się i nie zaszaleć, żeby wiecznie, wiecznie tęsknić. — — Bo, powiedz sama, dlaczego... teraz... właśnie... ten... strach... kiedy... samo słońce?...

Natalja wstała. Zaszumiał miękki batyst spódniczki; zapachniały leśne storczyki, które miała za paskiem.

— Dzieciak z ciebie... mały Dzius... nigdy nie wyrośniesz. Chodź, zaraz pierwsza próba. Przeciągniemy wózek do pokoju. Zaakompaniję ci.

»Biała pani« zamknęła oczy i ścisnęła mocno powieki, ale natychmiast otworzyła je, jak gdyby bojąc się wewnętrznego swego wzroku, w który wpijał się pazurami bolesny lęk.

— No, wstań, mała. Zaczniemy.

Wzięła mocno obie jej ręce i podniosła ją z leżaka.

Już wychodziły z werendy, pchając przed sobą wózek z Dziusiem, gdy na sypkim źwirze wjazdowej alei zaszeleścił turkot kół.

— Waclaw i Miet!...

Zabrały Dziusia, który spał jak susel, znowu na werendę a same zbiegły w dół z kamiennych stopni tarasu.

Wolant stanął.

Socjolog z filozofem weszli szybko i zaraz:

— Jeść!... Jeść!...

Łowiczanka zajęła się Dziusiem.

»Biała« i »czarna« pani usiadły przy stole, świeżo zastawionym.

— Nowiny z miasta?...

Werner wyjął plikę papierów: odbitki z prac swoich w miesięcznikach naukowych, ocenę ostatniej książki i zapowiedź tłumaczenia jej na trzy obce języki.

— A to dla ciebie specjalnie.

Położył przed Natalją sprawozdanie roczne z działalności pracowni pedagogicznej, otworzył je na którejś kartce i wskazał zakreślone czerwonym ołówkiem miejsce.

— Dziękują ci nietylko jako jednej z głównych założycielek ale i najsumienniejszej, najwytrwalszej sile roboczej w zbieraniu odpowiedzi na ankiety i opracowywaniu ich.

Szczerwieniła się, jak uczennica, wywołana po nagrodę, i przebiegłszy druk szybko czytając, odłożyła na bok broszurę, żeby przeczytać ją później, gdy będzie sama.

— A co zresztą?...

Mieczysław podał gruby list.

Ojciec zgadzał się wreszcie na przeprowadzenie działów, oddając Mieczysławowi i Natalji na wyłączne posiadanie najmniejszą, nie włączoną do Towarzystwa akcyjnego fabrykę.

»Warujecie, kiedy wam to do szczęścia

»potrzebne. Tylko ja o tem nic wiedzieć nie chcę i nawet po powrocie z matką do kraju będę się starał jak najmniej słyszeć o waszych szaleństwach«.

Tak więc: dopuszczenie wszystkich bez wyjątku pracowników do udziału w zyskach — cel niez mordowanych zabiegów Mieczysława — miało wejść wkrótce na drogę urzeczywistnienia.

Obliczano ofiary wygod i komfortu, jakie to za sobą pociągnie. Z humorem i werwą kreślono obrazy przyszłości.

— Ja będę śpiewała na was wszystkich, gdy zbraknie pieniędzy — chciała powiedzieć Irena.

Ale zdławił ją ten potworny nie do wytłumaczenia strach.

Czy ma jeszcze głos?...

Wstała, żeby wybiedz do ogrodu, zaatakować jedną, dwie, trzy nuty, ale siadła napowrót.

Jeszcze nie teraz, żeby nie popsuć sobie dnia. Później, później.

Ten strach, ten strach!...

Chrząknęła cichutko i zmilkla.

Zaczęto mówić o Dziusiu, jak się już sam dźwiga i jak wyciąga rączki do »białej« matki.

— Tylko raz zostawcie tego »Dziusia« w spokoju. Proszę i proszę a wy swoje. Niech będzie: Wojtek, Bartek, Maciek, Onufry — wszyst-

ko, aby nie te »pańskie« zdrobnienia. Przylega to, jak mokra koszula do ciała, i ani rusz wyzbyć się potem. Rozdelikacie chłopaka, a tęgi musi być, silny i zdrow. Inaczej — znać go nie chcę.

Mieczysław wstał, podszedł do wózka, odsłonił cienki muślin.

— Rak, żaba. Śpi, jak gdyby nie o nim była mowa. I gadaj tu o telepatji, filozofie, kiedy to nawet zwykłego głosu nie usłyszysz i nie zrozumie...

Schylił się, popatrzył na syna, dotknął delikatnie zaciśniętej w kułak rączki i wrócił na miejsce.

— Więc ochrzczijmy go już raz nareszcie! — zawołała Irena. — Ja od początku proszę, żeby był Mieczysław, ale Miet nie chce jednoimiennej dynastji. Więc proponuję — wybrać imię, w którym byłyby główne litery imion naszej zgodnej, niekłótlivej czwórki.

Zaczęli szukać. Wzięto kalendarz do pomocy. Ani rusz.

— Niech będzie »Marjan«. — Niema »W«: poszkodowany pan Waclaw, ale za to — jego dwie główne litery w nazwisku. »Marjan Wronski« — brzmi bardzo dobrze — paplała Irena.

— Jabym zaproponowała...

Natalja urwała. Spojrzała na brata, na Irenę, na Dziusia. Ominąwszy skrętnie Wenera, po-

wlokła oczyma w przestrzeń, za martwe oko stawu, który — w obramowaniu wierzb i brzoź płaczących — zamykał taras przed domem.

Nie było za nim ogrodzenia, tylko falisty zielony wał, od którego rwało się spojrzenie na bezkresną płaszczyznę: na pola, łąki, na szare piachy wydm mazowieckich, na równiutką tuż przy horyzoncie czarną, jak zły sen, wstążkę borów.

Biegły po prostej linii szerokie rzuty myśli i zdawało się — nie wróca, jak nie wraca pocisk celnie napiętego łuku; biegły najwnętrniejsze, nigdy na jaśnie nie wyprowadzane uczucia; biegły sny bezpamięci, wyczarowane z tajg duszy; biegły upojne smutki i żale, które maleją w zacieśnionych ogrodach; biegły zgaszone pochodnie marzeń; biegł ciągle zmartwychwstający ból.

Pyły słońca i welony mgieł przedwieczornych ponosiły w przestworza modlitwę dusz aż hen, ku czarnej wstędze borów pod horyzontem, mających jak zły sen.

Wybiegały poza nie najwnętrniejsze przemyślenia: pacierz zadumy; wybiegały za ścianę, która widomem półkolem szła w dół.

Ale — czasami — przykucały na czubkach ciemnych borów, grażyły niepoznane labirynty, zapadały w mroczne otchłanie, jak w bezdnie,

gdzie straszą upiory, a potem cichą, zalek-nioną mgielką wypływały z czeluści. Nad szarym piachem wydm, nad parującymi łąkami i senną szachownicą pól wracały do duszy, która mówiła pacierz, i były w nią żalostí bez miary.

Trzeba było twardych pancerzy, żeby od-walić ból.

— — — — —
Jasiek!...

— — — — —
Za ciemne bory, za mur widnokregu szedł pacierz tęsknoty.

W najsloneczniejsze południa i w najcich-sze zmierzchy myślała Natalja o dzieciątku swoim, które zmarło.

Jeszcze nie wygasł głuchy żal; jeszcze po kątach duszy tłukły się zabobony: »ojciec zabił je bezczuciem swoim«... gdy przyszedł Dzius, rak, żaba, jak tamten.

I na pacierze tęsknoty padło rozdwojenie. Biegł żal w bezkresy za zmarłym maleństwem: wracał tkliwym rozczuleniem dla dziecka, które było.

Całowała pachnące piąsteczki Dziusia i ró-zowe, w kabłąk zgięte kolanka, a zdawało się, że całuje słońcem prześwielone ciało *tam-tego*...

W myśli nazywała tego żyjącego »Jaśkiem« i nieraz głośno mało się nie pomyliła.

Gdy szukano imienia dla Dziusia, chciała powiedzieć:

— Nazwijcie go Jaśkiem...

Ale coś chwyciło za gardło: nie mogła.

Irena zrozumiała ją.

Wyjęła Dziusia z kołyski, poniosła go na taras werendy, skąd myśl biegła w przestwo-rza, nad szare piachy wydm mazowieckich, nad szachownicę płodnych pól i szmaragdy kwie-tnych łąk, ku tajemniczemu borom przezna-czeń i złudnej ścianie widnokregu, który jest bez kresu.

Ucałowała pachnące jak miód lipcowy czół-ko, stanęła w słońcu, które złotem ciepłem objęło dziecko i matkę.

— Będzie Jaśkiem na cześć tego, który od-szedł, ale — nowym życiem wrócił do nas. Będzie miał dwie matki, dwóch ojców: od każdego z nas weźmie, co najlepszego mamy w sobie.

Rozkołysała go na rękach a on jakby ją rozumiał; jak gdyby wiedział, że dopełnia się nad nim chrzest mistyczny. Otworzył stalowo-błękitne oczęta i roześmiał się do słońca.

Lowiczanka wzięła go z rąk matki w swoje krzepkie, mocne ramiona i wtedy zakrzyczał

wnikliwym altem »na *mi* w średnim rejestrze«, jak mówiła Irena, co znaczyło:

— Jeść, jeść!..

Zrobił się ruch. »Biała matka« poszła w głąb pokoju przygotować pierś; Łowiczanka wybiegła za nią z dzieckiem; »czarna matka« przecierała wózek i zniosła czyste pieluszki.

Mieczysław patrzył z zaciekawieniem na życie, którego nie znał: życie dokoła dziecka, i myślał:

— *Tu* dla jednego trzy matki; *tam* — związana w cztery rogi szmata, która ma być kołyską i — matką, ojcem — los.

Wychowa czy zabije?... Nie oderwie się kark rodzicielski od pługa, żeby iść w ślad troski o dziecko — — —

Zmarszczył brwi, nachmurzył czoło: psuło mu to żywiołową bujną, jak pędy młodej lipy z wiosną, radość ojcostwa.

Ten gruby, twardy, bezlitośny *biały* społeczny.

Poszedł do gabinetu swego obliczać, jaka sieć żłobków winna opasać kraj, żeby ręce ludzkie, i pieczołowita myśl twórcza i dorobki kultury wychowywały człowieka a nie ślepy los — —

Przez zaułki parku wymknął się na przechadzkę Werner.

Czuł jakieś dziwaczne głuche wewnętrzne podrażnienie. Postrzegał od pewnego czasu, że wytrąca go z równowagi domowy kołowrót: ten ruch dokoła atomu, monady, która nosi miano »przyszłego człowieka«.

Tyle zabiegów, żeby upewnić bezpieczne bytowanie projektowi pyłu w miliardzie drobin kosmicznych!..

Trwa czy zginie? — Ziemia ani na włos nie uchyli się od orbity swojej a w zamęcie kojca rodzinnego ta niedołączna projekcja gatunkowej siły to niby jądro kosmosu.

Jednak...

Po kątach mózgu budziły się kontrrefleksje.

Wola gatunku... władna przemoc instynktu samozachowawczego ludzkości... mechaniczny odruch prawa istnienia... Gdyby nie ta troska, ginęłyby pokolenia... Przecież i kotka odkarmia kocięta swoje... Cały świat zwierzęcy i roślinny to jeden przemożny wysiłek w celu zachowania gatunku...

Miękły i przycichały w nim głosy niechęci: budziło się łagodne wyrozumienie.

Wchodził na małe wzgórze u wylotu tarasu, skąd po szerokiej płaszczyźnie — nad szachownicą pól i piaskami szarych wydm,

nad zielenią łąk i wstęgą czarnych borów —
biegły oczy aż pod sam widnokrąg.

Coś szło stamtąd: jakby żal, jakby pomruk
tęsknoty.

Staął na wzgórzu i patrzył.

Słońce — olbrzymi topaz — spuszczało się
na zachód. Gęstniały obłoki i zachodziły różową mgłą.

Jeden z nich zakolysał się nad czarnym bo-
rem a potem — rozwiany — biegł w kształcie
amorka: wyraźna twarz, rączki, nogi dziecka
i różowo-białe, złotem prześwietlone skrzy-
delka.

Werner zstąpił ze wzgórza.

Opanowywało go jakieś głupie, idjotyczne
roztkliwienie: mętny, z kątów duszy, o których
w sobie nie wiedział, wzbierający żal.

Może... za dzieckiem, które — gdy odeszło —
nie zostawiło w nim wykrotów bólu...

Był jakby wyzuty z prostych ludzkich uczuć
i nietylko ludzkich.

Wróbel karmi wróblczkę, gołąb — syno-
garlicę, gdy wykluwają się pisklęta. A on?...

Pogwałcił prawo natury, zlekceważył łaskę
ojcstwa i teraz dopiero zrozumiał swój *błąd*:
teraz — gdy przeszłość nie zawróci, gdy nie
powtórzy się godzina — —

Obszedł staw dokoła i wolno skrajem parku
wracał ku domowi.

Cicho u stóp jego szumił strumień.

*Ciągle upływająca rzeczywistość: chwila,
która jest i której niema... absurd terażniejszo-
ści... byt — niebyt — — —*

*Trącał o brzegi, darnią i korzeniami drzew
umocowane, zabierał — drobinę po drobinie —
treść, która miała nie wrócić: żdźbła bezopor-
nych traw, łuski kory, oderwane od konarów
liście, suche gałęzie i młode, wiotkie, niewytrwałe
pędy! Zabierał, co nie mogło przetrwać na-
poru prądu, co dało się porwać żywiołowi,
który w ciszę czujnego zmierzchu był jak
dobra wróżka łagodnego jutra, szemrząca ciche
obietnice, a w szal huraganu wywazał z po-
sad płodną zabieglivość, troskę wieczora o bez-
pieczny ranek, zmagania Syzyfów o utrwalenie
złudy opok na lotnych piaskach.*

*W szaty huraganu siał zniszczenie — błąd,
w którym — jak w świecie mętnych prawd —
tkwi jądro gotowych już rzeczy przyszłych — — —*

Od rwącego strumienia wązkim pasem w bok
oddzieliła się struga, która w głębi parku osiad-
ła małym jeziorem, obramowanem frendzlą
traw i kwitnących szuwarów, kępami pochylo-
nej nizko łożyny i płaczących brzoź.

Woda była mroczna w tem miejscu i pełna tajemnic, jak zamknięta księga objawień.

W środku, od dna łożyska — niby straż śpiącego Arjela — wyrosły trzy olbrzymie olchy, tworząc rodzaj trzech małych wysepek, sezamów niewiarogodnie bujnej roślinności. Mchy, trzciny, paprocie, wodne porosty pięły się w zuchwałym barokowym chaosie, walcząc wszystkimi porami o prawo i treść życia. Białe lilje, niby olbrzymie, z tajni konch swoich wyrwane i mistycznym ślubem z państwem olch związane perły, leżały w bezruchu na paterach ciemno-malachitowych płaskich liści.

Cicho tu było, jak w starym opuszczonym kościele, do którego przypadkiem na pacierz zbłąkał się wędrowiec.

Słońce, zachodząc, stało nad wyspą olch. Jeden czerwony promień, przełamany w głębinach, jak w pryzmie, położył się na powierzchni wód pieszczotą omamień, kłamstwem optycznej złudy, pocałunkiem nieba, które jest jak *błąd* — —

Oparty o pień drzewa, Werner patrzył w mokrą otchłań.

Trwała — jak słowo, którego treść nie ulega zmianie poprzez wieki; jak geometryczne stwierdzenie ludzkich założeń; jak twardy, mocny w prawdach swoich — sub speciae aeter-

nitatis — despinozizm; jak rozciągłość i myśl absolutu, jak jedyne niewzruszone prawo: śmierci w chwili narodzin, snu w przebudzeniu, bytu w niebycie, istnienia naszego, gdy nas już nie będzie; jak groźne znaki pytania i antynomji; jak *błędy* życia: ta jedna jego twarz, którą znamy bez zasłon — — —

Na niebie rozegrała się symfonia kolorów: seledyn, róż, purpura, szafiry, ametysty, topazy.

Tu — w państwie trzech olch — gorzała tylko czerwień przełamanych pod krepą czarnych wód słupem, gasnącym w mistycznej swej złudzie, żeby już nic później nie naruszyło królestwa stałych prawd.

Werner pochylił się, zerwał trochę kwiatów »dla bab« i poszedł dalej.

Zmęczony, siadł na ławce nad ocembrowanym źródłem, które grało cicho ciąglem przelewaniem, jak zduszone cymbałki.

Wysłuchał się w ten szmer i jakby żywy głos bił w jego piersi, jakby wiew twórczych skrzydeł genjuszu.

Każdy mógł przyjść tutaj, sięgnąć ręką i orzeźwić spragnione usta.

Każdy — gdyby chciał — — —

Źródło stało otworem a ze źródeł powstają strumienie, a od rwących bystrych strumieni

w bok uciekają i trwają w bezruchu jeziora wiecznych prawd.

Małe niepokazne źródółko a w niem niepożyta twórcza moc i takie czyste białe kamyki na dnie, jak jasna myśl — —

Raz być przy źródle, zrozumieć granie cymbałków, które bywa też jak srebrna leśna sygnaturka, albo różowa harfa powietrzna.

Raz własną ręką wyjąć jeden biały kamyk i iść z nim do jeziora stałych prawd, rzucić na dno — —

Wzburzy się leciutko powierzchnia oniemiałych wód. Ale z drobnych kamieni powstają opoki — nawet w królestwie niewzruszonych prawd.

Źródło grało: sygnaturka, leśne cymbałki. Werner obliczał i sumował białe kamyki trudu swego, które z twórczych przemyśleń poniósł do jeziora wiedzy o otchłaniach bez dna.

Nie skończył bilansu, gdy od strony dworu doleciał głos.

— Irena śpiewa.

Wstał i przez labirynt parku, przez mżący pierwszymi blaskami księżycza szpaler grabowy szedł ku domowi.

Śpiew srebrny był i zaczarowywał, jak te cymbałki tam w lesie.

Tylko brzmiał w nich cud wydobytych

z dna ruchomych piasków kamieni poznania; brzmiały trzy zasadnicze melodje:

Miłości, walki, cierpienia — — —

Sięgnęła do źródła dusza, która dotąd przechodziła mimo — — —

Werner wszedł do salonu, gdzie przy fortepianie zebrali się wszyscy, nawet mały Jasiiek i Łowiczanka.

Słuchali w cichem zapamiętaniu.

A pieśń — przez otwarte okna — szła na białe w księżycu i dżdżu oparów taras przed domem, na rośne pola i łąki, na staw drzemiący i hen — na piaski wydm mazowieckich; bólem uznozione.

Z sennych omgłen wstawała noc sierpniowa i skrzydlatym wtórem towarzyszyła muzyce duszy, zbudzonej łaską zrozumienia.

Odpowiadały pola, łąki, lasy i ciche wody stawu, ginące w bezkresach żałośnie piaski wydm polskich.

Od jeziora olch, od strumienia i od źródła w parku podpływał zwiewny poszum: niby tło, na które pieśń rzucała czarodziejskie miraż.

Jasiiek otworzył oczy szeroko i wyciągnął rączki, jak gdyby chciał schwycić, ponieść do

buzi głos matki: pierwszą pozafizyczną rozkosz, wrażenie, które tonęło w otchłaniach śpiącego intelektu, ale powoli, powoli miało wypracować drogi swoje.

Lowiczanka, trzymając Jaśka mocno w krzepkich swych ramionach, zasłuchiwała się, jak gdyby kto przed nią otworzył złote wierzeje kościoła i dzwonił na cud podniesienia.

Mieczysław odszedł od socjologicznych swych obliczeń, ale kazał rozewrzeć na oścież wrota parku, żeby — kto zechce — wieś cała przyszła słuchać muzyki.

Werner przestał sprawdzać założenia swoje, ale w podświadomych wewnętrznych wirydarzach budziły się załączki pomysłów, które były zapowiedzią nowych prawd.

Natalja, prowadząc wtór fortepianowy, dała ujście stałej melodji swej duszy: tęsknocie, która, budząc pieśń, wracała do niej upojną wibracją.

A Irena śpiewała jakby nie ta, którą już znał i podziwiał cały świat.

Z tajni jej wnętrza spływały nowe, krwią żywego czucia ociekłe dźwięki.

Zginął słowik, zaczarowujący różę; zniknęła róża, zapowiadająca tylko rozkosz, bo.. *nie chciano od niej więcej...*

Głos — zawsze jeszcze — był jak cud piesz-

czoty, ale krtań przestała wypracowywać zwiewne pasaże, tryle, biegniki: misterną sieć koloratury, która mogła trwać w beczuciu.

Miłość, walka, cierpienie, zbudziły duszę.

»Na pola, na bory, na łąki, na sady, na siwe wody, w niezmierną otchłań wszechświata, skąd blask dróg mlecznych prószy — błękitna, cicha, skrzydlata — poszła jej muzyka«¹⁾.

¹⁾ Pieśń M. Karłowicza: »Idzie na pola«, op. 3, Nr. 3 do słów K. Tetmajera.

